

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLI.

ROK XI.

TOM I. — ZESZYT II.

L u t y.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

I. O EDUKACYI PUBLICZNEJ W SZWAJCARYI. Przez *T. T. Jeża* 193
II. TARAS Z WOROCHTY. Nowela z życia ludu huculskiego. Przez *Juliusza Turczyńskiego*. 223
III. KWESTYA KOŚCIELNO-RELIGIJNA W ANGLII. Przez *D-ra M. E. Trepha* 249
IV. PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA. Przez *Władysława Kozłowskiego* 274
V. SPRAWA LUBOMIRSKIEGO w r. 1664. Część druga. Podczas sejmu. (Dokończenie). Przez *Wiktora Czermaka*. 292
VI. HENRYK GEORGE. Przez *Lud. Krz.* 314
VII. VOLAPÜK, SZTUCZNY JĘZYK POWSZECHNY. Przez *D-ra J. K.* 335
VIII. NOWA GWIAZDA. Przez *Stanisława Kramsztyka* . . . 340
IX. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE.
1. Krok dalej, przez Edwarda Lubowskiego, 3 tomy. Warsz. Nakł. Maurycego Orgelbranda. Ocenił *P. Ch.* . . 351
Wrażenia literackie 356
X. KRONIKA MIESIĘCZNA. Przez *Ludwika Straszewicza*. 368
XI. NEKROLOGIA 383

Druk ukończono 1 Lutego 1886 r.



O EDUKACYI PUBLICZNÉJ

W SZWAJCARYI.

Rok 1874 ważną w historyi Szwajcaryi odgrywa rolę. Do momentu tego związek helwecki przedstawiał się pod postacią sprzymierzenia się wieczystego państw wolnych i niepodległych. Kanton każdy był państwem oddzielném, posiadającém wszystkie atrybucye zwierzchnictwa państwowego: własny rząd, własny sąd, własną siłę zbrojną, prawo reprezentowania się na zewnątrz. Kanton, liczący nie więcéj, jak 16,000 mieszkańców, mógł—gdyby mu się podobało—trzymać ambasadorów przy dworach zagranicznych i utrzymywać stosunki dyplomatyczne bezpośrednie. A więc i we względzie edukacyjnym panowała zupełna kantonalna, czyli państwowa niezawisłość, tłómacząca się rozmaitością programów, systemów i metod, jakotéż nierównomiernością poziomu oświaty. Podczas kiedy kantony jedne służyły za wzór postępów edukacyjnych, w innych edukacya znajdowała się na stopniu bardzo nizkim. Widzieć się to dawało na kantonach przyległych. Kanton Valais, np. graniczy o miedzę z kantonem Vaud: w tym ostatnim oświata kwitnęła, w tamtym naród grzązł w ciemnościach. Fenomen ten przedstawiał się dziwnie i stanowił różnicę charakterystyczną pomiędzy państwami protestanckiemi a katolickiemi. Pierwsze się do oświaty garnęły, szkołami a szkółkami roiły, ponosząc na cel ten ofiary stosunkowo ogromne; w drugich ofiarność szła w kierunku kościelnym, oświata zaś pozostawała na—łasce bożéj. Kanton Fribourg nawet, niegdyś teatr działalności księdza Girard, ciągnął się z tyłu za otaczającymi go kantonami berneńskim i waldeńskim. We względzie edukacyjnym Szwajcarya przedstawiała dwa światy różne; w jednym panował ruch żywy, w drugim rozlegała się cisza głucha.

W Szwajcaryi sprawa oświaty stała się sprawą stanu od r. 1815. Grunt do tego przysposobił Jan Jakób Rousseau pomimo, że dzieła

jego zostały, za wyrokiem, który podyktował fanatyzm kalwiński, spalone publicznie ręką kata w Genewie. J. J. Rouseau grunt przysposobił, a Pestalozzi i ksiądz Girard obsieli go. Było to dużo; nie wszystko jednak. Szwajcarya nie wyprowadziłaby oświaty na plan pierwszy, gdyby kongres wiedeński jéj spraw stanu nie zamknął w zagrodzie neutralności. Pozbawiło ją to głosu w sprawach polityki zewnętrznéj i zniewoliło zwrócić uwagę i troskliwość całą na wewnątrz—na sprawy, tyczące się przedewszystkiém a bezpośrednio bytowania jéj społeczno-ekonomicznego. Kraik ubogi żyć nie mógł inaczéj, jak za pomocą przemysłu, który się bez oświaty obejść nie może. Kwestya bytu—kwestya życia nakazała przysposobiony przez autora Emila grunt uprawiać daléj i hodować starannie, nasiona rzucone w glebę przez Pestalozziego i księdza Girarda. Drogą tą oświata wydostała się na plan pierwszy i zajęła śród spraw państwowych stanowisko najważniejsze. Za najważniejszą uznala ją większość protestancka. Katolicka mniejszość inaczéj się na kwestyą tę zapatrywała—inaczéj tak dalece, że celem uchronienia się od przewagi wpływu, jaki na kantony katolickie wywierały w tym kierunku kantotony protestanckie, przymierze (w r. 1847) wywróciła i zamierzyła oddzielny (*sonder*) związek (*Bund*) utworzyć. Próba ta sprowadziła wojnę domową, która się zakończyła tryumfem większości i wygnaniem zakonu jezuitów, głównych przeciwko pokojowemu federacyi rozwojowi, jakotéż przeciwko oświacie instygatorów. Spokój powrócił, lecz nie wiele on na usposobienie opornych szerzeniu oświaty kantonów wpłynął. Niezależność państwowa pozwalała im traktować ją zlekka a od niechcenia, podczas więc, kiedy protestanci zajmowali się nią z zapałem i z gorliwością szczególną, katolicy po staremu trzymali się kierunku katechizmowego pod dozorem nie jezuitów już, ale braciszków i siostrzyczek rozmaitych, nie kwalifikowanych do wszczepiania w ludność żądzy wiedzy. Kwestya ta przeto na rozstrzygnięcie oczekiwała i rozstrzygniętą ostatecznie została w r. 1874 dopiero. Przykład zjednoczenia Włoch i Niemiec na Szwajcaryą silnie oddziałał. Potomkowie Tella zapragnęli luźne zjednoczenia swego węzły zacisnąć nieco. W duchu tym wszczęła się w kraju agitacya żywa i agitacya ta doprowadziła do rewizyi konstytucyi związkowéj a mianowicie w trzech punktach: reprezentacyi Związku Helweckiego na zewnątrz, siły zbrojnéj i *oświaty*. Zaproponowana w trzech tych punktach centralizacya, oddana pod głosowanie powszechne, uzyskała sankcyą narodową. Sprzeciwiali się jéj katolicy, upatrując w niéj zamach na odwieczne prawa kantonów i poniewierkę krwi w obronie wolności przez ojców przelanéj; zostali jednak przegłosowani. Z licznych rezolucyi, jakie, przed wyto-

czeniem sprawy téj przed *forum* narodowe, do Rady związkowéj przesyłane były, przytoczymy jedną, powziętą na zgromadzeniu nauczycieli wiejskich w Zurichu dnia 14 października 1871. Brzmi ona jak następuje:

„Przedewszystkiém do kantonów należy łożenie na oświatę publiczną. Niemniéj konfederacya ma prawo i obowiązek zapewniania się każdocześnie o stanie rezultatów w zakładach edukacyjnych po kantonach i zobowiązywania tychże do zakładania szkól początkowych i kierowania onemi w sposób taki, ażeby zabezpieczały wszystkim sumę wiadomości, potrzebną do pełnienia obowiązków ogólnie ludzkościowych i obywatelskich. Ma ona również prawo uzupełniania, za pomocą federalnych zakładów edukacyjnych, całości edukacyi publicznéj po kantonach.“

Rezolucye i podania wszystkie, pochodzące od stronników rewizyi konstytucyi w duchu centralistycznym a dotykające sprawy oświaty, brzmiały w tym sensie i w tym téż sensie Rada związkowa, na posiedzeniu dnia 29 maja 1874, zawotowała większością ogromną sławny odtąd artykuł 27.

„*Artykuł 27.* 1° Konfederacya ma prawo założenia, oprócz istniejącéj już Szkoły Politechnicznéj, uniwersytetu federalnego i innych zakładów nauczania wyższego, albo subwencyonowania zakładów tego rodzaju.

„2° Kantony łożą na oświatę początkową, która powinna być dostateczną i pozostawać pod kierownictwem władzy cywilnéj. Jest ona obowiązkową i w szkołach publicznych bezpłatną.

„3° Szkoły publiczne powinny dawać możność uczęszczania członkom wyznań wszystkich, bez ścieśniania w żaden sposób wolności ich sumienia i wierzenia.

„4° Konfederacya przedsięweźmie środki potrzebne przeciwko kantonom, któreby nie uczyniły zadość tym zobowiązaniom.“

Artykuł ten, zawotowany większością ogromną, stał się dla konfederacyi szwajcarskiéj prawem obowiązującém. Oddaje on pod dozór władzy związkowéj edukacyą niższą, średnią i wyższą, pozostawiając ją na koszcie kantonów. Dozór tyczy się rezultatów jeno, nie zaś sposobów do osiągnięcia takowych prowadzących. Prawo zastrzega dla edukacyi publicznéj początkowéj obowiązkowość, bezpłatność i bezwyznaniowość.

Prawo weszło w wykonanie niezwłocznie i w następującym po promulgacyi onego roku Rada związkowa obesłała władze kantonalne okólnikiem, którego ustęp jeden znamionuje nacisk, wyzywający kantony do odpowiedzi kategorycznéj.

„Celem zapewnienia się, czy w kantonie waszym—brzmi ustęp ów—oświata początkowa odpowiada wymogom powyższym (tj. wymogom art. 27), musimy zawezwać was do przesłania nam we względzie tym dokumentów potrzebnych. Gdyby, co do szczegółów jakich, oświata publiczna przedstawiała w kantonie waszym próżnie, które pod panowaniem konstytucyi nowéj istnieć nie powinny, obowiązani jesteśmy żądać, ażebyście oświadomili nas, w jaki sposób i kiedy będziecie w możności zaradzenia takowym.“ We dwa lata późniéj władza związkowa znajdowała się już w możności ogłoszenia za r. 1875 i 1876 wykazów statystycznych, tyczących się edukacyi początkowéj, o którą rewizyi chodziło głównie.

Przyjęcie i zastosowanie artykułu 27 nie napotkało ze strony kantonów katolickich na oporność najmniejszą. Widoczném było, że opozycya nie wychodzila z łona ludności saméj, że była w takową z zewnątrz wprowadzona i ustąpiła, skoro ją prawo zneutralizowało. Kantony bez protestacyi i żalu zrzekły się téj cząstki zwierzchnictwa państwowego, która się oświaty tyczyła a która była rzeczywistszą aniżeli ta, co np. kantonowi Uri, liczącemu wedle spisu pozaprzeszłorocznego 23,694 mieszkańców płci obojéj, pozwalała trzymać wojsko własne i własnych przy dworach zagranicznych ambasadorów. Prerogatywa ta państwowa dosyć śmiesznie wyglądała i faktycznie nie istniała; zawiadownictwo zaś szkołami było faktem—istniało i należało do kategoryi spraw ściśle domowych, nie cierpiących tego, ażeby się obcy do nich wtrącali. Pomimo to, prawo nigdzie opozycyi czynnéj nie wywołało i kantony, każdy z osobna. zajęły się w izbach prawodawczych przystosowywaniem onego do praw i zwyczajów miejscowych. Gdzie szkółek nie było, tam takowe zakładano. Obowiązek ten ciężył na gminach, które z dopełnieniem onego śpieszyły w obawie, ażeby ociąganie się nie sprowadziło interwencyi władzy kantonalnéj, albo—co gorzéj—federalnéj i nie wystawiło na szwank autonomii gminnéj. Nie dosyć, że się do narzuconego z zewnątrz prawa stosować musiały: miałyż jeszcze i wprowadzenie onego w życie z zewnątrz przyjmować? Wprowadzenie nastąpiło doraźnie prawie; co się zaś przystosowania tyczy, do uwzględnienia nastręczały się trzy punkty: przymus naukowy, bezpłatność i najdrażliwszy ze wszystkich—bezwyznaniowość. Drażliwość punktu tego to sprawiła że artykuł 27 doznał pewnych, co do onego, w kantonach tak katolickich, jak protestanckich, modyfikacyi, na które władza związkowa patrzyła i patrzy przez palce, na téj podstawie, że kto płaci, ten miéć powinien prawo urządzać się dowolnie, do pewnego stopnia przynajmniéj. A przytém, i ta jeszcze zachodzila okoliczność, że nadanie edukacyi charakteru wyznaniowego, nie wyrządzało krzywdy mie-

szkańcom w kantonach, w których ludność albo całkowicie, albo w większości ogromnéj jednego jest wyznania. Punkty przeto pierwszy i drugi przyjęte zostały ogólnie, trzeci—nie. Kantony niektóre zorganizowały szkoły na podstawie wyraźnie, inne mniéj wyraźnie wyznaniowéj, inne znów pozostawiły uczenie się religii do woli rodziców, a przytém udzielanie religii należy tu do nauczyciela świeckiego, owdzie do pastora lub księdza. I tak:

W kantonie *Zurich* religia nie jest przedmiotem obowiązkowym, naucza jéj duchowny a w razach pewnych nauczyciel świecki.

W kantonie *Bern* nauczanie w szkółkach początkowych odbywa się jeszcze wedle praw z przed r. 1874, religia jest obowiązkową, książki, wedle których wykłada się, przechodzić powinny przez cenzurę kościelną i sam wykład dzieli się na historyczny i dogmatyczny—pierwszego udziela nauczyciel, drugiego duchowny.

W kantonie *Luzern* nauczyciele wykładają katechizm pod dyrekcyą duchownych i są posady pozbawiani, jeżeli obrażają religijne dzieci wierzenia.

W kantonie *Uri* nauczyciel wykłada katechizm pod kierownictwem proboszcza.

W kantonie *Schwytz* religia stanowi przedmiot obowiązkowy pod takim, jak w Lucernie warunkiem. Aspiranci do posad nauczycielskich winni być katolikami praktykującymi i posiadać świadectwo konduity wydane przez władzę kościelną, a przytém obowiązani są prowadzić dzieci do kościoła i pomagać księdzu przy obrządkach.

W *Unterwalden* górnym część większa nauczycieli należy do stanu duchownego, mimo to obowiązuje jeno historya biblijna nie jako przedmiot, ale jako książka do czytania. Wybór książki należy do nauczyciela.

W *Unterwalden* dolnym religia jest obowiązującą; nauczyciel katolik prowadzić powinien dzieci na msze, na procesye i sam im za przykład w pełnieniu obowiązków religijnych służyć.

W kantonie *Glaris* wykłada się moralność z unikaniem wszystkiego, coby wyznaniowością trąciło.

W katonie *Zug* przeciwnie. Wyznaniowość jest mocno zaznaczona. Nietylko religią wykłada ksiądz, ale ksiądz czuwa nad tém, ażeby nauczanie całe duchem religijnym przejęte było.

W kantonie *Fribuurg* obowiązuje katechizm i historya święta i na nauczycieli przyjmują się tacy jeno, co z gałęzi tych egzamin zdali.

W kantonie *Solothurn* religia wykłada się z punktu historycznego w sposób taki, ażeby słuchaną być mogła przez dzieci wyznań wszelakich; dogmatyki naucza ksiądz, ale nie jest to przedmiot obowiązujący.

W *Bazylei* - mieście, nauka religii zostawiona jest od r. 1874 rodzicom; w Bazylei-wsi, nauczyciel wykłada w sposób bezwyznaniowy historyą świętą; wykład zaś dogmatyki, pozostawiony księdzu, uczniów nie obowiązuje.

W kantonie *Schaffhouse* od nauki religii na żądanie rodziców lub opiekunów dziecko zwolnionėm być może.

W kantonach *Appenzel*, różniących się wyznaniem, prawo szkolne nie różni się pod względem wyznaniowościowym. W półkantonie protestanckim nauczyciel egzaminowanym być powinien z historyi biblijnéj i katechizmu i nauczać ma w duchu chrześciańskim; w półkantonie katolickim cięży na nim obowiązek taki sam, co do egzaminu wedle rytuału katolickiego, a celem nauczania jest formowanie dzieci do przeznaczeń wiekuistych.

W kantonie *St. Gallen* szkoły przed rewizyą rozdzielone były wedle wyznań; wskutek rewizyi rząd kantonalny zajął się połączeniem ich w jedno, lecz w roku 1875 wyznał rządowi federalnemu, że mu to przychodzi z trudnością i rzeczy pozostały w stanie dawniejszym: szkółki dzielą się na protestanckie i katolickie.

Kanton *Gryzonów* zastosował się do artykułu 27 i usunął wyznaniowość z nauczania.

Kanton *Aarau* od r. 1874 układa taki podręcznik biblijny, wedle którego uczyć by się mogły dzieci dwóch wyznań chrześciańskich, na jakie się mieszkańcy dzielą, a tymczasem rzeczy zostają po staremu—szkółki są wyznaniowe.

W kantonie *Thurgau* nauczanie religijne polega na opowiadaniach biblijnych, ćwiczeniach pamięciowych i uczeniu się na pamięć poezyi, nie noszących na sobie cech wyznaniowości.

W kantonie *Ticino* nauczanie po szkółkach jest wyznaniowe katolickie.

W kantonie *Vaud* religia się wykłada dla protestantów protestancka, dla katolików rzymsko-katolicka, lecz dzieci na żądanie rodziców lub opiekunów od uczenia się takowéj zwolnione być mogą.

Kanton *Valais* trzyma się nauczania wyznaniowego, a to na podstawach następujących: 1) gdy dzieci są katolickie, słuchają wykładów religii, jeżeli rodzice dla nich dyspensy od takowych nie żądają; 2) w szkole nauczanie religijne nie odbywa się wobec dzieci wyznania innego; 3) nauczanie to odbywa się codziennie rano albo wieczorem.

Kanton *Neuchâtel* oddzielił całkowicie szkołę od kościoła i nauczanie religijne pozostawił staraniu rodziców.

W kantonie *Genewskim* religia wykłada się przez pastorów i księży, nie jest atoli przedmiotem obowiązującym.

Wykaz powyższy świadczy, jaka w Szwajcaryi w nauczaniu panuje rozmaitość. Neuchâtel jeden całkowicie wyznaniowość z nauczania usunął; po nim idąc Bazylea-miasto i Glaris; daléj następują kantony Genewa, Vaud, Thurgau, Gryzony i Zurich, w których wyznaniowość, zachowana połowicznie, albo raczéj dodatkowo, zadawalnia rodziców wychowywanych wedle systematów dawniejszych i nie zawadza nauce, któréj nie krzyżuje. Tyczy się to zresztą szkół początkowych, a tych zadanie główne na tém polega, ażeby umysł człowieka przysposobić do zdawania sobie sprawy z ciążących na jednostkach społecznych obowiązków i praw obywatelskich powszednich i do rozumienia własnego położenia i własnych interesów. Do tego nauka katechizmu ani pomaga, ani przeszkadza, gdy obok niej program obejmuje przedmioty w praktyce życiowéj niezbędne. Ci, co na szkołach początkowych poprzestają — a takich jest większość ogromna — potrzebują jeno posiadać wiadomości elementarne, których nabywają, dzięki przyjętym i zaprowadzonym ogólnie: przymusowi szkolnemu i bezpłatności nauki. We względzie tym rewizya zrównała kantony. Wszystkie się obowiązkowi temu poddały, nawet kanton Genewski, który się w tém przed r. 1874 szczęśliwém znajdował położeniu, że mieszkańców do nauczania dzieci przymuszać nie potrzebował.

Szkoły początkowe w Szwajcaryi dzielą się na trzy rodzaje, a raczéj stopnie: szkoły dziecinne, szkoły początkowe (*écoles primaires*, *Primarschulen*) i szkoły początkowe wyższe, noszące nazwy rozmaite (*écoles secondaires*, *écoles réales*, *écoles de district*). Zakładanie i organizacya szkółek dziecinnych poczyna się dopiero i wchodzi do zakresu inicyatywy prywatnéj. W jednym tylko kantonie—w kantonie Genewskim — szkółki te znajdują się pod zawiadowstwem departamentu oświaty publicznéj i figurują stale w budżecie wydatków, w przeznaczonéj dla nich rubryce. W innych rządy udzielają im zachęty i niekiedy zapomogi pieniężnéj. Do szkółek dziecinnych, jakoteż do szkół początkowych wyższych nie stosuje się prawo przymusu i bezpłatności, znajdujące zastosowanie ścisłe w odniesieniu tylko do szkół początkowych: *Primarschulen—écoles primaires*. Prawo przymusu we względzie wieku dziecinnego i lat trwania nauki w różnych kantonach rozmaicie się przedstawia. Rodzice obowiązani są posyłać dzieci do szkoły po ukończeniu lat sześciu w kantonach Zurich, Bern, Luzerna, Schwytz, Zug, Bazylea wieś, Schaffhuza, Appenzel-Ausserrhode, St. Gallen, Thurgau, Ticino, Neuchâtel i Genewa; po ukończeniu lat siedmiu — Uri, Unterwalden górny, Glaris, Fribourg, Solura, Bazylea-miasto, Appenzel-Innerrhode, Gryzony, Aarau, Vaud i Valais; Unterwalden dolny wymaga lat ośmiu.

Co do trwania przymusu zachodzą także różnice znaczne, zależne od organizacyi szkolnéj, o któréj trudno dać pojęcie ogólne z powodu, że we względzie tym kanton każdy urządza się po swojemu. Potrzeba kantony rozpatrywać każdy z osobna.

Zurich urządził sobie szkoły trzystopniowe: elementarna, realna i uzupełniająca (*perfectionnement*), każda po lat trzy; do tego dodać należy rok jeden szkoły śpiewu, przymus przeto szkolny trwa do skończenia przez ucznia lat szesnastu.

Bern—przymus lat dziesięć, w dwóch atoli latach ostatnich uczniowie zwolnieni być mogą od szkoły codziennéj pod warunkiem uczęszczania do specyalnéj przez tygodni czterdzieści i cztery, po 12—15 godzin tygodniowo. We względzie zwolnień uwzględniają się okolice górzyste.

Luzerna posiada szkół dwa rodzaje: półroczne i całoroczne; pierwsze obejmują lat siedem, drugie sześć; przymus przeto sięga do czternastego lub trzynastego roku życia dziecka, nie wliczając w to szkoły powtarzania czyli doskonalenia, która doprowadza do roku szesnastego.

W *Uri* szkoła elementarna — lat sześć; od kursów trzyletnich powtarzania rada wyższa ma prawo zwolnić.

Schwytz — przymus sześcioletni; szkoła powtarzania dwuletnia, od niéj atoli uwolnić się można. W kantonie tym, w szkołach niektórych wykłady są półdzienne.

Unterwalden górny: szkoła elementarna — lat sześć, szkoła powtarzania — lat dwa.

Unterwalden dolny: przymus czteroletni, to jest do ukończenia przez dziecko lat dwunastu.

Glaris: szkoły elementarne obejmują okres siedmioletni, szkoły powtarzania dwuletni; istnieją szkoły półdzienne, dla których trwanie przymusu dłuższém jest o rok jeden.

Zug: szkoły elementarne lat sześć, szkoły powtarzania lat trzy—przymus rozciąga się do pierwszych jeno: w piątym roku uczęszczania dziecko zwolnioném być może, ale w razie takim obowiązane jest przechodzić szkoły powtarzania.

Fribourg: przymus ośmioletni, w ciągu którego uwolnienie przysługa dzieciom. które okazują w naukach postępy i których pomoc rodzicom jest potrzebną.

Solura dla chłopców wyznacza przymus ośmioletni, dla dziewcząt siedmioletni; szkoła powtarzania doprowadza chłopców do lat osiemnastu skończonych, nie obowiązuje jednak.

Bazylea - miasto: dla chłopców trzy lata szkoły elementarnéj, cztery realnéj; dla dziewcząt—cztery elementarnéj, trzy wyższéj (*se-*

cundar); na przedmieściach—sześć lat elementarnéj i dwa powtarzania półdziennego.

Bazylea-wieś: szkoła elementarna sześcioletnia; szkoła powtarzania trwa dla katolików do lat piętnastu, dla protestantów do momentu konfirmacyi.

Schaffhuza: szkoła codzienna obowiązuje dzieci do lat czternastu skończonych; szkoła powtarzania do lat siedemnastu dla chłopców i do chwili konfirmacyi dla dziewcząt. W kantonie tym fabrykanci upoważnieni są zakładać szkoły dla dzieci, co w szkołach elementarnych odbyły kurs pięcioletni.

W *Appenzel - Auserrhode* przymus trwa do ukończenia przez dziecko lat trzynastu w szkole elementarnéj codziennéj; w gminach niektórych istnieją szkoły obowiązkowe robót dla dziewcząt; powtarzanie przeciąga się do chwili, w któréj zaczyna się nauczanie katechumeńskie.

Appenzel-Innerrhode: szkoła elementarna lat sześć, szkoła powtarzania lat dwa.

St. Gallen: lat siedem szkoły elementarnéj i dwa powtarzania. Organizacya szkolna w kantonie tym tém się zaznacza, że wykłady dzielą się na kursa roczne, półroczne i ćwierćroczne; istnieją przytém szkoły fabryczne i szkoły robót dla dziewcząt.

Gryzony: trwanie przymusu do ukończenia przez dziecko lat piętnastu; szkoły otwarte są jeno w półroczu zimowém.

Aarau: przymus ośmioletni; od trzeciego roku nauki szkolnéj dziewczęta obowiązkowo uczą sie robót; po sześciu leciech dzieci płci obojéj chodzić mogą do szkół fabrycznych, zakładanych przez przemysłowców na koszt ich własny.

W *Thurgowii* przymus szkolny trwa najdłużéj: lat dwanaście dla chłopców i dziewięć dla dziewcząt. Rozkłada się on tak: dla chłopców lat sześć nauki elementarnéj codziennéj, następnie lat trzy powtarzania codziennego zimą i w odstępach latem, w końcu jeszcze lat trzy powtarzania zimowego (od 1 listopada do 1 marca); dla dziewcząt—lat sześć, lat dwa i rok jeden nauki śpiewu.

Ticino: przymus trwa do ukończenia roku czternastego; dzieci w terminie lub zajęte przy robotach rolnych obowiązane są chodzić do szkółek niedzielnych i wieczornych.

Vaud: przymus trwa do ukończenia roku szesnastego; zwolnienia częściowe są dopuszczane i w razie takim dziecko obowiązane jest przychodzić do szkoły dwa lub trzy razy na tydzień; osady oddalone więcéj jak o półgodziny drogi od szkoły gminnéj, a liczące najmniéj dwadzieścioro dzieci w wieku szkolnym, powinny zakładać szkoły zimowe, funkcyonujące od św. Marcina do Wielkiejnocy;

gdzie się znajduje najmniéj dzieci czterdzieścioro, tam dla dziewcząt otwiera się szkoła robót i gospodarstwa domowego; gdzie zaś jest dzieci więcéj aniżeli sześćdziesięcioro, tam szkoła ta funkcyonować powinna całorocznie. Gdy szkoła liczy słuchaczy płci obojéj osiemdziesiąt, to dla dzieci najmłodszych zakłada się szkoła zimowa; gdy liczba cyfrę tę przechodzi, wówczas otwierają się klasy równoległe całoroczne.

W kantonie *Valais* organizacyą szkolną cechuje oryginalność, polegająca na podziale szkół na stopnie: pierwszy sześciomiesięczny o jednym nauczycielu, drugi więcéj aniżeli sześciomiesięczny o jednym nauczycielu, albo sześciomiesięczny o kilku nauczycielach, trzeci więcéj aniżeli sześciomiesięczny o kilku nauczycielach. Przymus szkolny trwa do lat piętnastu, a od piętnastu do dwudziestu młodzież ma szkoły powtarzania.

Kanton *Neuchâtel* wywiera przymus do lat szesnastu, ale bezwzględny do trzynastu tylko; w roku trzynastym uczeń, jeżeli egzamin zda w sposób zadowalniający, wstępować może do terminu pod warunkiem uczęszczania do szkoły dziesięć godzin tygodniowo, póki do lat szesnastu nie dojdzie; w porze letniéj dzieci rolników obowiązane są spędzać w szkole sześć godzin w tygodniu.

W *Genewie* przymus szkolny nie przekracza po za lat trzynaście wieku dziecka.

W wykazie powyższym, jak w poprzednim, rzuca się przedewszystkiém w oczy rozmaitość, do powiększenia któréj wchodzi jeszcze początek i koniec roku szkolnego, obliczanego inaczéj w kantonie jednym, inaczéj w drugim tuż obok położonym. W Genewie np. rok zaczyna się w miesiącu wrześniu, w Lauzannie w pierwszy wtorek mca maja, w Bernie w kwietniu; tu rok przymusu szkolnego rozpoczyna się 1-go stycznia, ówdzie 31 marca, gdzieindziéj 1 listopada. Trudno odgadnąć racye, od których to zależy. Rozpatrując się atoli w wykazie powyższym, dostrzegać się daje podstawa dwojaka, wedle któréj oznaczaném jest trwanie przymusu. W kantonach jednych oznacza się ono wedle lat wieku dziecka, w innych wedle lat nauki. Co do wieku, przymus waha się pomiędzy 12 a 18 rokiem życia, co do lat nauki, trwa najmniéj lat cztery, najwięcéj dwanaście. W podstawie téj i owéj tkwią względy utylitarne i pedagogiczne, dające się tłómaczyć racyonalnie. W tych kantonach, w których przymus stosuje się do wieku, brano na uwagę trudność naginania latorośli, co zgrubiała i stężała; w tych zaś, w których się na latach nauki oparto, rzecz z tego sobie przedstawiano punktu, że w nauczaniu nie o uczenie, ale o nauczenie chodzi.

Nauczanie opiera się na programach, których rozmaitość jest nie mniéj znaczna. Zajęło by to nam miejsca za dużo, gdybyśmy je poszczegółowie podawać chcieli, témbardziéj, że podając różnice od kantonu do kantonu, musielibyśmy zaznaczać i te, jakie w jednym i tymże samym kantonie pomiędzy gminami zachodzą. Z powodu tego przytoczymy programy przepisane w dwóch kantonach Zurich i Bern, służyć mogące jako wzór, do którego inne są mniéj lub więcéj podobne.

Zakres nauczania w szkołach elementarnych zuriskich obejmuje przedmioty następujące: nauka moralna i religia, język niemiecki, arytmetyka, gieometrya, historya naturalna, historya narodowa, śpiew, kaligrafia, gimnastyka, szycie (dla dziewcząt). W pierwszéj klasie liczba godzin 18—20 tygodniowo, w drugiéj i trzeciéj 20—24, w czwartéj, piątéj i szóstéj 24—27. W kantonie Berneńskim wykłada się: religia (osobno dla protestantów, osobno dla katolików), język ojczysty mówiony i pisany, arytmetyka i rachunek rozmiarów, zasady buchhalteryi, śpiew, geografia i historya Szwajcaryi ze szczególném na rozwój instytucyi konstytucyonalnych baczeniem, historyi naturalnéj pojęcia zasadnicze, gimnastyka dla chłopców i roboty igłą dla dziewcząt. W kantonach niektórych, w Genewskim np., wprowadzoną jest gimnastyka i dla dziewcząt. W letniém półroczu w kantonie Berneńskim wykłady trwają dwanaście do dwudziestu tygodni z liczbą godzin od trzech do czterech dziennie, w półroczu zimowém—tygodni dwadzieścia, godzin od czterech do pięciu.

Ażeby dać wyobrażenie o stopniowaniu nauczania, weźmiemy za miarę arytmetykę w szkołach berneńskich. W roku pierwszym wykłada się dodawanie i odejmowanie liczb całych od 1 do 20 i zadania praktyczne: w drugim—cztery działania z liczbami od 1 do 50, zadania; w trzecim—cztery działania od 1—100, zadania; w czwartym (dziecko liczy już lat dziesięć) — cztery działania posunięte do cyfry 10000, zadania; w piątym—cztery działania do 100000, zadania; w szóstym—cztery działania z liczbami złożonemi do 1000000, numeracya, pojęcie o pieniądzach, wagach i miarach, przemiany i redukcye, zadania; w siódmym, ósmym i dziewiątym — ułamki dziesiętne i proste, system metryczny, proporcye, reguła trzech z zastosowaniem specyalném do obrachowywania procentów. Rachunek rozmiarów obejmuje: 1° Linią prostą, miary długości, kąty; 2° Czworokąt, prostokąt, trójkąt, trapez i wielokąt, koło; 3° Pryzmę i walec. Na uwagę zasługuje nauczanie historyi naturalnéj. Nauczanie onéj zaczyna się w roku piątym, trwa lat dwa i na tém polega, że w roku każdym nauczyciel w sposób opisowo-opowiadaniowy daje dzieciom wyobrażenie o dziewięciu roślinach, zwierzętach i minerałach, np.

w jednym roku, o grochu, cykoryi, wiśni, buku, psie, kurze, pstrągu, pszczole i żelazie, w drugim, o kartoflach, pszenicy, gruszy, sosnie, wole, trznadlu, chrząszczu, soli kopalnéj, węglu kamiennym. W klasach następnych, najwyższych, nauka natury zwraca się do fizyki, z któréj uczniowie poznają istotę dźwigni, barometru i termometru, wreszcie skład ciała własnego w odniesieniu do zdrowia (higienę). Historya i geografia stanowią treść główną książki do czytania. Dzieci czytają o Bertholdzie V, Rudolfie Habsburskim, Wilhelmie Tellu, Winkelridzie, o upadku dawnéj konfederacyi, Pestalozzim, generale Dufour, etc. Stosowne ilustracye zajmują wyobraźnię, pomagając pamiętaniu i wiązaniu zdarzeń, Geografia rozpoczyna się od topografii gminy, do któréj dzieci należą, przychodzi daléj oswajanie z mapą, geografia kantonu i geografia Szwajcaryi. Równolegle z arytmetyką idzie nauka języka macierzystego, stanowiąca wraz z nauką religii edukacyjną w klasach niższych całość. Wstęp do owéj jest poglądowy. Nauczyciel pokazuje przedmioty, które nazyzywa, definiuje, wykazuje stosunek ich do przedmiotów innych i w sposób ten w dzieciach budzi myślenie i uwagę, oswajając je z pierwszemi zarysami form językowych. Gramatyka poczyna się w klasie czwartéj.

Na zaznaczenie szczególne zasługuje troskliwość, z jaką się w Szwajcaryi władze zajmują budynkami szkolnemi. Po miastach prezentują się one pod postacią pałaców; po wsiach są to zawsze budowle najpokaźniejsze. Że takie nauczania lokowanie oddziaływa na wyobraźnię ludu, mianowicie zaś pokolenia młodziutkiego, i urabia poszanowanie dla nauki, jest to rzecz wiadoma. Zazwyczaj na szkołę wybiera się miejsce otwarte i wywyższone—w gminie ona dominuje. Budowla czynić zadość powinna warunkom higienicznym, tyczącym się światła, powietrza i ogrzewania porą zimową. We względzie oświetlenia przestrzega się, ażeby padało ono na uczniów z jednéj tylko lewéj strony, dla tego, jeżeli izba obejść się nie może bez okien bocznych, to okna te w czasie lekcyi zamykają się okienicami lub zasłaniają tablicami, służąc do przewietrzania klasy. Pod względem powietrza baczy się na to, ażeby uczeń każdy miał takowego dostateczną do oddychania ilość: sześć metrów kubicznych mniéj więcéj. Co do ogrzewania, trzymano się dotychczas systemu kaloryferów umieszczanych w suterenach i rozprowadzających rurami powietrze ciepłe. Okazało się jednak, że system ten posiada niedogodności, a mianowicie za drogim jest dla gmin ubogich i przedstawia trudność w utrzymywaniu ciepła w stopniu równym. Probują obecnie ogrzewania za pomocą pary; po wsiach stawiają piece—żelazne nawet, byle jeno zaopatrzone były w ścianki podwójne. Przy

piecu, wzniesionym być winien system wentylacyjny. Troskliwości nie mniejszéj przedmiotem są ruchomości szkolne, mianowicie zaś stoły i ławki, których forma wpływa na zdrowie dzieci. Materya ta, pozostająca dotychczas pod dyskusyą, daje pochop do prób i doświadczeń. Zajmują się tém szczególnie dwa kantony: Zuriski i St. Galleński.

Kto nad tém czuwa? Szkołę kontroluje bezpośrednio gmina; dozór jednak nad szkołami idzie z góry. Władza kantonalna spoczywa, jak wiadomo, w rękach „Rady stanu," będącéj władzą wykonawczą a składającéj się z kilku (pięciu-siedmiu) członków, z których każdy stoi na czele „Departamentu" i nosi tytuł „Dyrektora lub „Naczelnika" (*Chef*). Jest przeto: dyrektor spraw wewnętrznych, dyrektor sprawiedliwości, dyrektor finansów, ale i dyrektor oświaty publicznéj. Na atrybucyach każdego z nich odbija się charakter konstytucyi kantonalnéj, w kantonach jednych bardziéj, w innych mniéj demokratycznéj. Tyczy się to i dyrektora oświaty, który działa, bądź na odpowiedzialność własną, bądź téż podziela odpowiedzialność z przydaną mu radą edukacyjną, zdając w razie pierwszym i drugim sprawę tak przed „Radą wielką", (izba prawodawcza), mającą prawo interpelować rząd, jakotéż przed narodem, który rząd ów w oznaczonych czasu odstępach wybiera. Typem rządu, posiadającego w atrybucyach swoich samowładztwo, kontrolowane przez Radę wielką i odpowiedzialne przed narodem, jest Rada stanu genewska. Téj przeciwstawiać można Radę stanu zuriską, w któréj dyrektor departamentu oświaty poczynać sobie nie może bez porozumienia z radą edukacyjną, składającą się z członków sześciu (czterech delegatów rady kantonalnéj i dwóch synodu nauczycielskiego). Rada edukacyjna ma najwyższy nad szkołami w kantonie dozór. Kanton dzieli się na dystrykty, dystrykt na obwody szkolne (*Schulkreis*). Po dystryktach działają komisye szkolne, składające się z dziewięciu do trzynastu członków, z których trzech wybierają nauczyciele, po obwodach—komisye obwodowe, wybierane przez obywateli. Te ostatnie, za pośrednictwem wydziału czynnego, do którego wchodzą prezydent, wiceprezydent i sekretarz, wybierani na lat trzy, wywierają dozór ustawiczny i bezpośredni, wizytują szkoły i utrzymują tak zwany „Dziennik szkolny", w którym, w rubrykach odpowiednich, notują braki i dezyderata. Od komisyi téj idzie w roku każdym raport do komisyi dystryktowéj układany wedle kwestyonaryusza drukowanego; raport ten co lat trzy reasumuje się i stanowi treść raportu ogólnego, który każda z komisyi dystryktowych przesyła do departamentu oświaty. W tym ostatnim koncentrują się oraz sprawozdania inspektorów specyalnych, wyprawianych przez departament

ze swojéj i przez komisye dystryktowe ze swojéj strony; ci mają za zadanie dowiadywać się o postępach nauczania i o stanie budowli szkolnych. W kantonie Genewskim mechanizm zawiadowstwa szkołami mniéj jest skomplikowany; dozór ogólny spoczywa w rękach naczelnika departamentu, który mianuje inspektorów w celu odbywania wizyt; dozór szczególny i bezpośredni należy do rady gminnéj. W kantonie Berneńskim w opiece nad szkołami biorą także udział prefekci, jako reprezentanci władzy wykonawczéj; w innych mechanizm dozoru zbliża się do typu bądź jednego, bądź drugiego, a wszędzie znamionuje troskliwość życzliwą i kontrolę czujną. Kontrolowani są szczególnie nauczyciele, na których zwrócone jest oko departamentu, rady gminnéj i rodziców.

Posady nauczycielskie prawo pozwala dawać jeno ludziom wykwalifikowanym, obowiązanym posiadać patent uzdolnienia (*brevet de capacité*), który się otrzymuje bądź w szkole normalnéj, bądź téż od wyznaczonéj na ten cel umyślnie komisyi egzaminacyjnéj.

Szkół normalnych Szwajcarya posiada sporo w dwunastu kantonach, a mianowicie: w Zurich 1, w Bern 4, w Lucernie 1, w Schwytz 1, we Fribourgu 1, w Solurze 1, w S-t Gallen 1, w Aarau 1, w Turgowii 1, w Ticino 2, w Vaud 2, w Valais 4, razem 20. W kantonach Bern, Ticino, Vaud i Valais szkoły są podwójne, męskie i żeńskie, szkół normalnych żeńskich przeto liczy Szwajcarya sześć. Chcąc uzyskać prawo wstąpienia, do nich potrzeba, ażeby młodzież płci jednéj i drugiéj w kantonach jednych miała lat piętnaście, w innych szesnaście skończonych i wykazała się z posiadania wiadomości, objętych programem szkół początkowych niższych i wyższych. Kurs w Zurichu, Lucernie, Aarau trwa lat cztery, w Bernie—dla chłopców lat trzy do czterech, dla dziewcząt dwa do trzech, w Schwytz, Fribourgu, Soloturnie, S-t Gallen, Thurgowii—trzy, w Ticino—trzy i dwa, w Valais—dwa, w Vaud—cztery dla chłopców, dwa dla dziewcząt. Programy różnią się nie wiele, nie są wszakże jednostajne. W Zurichu wykładają się: języki niemiecki i francuski, pedagogika, metoda, matematyka, fizyka i chemia z doświadczeniami, historya, geografia, śpiew, gra na skrzypcach, rysunek, kaligrafia, gimnastyka; w Bernie: religia, języki niemiecki i francuski, pedagogika, matematyka, fizyka, nauki naturalne, historya, geografia, śpiew, muzyka (fortepian, organy i skrzypce), rysunek, kaligrafia i buchalterya, gimnastyka, rolnictwo; w kantonie Fribourg z matematyki wykłada się arytmetyka i geometrya, kosmografia figuruje jako przedmiot oddzielny, historya ogranicza się do historyi szwajcarskiéj z dodatkiem konstytucyi narodowéj, rolnictwo połączone jest z historyą naturalną, hygiena. Takież same różnice zachodzą co do warunków

pobytu w szkole: w jednéj, jak np. w St. Gallen, uczniowie, co są z kantonu rodem i aspirują do nauczania, nie płacą nic ani za naukę, ani za utrzymanie; w innych, jak we Fribourgu, za naukę nie płacą, za utrzymanie zaś ci, co się do nauczycielstwa deklarują, płacą po 20 franków miesięcznie, ci co się nie deklarują—po fr. 30, uczniowie pochodzący z kantonów innych — po fr. 45. Opłata szkolna w większéj liczbie kantonów nie istnieje wcale dla obywateli kantonu, obywatele kantonów innych płacą w Zurichu 60 fr. rocznie, w Aarau 100 franków i t. p. Szkoły normalne są wogóle internatami z dopuszczeniem uczniów dochodzących; w Schwytz wychowańcy w szkole mieszkają gratis, jadło opłacają, pobierając na to stypendya bądź całkowite (250 fr. rocznie), bądź 3/4, 1/2 lub 1/4, stosownie do zamożności i postępów w naukach. Interni, ci co opłaty szkolnéj nie wnoszą, jako téż stypendyści obowiązani są służyć w zawodzie nauczycielskim po lat tu dwa, tam trzy, ówdzie cztery, w Schwytz pięć, w Valais ośm, albo, jeżeli służyć nie chcą, zwrócić państwu wyłożone na edukacyą ich koszta. Nauka w szkole normalnéj kończy się egzaminami teoretycznemi i praktycznemi, po złożeniu których uczeń dostaje patent, upoważniający go do objęcia posady nauczyciela szkoły początkowéj.

Położenie nauczyciela nie od razu się ustala. Pierwsze lata są dla niego latami próby (*stage*); po tych dopiero następuje nominacya ostateczna, która w istocie rzeczy ostateczną nie jest, nauczyciel bowiem, jeżeli nie pełni obowiązków swoich należycie, przeniesionym lub posady pozbawionym być może. Ażeby dać pojęcie o warunkach, na jakich on funkcyonuje, przedstawimy te, które w kantonie Zuriskim obowiązują (*Iustruction primaire en Suise* p. *Mme F. Escali*).

„Nie może być nauczycielem szkoły początkowéj, kto nie posiada patentu i nie liczy najmniéj dziewiętnastu lat wieku.

„Egzamina odbywają się przy końcu półrocza zimowego i obejmują program przedmiotów obowiązkowych w szkole normalnéj.

„Cudzoziemcy zadość warunkom powyższym czyniący w kantonie o posadę spółubiegać się mogą.

„Nauczyciel każdy obowiązany jest odbyć w kantonie próbę dwuletnią, poczém gmina nominuje go na lat sześć.

„Po upływie peryodu tego może być ponownie, zawsze przez gminę, na drugich lat sześć zanominowany, jeżeli nie zapadnie decyzya nominowania go ostatecznie.

„Nauczyciel może brać udział w stowarzyszeniach kantonalnych, przyjmować funkcyą pisarza gminnego i sądowego lub być powołanym na członka władzy szkolnéj, pod warunkiem zawiado-

mienia o tém komisyi, od któréj bezpośrednio zależy i wykazania zgodliwości obowiązków nowych z obowiązkami nauczycielskiemi.

„Co do przyjmowania wszelkich innych obowiązków, żądać winien uprzednio upoważnienia od rady edukacyjnéj, która go w tym lub innym razie zawiesić może.

„Nauczyciel, co przez lat trzy nie nauczał, obowiązany jest egzamin zdawać ponownie i w razie takim powracają dla niego warunki nominacyi pierwotnéj.

„Nauczyciele i nauczycielki formują w dystrykcie każdym stowarzyszenie, czyli kapitułę (*Schulkapitel*), w któréj wybierają prezydenta, wiceprezydenta i sekretarza.

„Powinnością ich jest zgromadzać się co kwartał celem obradowania nad warunkami nauczania i szczegółami tyczącemi się położenia ciała nauczającego; z obrad tych w roku każdym przesłany być powinien raport do dyrekcyi oświaty.

„Każda kapituła posiada bibliotekę subwencyonowaną przez państwo (60 franków rocznie).

„Prezydenci kapituł z całego kantonu zbierają się corocznie, przy końcu marca, z prezydentami synodu celem obradowania nad kwestyami, obchodzącemi dystrykty wszystkie.

„Synod składa się ze wszystkich w kantonie nauczycieli wiejskich w połączeniu z nauczycielami szkół wyższych zuriskich (miasta) i wintherthurskich.

„Na zgromadzeniu tém z głosem doradczym zasiadają: członkowie rady wychowawczéj, władze szkolne kantonalne, członkowie komisyi szkolnych dystryktowych.

„Synod odbywa posiedzenie regularne raz na rok; może być jednak zwołany na posiedzenie nadzwyczajne bądź przez prezydentów swoich, bądź też na żądanie czterech kapituł.

„Zgromadzenia te są publiczne.

„Wszystkie punkty, metody, programy, regulaminy, nominacye, dymisye, pensye etc., pod obrady przyjść mające, przedyskutowane być winny uprzednio na zgromadzeniu, złożoném z delegatów kapituł i szkół wyższych kantonalnych. Jest to—prosynod.“

W kantonie berneńskim synodem nazywa się kapituła zuriska i zachodzi różnica niejaka tak w procederze obrad, jak w układzie korporacyi nauczycielskiéj, wyznaczającéj z łona swego delegacyą z członków dziesięciu i komitet z członków dziewięciu, zawiadujących sprawami synodu ogólnego. Członkowie ci, gdy się zgromadzają, dostają indemizacyą od państwa za koszta podróży i za obecność na obradach. Ta ostatnia równa jest indemnizacyi, wypłacanéj członkom Wielkiéj Rady (izby prawodawczéj). Nauczyciele nomi-

nowani są na próbę na lat sześć; kandydaci zaś na nauczycieli przyjmują się po ukończeniu siedemnastego roku życia. W Lucernie powinni mieć lat osiemnaście.

W kantonie Uri różnica tyczy się szczególnie korporacyi. Nauczyciele i nauczycielki formują dwa stowarzyszenia oddzielne, zgromadzające się oddzielnie dla obradowania nad kwestyami edukacyjnemi raz na rok. Zgromadzenia te obowiązują; państwo uczestników indemnizuje, płaci im po 4 franki; nieobecni płacą karę, franków 30; w razie recydywy zagraża im zawieszenie w obowiązkach.

Ważna kwestya wynagrodzenia nauczycieli początkowych za pracę nie jest w Szwajcaryi rozstrzygniętą w sposób zadawalniający. Uznaném jest powszechnie i bezwarunkowo, że są oni najważniejszymi urzędnikami państwowo-społecznymi; mimo to, wogóle opłacają ich tak, że ledwie z rodzinami wyżyć są w stanie, w kantonach zaś niektórych bardzo licho. Wykaz następujący da o tém pojęcie dokładne. Porządek ułożony wedle pensyi przeciętnéj.

KANTONY	Pensya przeciętna	Nauczyciele	Nauczycielki
1. Bazylea - miasto. . .	2874	3213	1535
2. Zurich	2017	2228	1805
3. Appenzel-Ausserrhode	1836	1821	1850
4. Genewa	1708	2188	1227
5 Glaris	1610	1610	1610
6 Neuchâtel.	1493	1938	1047
7. Schaffhuza.	1468	1664	1172
8. St. Gallen	1440	1584	1195
9. Bazylea - wieś . . .	1423	1446	1450
10. Thurgowia	1409	1561	1257
11. Vaud	1405	1744	1166
12. Lucerna	1257	1286	1226
13. Solura	1229	1288	1169
14. Bern.	1209	1386	1032
15. Aarau	1160	1224	1096
16. Fribourg	847	1031	693
17. Appenzel-Innerrhode .	811	976	646
18. Schwytz	782	1025	539
19. Zug	771	1122	419
20. Unterwalden górny. .	642	597	791
21. Gryzony	588	694	482
22. Ticino	587	572	666
23. Unterwalden dolny. .	510	650	370
24. Uri	444	528	359
25. Valais	362	342	386
Przeciętnie w Szwajcaryi całéj	1200	1398	1003

Pensya przeto przeciętna, bez różnicy płci, w Szwajcaryi przypada na głowę franków 1200. Mężczyźni opłacani są lepiéj aniżeli kobiety, nie ogólnie jednak: w kantonie Glaris nauczyciele i nauczycielki pobierają pensyą jednakową, w kantonach zaś Appenzel-Ausserrhode, Bazylea-wieś, Unterwalden górny i Ticino pensya nauczycielek jest wyższą aniżeli pensya nauczycieli. Dodać winniśmy, że obliczając pensye, wkluczaliśmy w takowe prestacye w naturze, jak pomieszkanie, grunt i opał, jakie się dają nauczycielom wogóle po gminach wiejskich i po niektórych miejskich.

Pensye nauczycielskie powiększają się z latami służby, ale wszędzie rozmaicie. W kantonie Zuriskim co lat pięć dodaje się rocznie po 100 franków i w powiększeniu tém państwo bierze w części od $^1/_{10}$ do $^5/_{10}$ udział; za trzydzieści zaś lat służby nauczyciel lub nauczycielka dostaje emeryturę, wynoszącą połowę pensyi rocznéj, emeryturę, na którą nauczyciel składa po fr. 10, państwo po fr. 5 na rok w stowarzyszeniu renty szwajcarskiéj. W kantonach Genewa, Vaud, Neuchâtel i innych państwo się emeryturą nie zajmuje, ale nauczyciele i nauczycielki obowiązkowo asekurują się w stowarzyszeniach przez rząd dozorowanych a nawet i subwencyonowanych; co się powiększenia pensyi tyczy, rzecz ta traktowaną bywa rozmaicie. W Genewie np. nauczyciele dzielą się na regensów i podregensów, nauczycielki na regentki i podregentki. Regensi pobierają *minimum* 1500 i pensya ich powiększa się do *maximum* 2000, nie licząc prestacyi w naturze, podregensi 1200—1800, regentki 1200—1500, podregentki 800—1200. Nauczyciele i nauczycielki mają przytém—nie wszędzie jednak—dochód od uczniów, od których państwo w jednym kantonie płaci po centimów 20, w innym po 70 od głowy miesięcznie, a obok tego rządy wyznaczają na korzyść członków ciała nauczającego różne premie i nagrody konkursowe. Z tém wszystkiém, położenie ich bardzo jest trudne. Słabo płatni, ale za to mocno kontrolowani, żyć z czego nie mają, stanowią jednak najlepszą w Europie siłę pedagogiczną—siłę będącą tą opoką, na któréj opiera się byt i pomyślność Szwajcaryi.

Zaznaczyliśmy powyżéj, że na dwadzieścia pięć kantonów, dwanaście tylko posiada szkoły normalne. Inne rekrutują nauczycieli początkowych w szkołach średnich, w gimnazyach, w uniwersytetach nawet, a także i po zakładach prywatnych. Aspirantów egzaminują komisye lub komitety specyalne; w kantonach niektórych dyplomy ze szkół średnich dają prawo do ubiegania się o posadę nauczycielską w szkołach początkowych, w niektórych (w Genewie np.) przy gimnazyum, mającém inne, aniżeli u nas znaczenie, na wydziale osobnym wykładają się nauki pedagogiczne.

Ciało nauczycielskie, zatrudnione w szkołach początkowych i w szkołach początkowych wyższych w Szwajcaryi, przedstawia się pod względem liczebnym bardzo poważnie, liczy bowiem 7634 głów nauczycieli i 3483 nauczycielek, razem 11,117 osób zajętych wlewaniem światła do głów młodocianych. Ponieważ Szwajcarya liczy 2846102 mieszkańców (według spisu z roku 1883), jeden nauczyciel zatém przypada 256 głów. Ponieważ zaś do szkół początkowych uczęszcza dzieci 434,080, więc na jednego nauczyciela wypada uczniów 39. Nie liczy się tu szkół i szkółek prywatnych, funkcyonujących dla ludzi zamożniejszych. Wynotujemy jeszcze jednę cyfrę statystyczną. Szkół początkowych liczy Szwajcarya 4386, a w tych klas 8362, na które 6462 spólnych dla chłopców i dziewcząt, 935 dla chłopców wyłącznie, 965 dla dziewcząt wyłącznie.

Nauczyciele i nauczycielki są po większéj części świeccy; wszelako i duchowni przypuszczeni są do udziału w nauczaniu, nie wszędzie atoli. W kantonach Zurich, Bern, Glaris, Bazylea-miasto, Bazylea-wieś, Schaffhuza, Appenzel jeden i drugi, Aarau, Thurgau, Vaud, Neuchâtel i Genewa nie ma ani jednego; kanton Lucerna posiada 12, Uri 37, Schwytz 64, Unterwalden górny 25, Unterwalden dolny 30, Zug 33, Fribourg 64, Solura 2, St. Gallen 6, Gryzony 16, Ticino 3 i Valais 51 — razem 354 na 11,117, to jest więcéj niż 3%. Procent ten idzie przeważnie na rzecz szkółek dziewczęcych, w których funkcyą nauczycielek pełnią zakonnice. We Fribourgu np. liczba 64 tyczy się niewiast wyłącznie; w Valais na 51 osób duchownych jest mężczyzn 19, w Schwytz na 64 — mężczyzn dwóch. Zauważyć należy, że kantony, w których liczba osób stanu duchownego w edukacyi przeważa, nie wiele ciążą na szali oświaty w porównaniu z kantonami nauczanemi przez świeckich. We względzie tym za skazówkę służyć mogą odbywające się corocznie egzaminy rekrutów, wedle których układa się porządek starszeństwa cywilizacyjnego. W porządku owym, notowanym od r. 1875, czoło kolumny trzymają: Bazylea-miasto, Genewa, Zurich, Turgowia, Schaffhuza, Vaud: w rzędzie ostatnim idą: Unterwalden dolny, Schwytz, Fribourg, Uri, Valais i Appenzel-Innerhode. Z kantonów katolickich Zug i Unterwalden górny wysuwają się do połowy górnéj, z protestanckich Bern jest stale w połowie dolnéj, zajmuje miejsce dziewiętnaste, spadał na dwudzieste pierwsze i nie zdołał się nigdy wznieść wyżéj, jak na piętnaste. Wstyd to nie mały dla kantonu stołecznego. Najstaléj miejsce pierwsze zajmuje Bazylea-miasto: sześć razy w przeciągu lat dziewięciu—raz, w r. 1879, spadło na trzecie; najstaléj miejsce drugię Genewa, która w roku 1882 spadła na piąte, lecz w następnym wyszła na pierwsze; z kantonów innych Thurgowia jeno pierwsze miej-

sce zajmowała; Zurich trzecie, a bywał na drugiém. Kantony te wysokie stanowisko swoje zawdzięczają sumiennéj nauczycieli i nauczycielek szkół początkowych pracy.

Pracują oni przy fundamentach, na których się wznosi oświata wyższa. W Szwajcaryi na szkoły początkowe zwraca się uwaga główna—i słusznie. Szkoły te, luboć stosunkowo nie dawno zorganizowane, a raczéj zreorganizowane, wydały już owoce. Im zawdzięcza Szwajcarya dobrobyt materyalny, wyższy stosunkowo aniżeli w krajach innych, gdy zwłaszcza weźmie się na uwagę glebę niewdzięczną, z któréj, bez stosowania do niéj sposobów racyonalnych, nic by się wyciągnąć nie dało. Więcéj atoli aniżeli pod względem materyalnym, zyskał kraj na uspokojeniu namiętności, podżeganych przez fanatyzm religijny, który wrzał w czasach, kiedy Szwajcarya w ciemności grzęzła. Nauka przyćmiła przesądy a rozświeciła obowiązki obywatelskie. W czasach ostatnich dokładane były usiłowania jaknajwiększe, mające na celu wywoływanie zaburzeń. Usiłowania te spełzły na niczém, trafiły bowiem na ludność, pojmującą już, dzięki szkołom, zadania swoje obywatelskie. Szkoły przeto, jak rzekliśmy wyżéj, wydały już owoce i owoce te teraźniejszość spożywa. Lecz kraj żaden, a tém mniéj Szwajcarya, na teraźniejszości—na tém co jest, bez oglądania się na to, co będzie—poprzestawać nie może. Przezorność myśléć każe o jutrze, tém bardziéj, że do myślenia o przyszłości pobudza przesilenie przemysłowe, panujące obecnie w Europie całéj i odbijające się dotkliwie o Szwajcaryą, z przemysłu przeważnie żyjącą. Ewentualność ta uwagę spotęgowaną zwrócić kazała na szkoły i w nich przeciwko klęskom możliwym zabezpieczenia szukać, zasilając je nowym żywiołem edukacyjnym. Dają one — jak wedle przytoczonych powyżéj programów sądzić można--edukacyą ogólną, ucząc pojmowania rzeczy. Pojmowanie łączyć się da z wykonywaniem — nauka ogólna z nauką specyalną, rzemiosłową, fabryczną, techniczną. W chwili obecnéj w kierunku tym odbywa się coraz to w siłę wzrastająca agitacya, któréj rezultaty postrzegać się dają pod postacią szkółek rzemieślniczych męskich i żeńskich, przystosowywanych do szkół elementarnych. Chodzi o to, ażeby do tych ostatnich włączyć naukę rzemiosł. Od lat paru wszystkie synody, kapituły i stowarzyszenia rzemieślnicze kwestyą tą żywo się zajmują. Kantony Thurgau i Solura czynią próby, zakładając tak zwane szkoły „uzupełniające“ (sztuk i rzemiosł, rzemiosłowe, wieczorne etc.). Próby te powtarzają się i w innych kantonach. Bazylea, Genewa, St. Gallen, Zurich pootwierały szkoły wyższe specyalne „sztuk zastosowanych do przemysłu.“ Próby te—spodziewać się należy—doprowadzą do rozwiązania kwestyi,

będącéj w chwili téj w toku. Spodziewać się tego należy tém pewniéj, że w Szwajcaryi wszystkie tego rodzaju przedsięwzięcia, raz zaczęte nie zatrzymują się na początku, ani w połowie drogi. Potomkowie Tella nie grzeszą brakiem wytrwałości. Niepowodzenia ich nie zrażają. Co za potrzebne uznają, to zaczną i skończą, dokładając cegiełkę do cegiełki.

Po zawotowaniu rewizyi konstytucyjnéj w roku 1874 głos publiczny domagał się założenia dwóch szkół normalnych federalnych, jednéj w Szwajcaryi niemieckiéj, drugiéj we francuskiéj, których dyplomy dawałyby prawo ubiegania się o posadę nauczycielską w kantonie każdym. Dla szkoły francuskiéj kurs trzeci i ostatni odbywałby się w szkole niemieckiéj, dla niemieckiéj we francuskiéj. W ten sposób nauczyciele przysposobieni by byli do funkcyonowania i tu i tam. Pomysł ten, przycichłszy na lat kilka, przebijać się poczyna obecnie wobec nowego, jakie szkoły początkowe czeka, zadania. O to właśnie zadanie chodzi. Do rozwiązania onego sił odpowiednich nie ma. Nauczyciele nie przysposobieni są do prowadzenia rzemiosł, a kantony nie posiadają środków na przysposabianie takowych. Zwracają się więc oczy szwajcarów na władzę federalną, która zapewne, gdy ją opinia publiczna naciśnie, krajowi z pomocą przyjdzie i rozsadnik nauczycieli dla szkół na poły rzemiosłowych założy.

Szkoły elementarne, początkowe i wyższe, dają, luboć w szczupłym zakresie, edukacyą zupełną i do szkół średnich stosują się o tyle jeno, że do wstąpienia do najniższéj tych ostatnich klasy posiadać potrzeba wiadomości, wykładane w trzech początkowych klasach szkół elementarnych. Szkoły średnie wchodzą do sfery edukacyi wyższéj, zmierzającéj bądź do uniwersytetu, bądź téż do zakładu specyalnego, wymagającego rozleglejszych zasobów naukowych. Pozostają one na utrzymaniu nie gmin ale kantonów, to znaczy, że czuwa nad niemi bezpośrednie państwo. Organizacya ich i programy różnią się co kanton, luboć wszystkie mają cel ten sam: wykształcenie téj warstwy społeczeństwa, co powołaną jest do służenia społeczeństwu i sobie pracą w zawodach, potrzebujących posiłkować się wiedzą rozleglejszą aniżeli ta, która wystarcza dla człowieka żyjącego z pracy rąk własnych. Różnice, jakie w zakresie edukacyi średniéj w Szwajcaryi zachodzą, wykazać się dadzą na dwóch typach: na szkołach średnich genewskich i zuriskich. Zaczniemy od tych drugich.

Szkoła średnia nosi w Zurichu nazwę kantonalnéj (*Kantonschule*) i dzieli się na dwa rodzaje: Gimnazyum i Szkoła przemysłowa. „Gimnazyum — głosi program — ma za zadanie, za pomocą przeważnie

staroklasycznych studyów, przetorować uczniowi drogę do kształcenia się naukowego, zwłaszcza zaś dostarczyć mu wiadomości potrzebnych do uczęszczania do szkoły wyższéj. Szkoła przemysłowa w ogólnéj organizacyi swojéj służy tym, co się przeznaczają do zawodów technicznych lub kupieckich. Zadanie jéj polega na przysposobieniu uczniów częścią do praktyki niezwłocznéj, częścią do słuchania nauk w wyższych zakładach technicznych i kupieckich."

Gimnazyum przeto i szkoła przemysłowa są to zaklady równoległe, kształcące młodzież w dwóch kierunkach. Pierwsze obejmuje lat siedem, druga lat cztery. Ażeby wstąpić do gimnazyum, mieć potrzeba lat dwanaście, do szkoły przemysłowéj lat czternaście skończonych i posiadać przygotowanie, odpowiadające programowi, przepisanemu dla lat tych w szkołach początkowych. Opłata szkolna wynosi w gimnazyum za pierwsze cztery lata 15 fr., za ostatnie trzy 24 fr., w szkole przemysłowéj 25 fr. rocznie, z dodatkiem 6 fr. wstępnego i następnie po 3 fr. w roku każdym. Za laboratorya osobno płaci się półrocznie po fr. 10. Od opłat tych zwolnień nie ma, ale są stypendya dla młodzieży ubogiéj nie tylko krajowéj, lecz i z innych pochodzącéj kantonów. Szkoła dostarcza uczniom za pieniądze narzędzi do rysunków i ma na rozporządzenie ich bibliotekę i czytelnię. Gimnazyum i szkoła przemysłowa znajdują się pod przewodnictwem rektora i prorektora, wybieranych z grona profesorów osobno dla jednego i dla drugiéj. Rok szkolny zaczyna się w połowie kwietnia.

Gimnazyum dzieli się na niższe (*unteres*) i wyższe (*oberes*). Niższe, klas cztery, obejmuje programem: religią, język niemiecki, język łaciński, język grecki, język francuski, matematykę, historyą, geografią, przyrodoznawstwo, śpiew, kaligrafią, rysunek i gimnastykę; wyższe przedmioty téż same bez kaligrafii, z dodatkiem języka angielskiego i hebrajskiego, oraz ćwiczeń wojskowych z bronią sieczną i palną. Nie wszystkie jednak przedmioty są obowiązujące; na żądanie rodziców lub opiekunów rektor zwalnia ucznia od języków greckiego, angielskiego i hebrajskiego, od religii, a także od śpiewu i gimnastyki — na tę ostatnią zwolnienie udziela się za świadectwem lekarskiém.

Uczeń, który tylko gimnazyum niższe kończy, zdobywa wiadomości, przedstawiające, że się tak wyrazimy, okrągłość pewną. Językiem macierzystym mówi i pisze poprawnie i wedle książki do czytania (*Deutsches Lesebuch Luning und Sartori*) zna autorów wybitniejszych. Z języka łacińskiego, wykładanego w klasie I-széj godzin 10, w II—8, w III—6, w IV—7, kończy składnię i czyta Cezara i Owidyusza. Język grecki zaczyna się w klasie drugiéj—gramatyka, czytanie, pisanie i ćwiczenia. Język francuski wykłada się w klasie

III i IV. Matematyka: w I klasie arytmetyka i oswajanie z używaniem cyrkla i linii, w II algebra (cztery reguły) i geometrya (longimetrya, rysunek geometryczny), w III i IV z algiebry równania pierwszego i drugiego stopnia, potęgi i pierwiastki. Historya obejmuje historyą grecką, rzymską i średnich wieków do reformacyi; geografia — geografią powszechną i szwajcarską. Przyrodoznawstwo wykłada się w II, III i IV klasie teoretycznie i praktycznie, w półroczu letniém botanika, w zimowém zoologia, na tydzień po dwie godziny.

W gimnazyum wyższém w językach uczniowie się doskonalą za pomocą rozszerzania wiedzy gramatycznéj, ćwiczeń i historyi literatury; w matematyce, z algebry dochodzą do wykładnikowych i trygonometrycznych szeregów, z geometryi umieją trygonometryą płaską i sferyczną i geom. analityczną; historyą powszechną i szwajcarską kończą; przyrodoznawstwo obejmuje fizykę, chemią, fizyczną geografią, historyą naturalną, biologią. Religia wykłada się z punktu wyłącznie historycznego; w klasie ostatniéj przychodzą: zasadnicze prawdy (*Grundwarheiten*) religii chrześciańskiéj—objektywny dogmatów przyjętych przez wyznania różne wykaz i moralne takowych znaczenie.

W szkole przemysłowéj (*Industrieschule*) nie wykładają się języki starożytne; wykładają się nowożytne—niemiecki, francuski i angielski; religia, historya i geografia ogólna w takim jak w gimnazyum zakresie; matematyka i przyrodoznawstwo w rozmiarach obszernych. Szkoła dzieli się na cztery klasy, z tych pierwsza jest przygotowawczą i po skończeniu jéj uczeń ma do wyboru jeden z dwóch wydziałów: techniczny lub handlowy. Techniczny posuwa algebrę do rozwiązywania równań trzeciego stopnia i liczbowego rozwiązywania równań za pomocą reguły „fałszywego założenia," z geometryi kończy syntetyczną i analityczną, jakotéż linie stopnia trzeciego i inne krzywe, geometryą wykreślną; uczniowie opracowują rysunki techniczne, w roku ostatnim po trzy godziny na tydzień zajęci są w laboratorium chemiczném. Przy wydziale tym istnieje specyalna sekcya przyrodoznawstwa, na któréj wzmacnia się wykład chemii i historyi naturalnéj.

Wydział handlowy obejmuje naukę dwuletnią i na miejsce liczby godzin przedmiotów jednych umniejszonych, innych (fizyka, przyrodoznawstwo, rysunek techniczny) całkowicie usuniętych, wprowadza: język włoski, naukę o towarach, arytmetykę kupiecką. naukę handlu i buchalteryą.

W sobotę po południu szkoła przemysłowa ćwiczy się w obrotach wojennych, robieniu bronią i strzelaniu.

W Genewie szkoła średnia nosi nazwę kolegium, obejmuje okres czasu siedmioletni, liczy klasy w porządku odwrotnym—siódma najniższa, pierwsza najwyższa—i klasa siódma, do którój przyjmują się chłopcy po ukończeniu lat dziewięciu życia, jest ogólnie przygotowawczą. Natępnie mają chłopcy do wyboru: sekcyą klasyczną, albo sekcyą przemysłową i handlową. Kierownictwo kolegium spoczywa w rękach dyrektora, noszącego tytuł „*principal*", naznaczanego z grona nauczycieli przez departament oświaty. Władza jego rozciąga się na obie sekcye. Nauczyciele dzielą się na klasowych (*maîtres de classe et régents ordinaires*) i specyalnych. Pierwsi gospodarze klasy, wykładają przedmioty niektóre i dają, za opłatą osobną, repetycye ogólne. Opłata szkolna wynosi 20 franków rocznie.

W programie nie figuruje religia, która w godzinach poza-klasowych wykłada się przez zamówionych i płatnych przez władzę szkolną kapelanów wyznania protestanckiego i katolickiego. Uczniowie dzielą się na regularnych i eksternów—ci ostatni dopuszczają się tylko do dwóch klas najwyższych i mają prawo przedmioty sobie wybierać, płacąc półrocznie po dwa franki za każdą w tygodniu godzinę. Język angielski należy do przedmiotów dodatkowych w sekcyi klasycznéj, opłacanych oddzielnie (20 fr. półrocznie za dwie godziny tygodniowo).

Program sekcyi klasycznéj obejmuje: język francuzki, język łaciński od klasy VI, język grecki od IV, język niemiecki od V, historyą od IV, geografię do IV włącznie, arytmetykę do III włącznie, matematykę w II i I, dykcyą, rysunek, gimnastykę do III, śpiew do IV. Główne nauczania usiłowanie zwraca się na języki francuski i starożytne. Chłopcy w klasie III rozumieją już autorów łacińskich i smakują w nich. Matematyka ogranicza się na arytmetyce, wykładane bowiem w drugiéj i pierwszéj algebra, dochodząca do równań i zadań pierwszego stopnia i wyciągania pierwiastków kwadrat., geometrya, kończąca się na pierwszéj części księgi trzeciéj Legendra i zasady kosmografii, dają jeno niejakie o algebrze i geometryi pojęcie. Nauki przyrodnicze nie wykładają się wcale. Geografia się kończy w klasie IV i w téjże klasie rozpoczyna się historya od wieków średnich opowiadana w sposób anegdotyczny; służy to, jako wstęp do historyi, jako sposób rozciekawienia ucznia, który w klasie III ma historyą narodową, specyalnie genewską; w dwóch klasach ostatnich przechodzi się historya powszechna starożytna do śmierci Nerona, i geografia starożytna. W pierwszéj raz na tydzień wykłada się nauka konstytucyi federalnéj i konstytucyi kantonalnéj.

Dla sekcyi przemysłowéj i handlowéj program klasyczny modyfikuje się w ten mniéj więcéj sposób, jak w Zurichu, zawiera w sobie atoli ujmy i dodatki niektóre. Nie wykłada się język włoski; przyrodoznawstwo wykłada się rok jeno pobieżnie; nauki ścisłe przychodzą w klasach II i I, akcent zaś handlowy nadają: historya handlu, przemysłu i sztuk, rachunkowość kupiecka i ekonomia polityczna.

Porównywując kolegium genewskie ze szkołami średniemi zuriskiemi widzi się większą w tych ostatnich pełność. Nauka w kolegium przedstawia się pod postacią zaszkicowania, przedmioty zaś niektóre urywają się. Pochodzi to stąd, że kolegium stanowi przedsionek niejako szkoły, zwanéj „gimnazium“ (*gymnase*), trzymającéj środek pomiędzy niém a uniwersytetem. Dyplom z *collége* nie daje prawa, ani téż przysposabia do słuchania wykładów uniwersyteckich. Do tego *gymnase* jest koniecznie potrzebne, *gymnase* bowiem, mające kurs dwuletni, uzupełnia nauki i upoważnia do zdawania egzaminu dojrzałości, otwierającego wstęp do zakładów wyższych i drogę do zdobywania stopni akademickich. Gimnazyum dzieli się na sekcye: literacką, nauk ścisłych, handlową i pedagogiczną. Dwie ostatnie uzupełniają nauki fachowe; w dwóch pierwszych wykłady odbywają się w takim zakresie i w takich rozmiarach, że wkraczają w zakres uniwersytecki i przyczyniają się do umniejszenia na uniwersytecie lat pobytu. Uczeń np. sekcyi literackiéj spędzać potrzebuje na wydziale literackim lat nie więcéj, jak dwa, na wydziale prawnym—dwa i pół. Sekcya nauk ścisłych również podobne skrócenie czasu zapewnia. Gimnaziści są napół *collegiens* napół *étudiants* i otrzymują edukacyą, która, w połączeniu z naukami w kolegium, przedstawia tę całość, jaka się nabywa w Zurichu w *Kantonsschule*. W téj ostatniéj, w *Gymnasium*, odpowiadającém sekcyi klasycznéj kolegium i *gimnase* genewskiego, całość zaokrągla się dwa razy. Gimnazyum niższe jest, jakby koło, wpisane w koło większe zewnętrzne, którém jest gimnazyum wyższe. Do genewskiéj szkoły średniéj przyrównania tego zastosować nie można, kolegium jest raczéj strumykiem, który wpada do jeziora gimnazyalnego, gdy zaś do takowego nie trafi, w piasku ginie. Uzupełnienie edukacyi średniéj w szkołach genewskich wymaga koniecznie przeprowadzenia młodzieńca przez kolegium i gimnazyum.

Co do lat, zakłady te różnią się nie wiele. Kolegium w Genewie wymaga, ażeby uczeń liczył najmniéj lat dziewięć skończonych w kolegium lat siedem, w gimnazyum dwa, co czyni dziewięć; dziewięć a dziewięć osiemnaście. Rok szkolny w Genewie zaczyna się we wrześniu. Gimnazyum zuriskie przyjmuje uczniów dwunastolet-

nich i trzyma ich pod opieką swoją lat siedem, a raczéj, sześć i pół, klasa bowiem ostatnia, z któréj się wprost do uniwersytetu wstępuje, jest, ze względu na to, że rok szkolny w szkołach średnich zaczyna się w połowie kwietnia a w uniwersytecie w listopadzie, półroczna. A więc: dwanaście a sześć i pół, osiemnaście i pół — różnicy pół roku.

Dwie organizacye i dwa programy—zuriski i genewski—stanowią skrajnie wytyczne, do których stosują się w Szwajcaryi szkoły średnie w kantonach innych. Vaud, np. zbliża się do Genewy, dzieli szkoły średnie na klasyczne i przemysłowe, do klasycznych jednak wprowadza historyą naturalną, rok szkolny zaczyna w maju, edukacyą kolegialną uzupełnia za pomocą gimnazyum i tém się szczególnie wyróżnia, że szkoła średnia kantonalna jest zarazem korpusem kadetów, ćwiczącym się w mustrze, manewrach, robieniu bronią, i obsłudze przy działach; młodzież ma przepisane mundury i odznaki, nosi lederwerki i odbywa kampamenty jesienne, zgromadzając się niekiedy na rewie z młodzieżą kantonów neszatelskiego, berneńskiego i innych, które naukę militaryzmem podszywają. Opłata szkolna w kantonie Vaud wynosi, w klasach niższych, fr. 50, w wyższych fr. 70 rocznie. W Genewie edukacya kosztuje najtaniéj.

Podział szkół średnich na klasyczne i przemysłowe wywołuje krytyki i spowodowuje próby łączenia humanizmu z realizmem. Próby odbywają się na drodze prywatnéj. Przykładem jednéj z takowych jest t. zw. *Collége Gaillard*, w Lauzannie, zakład pozostający pod dyrekcyą p. Gaillard, pedagoga doświadczonego, w którym obok języków starożytnych wykładają się nauki ścisłe. Zakład prosperuje; uczęszczają do niego dzieci ludzi zamożnych, lecz rezultaty pokrywa milczenie.

Równolegle do szkół średnich męskich kanton każdy posiada szkoły średnie żeńskie, nad któremi troskliwie czuwa i których organizacya i programy cechuje rozmaitość, odpowiadająca rozmaitości, zachodzącéj pomiędzy zakładami dla chłopców. W Zurichu edukacya panienek zupełniejszą jest, aniżeli w Genewie. Zuriska szkoła (*Töchterschule*) młodzież niewieścią przysposabia do uniwersytetu; z genewskiéj *Ecole secondaire et supérieure*, przyjmującéj panienki dziewięcioletnie i obejmującéj kurs ośmioletni, uczennica do uniwersytetu na słuchaczkę regularną postąpić nie może bez przygotowywania się do egzaminu za pomocą lekcyi prywatnych. Niedostateczność tyczy się szczególnie języków starożytnych i nauk ścislych. Przy egzaminie dyplom szkoły wyższéj żeńskiéj uwzględnia się, co do przedmiotów w jednakowym w niéj i w szkołach średnich męskich wykładanych zakresie; składająca takowy panienka

zwolnioną jest od zdawania egzaminu z języków nowożytnych, z historyi literatury, z historyi powszechnéj i szwajcarskiéj, z geografii, arytmetyki, fizyki, chemii. Jest to ulga znaczna, która atoli nie usuwa trudności, polegającéj na zdobywaniu w przeciągu lat paru, za grubą opłatą, wiadomości, które młodzież męska zdobywa daremnie przez lat dziewięć. W ogóle, we wszystkich szkołach żeńskich w Szwajcaryi edukacya literacka nowożytna przeważa nad klasyczną i realną. Na pochwałę szkół tych przyznać należy, że troskliwością szczególną otaczają się w nich wykłady: gospodarstwa domowego, robót kobiecych i higieny.

W szkołach średnich zaludnienie wynosi 60 do 70 tysięcy młodzieży, z grona któréj procent mniéj więcéj 2 rekrutuje się co roku do szkół wyższych, do uniwersytetów i zakładów technicznych. Uniwersytetów Szwajcarya posiada sześć: cztery kompletne, dwa bez wydziału medycznego, w miastach Bazylei, Zurichu, Bernie, Genewie, Lauzann'ie i Neuchâtelu. Bazylejski jest najstarszy, datuje od r. 1460 (o lat dziewięćdziesiąt sześć młodszy od krakowskiego), najmłodszy genewski, od r. 1874; zuriski założony w r. 1833, berneński w 1834. Szkola politechniczna w Zurichu, szkoły techniczne w Winterthur i Lauzannie. Zakłady te są kantonalne, to znaczy, kantony na nie łożą i niemi zawiadują. Wyjątek jedyny stanowi politechnika zuriska, pozostająca na koszcie i pod zawiadowstwem federalném. Federacya ma jeszcze na koszt swój wziąć jeden z uniwersytetów; nie śpieszy się z tém jednak i, jak się zdaje, nie weźmie żadnego, ale subwencyonować będzie te, których utrzymanie jest za wielkim na finanse kantonalne ciężarem. W położeniu takiém znajduje się uniwersytet genewski (1). Uniwersytety szwajcarskie należą do rodzaju uniwersytetów małych; są zupełne, we względzie zakresu nauk nie ustępują wielkim, ale każdy z przedmiotów wykładany jest przez profesora jednego w objętości całkowitéj i dla tego wykłady noszą na sobie cechę encyklopedyczną—następstwo pośpiechu i konieczności skracania. Rzadkim jest przedmiot, obsługiwany przez profesora i prywat-docenta, ale nie rzadko się zdarza, że jeden i ten sam profesor dwóch przedmiotów, np., estetyki i filozofii historyi, naucza. Z racyi téj, wartość uniwersytetów całkowicie od doboru trafnego profesorów zależy. Że zaś nie są oni świetnie płatni, jest to więc rzecz trudna nieco, gdy bowiem zdarzy się na katedrze któregoo z uniwersytetów szwajcarskich znakomitość, wnet się po takową

(1) W czasach ostatnich (grudzień r. 1885) odezwał się poważny Karola Vogta głos za tém, ażeby federacya wzięła na koszt i odpowiedzialność swoję uniwersytet genewski.

z Niemiec zgłaszają i zabierają. Politechnika i uniwersytety pozbywają się w ten sposób ludzi głośnych; pozostają profesorowie sumienni, którzy obowiązki swoje gorliwie pełnią i młodzież kształcą. Czynność najżywsza panuje na wydziałach przyrodniczych, a to dzięki laboratoryum, w których praca obowiązuje. Laboratorya chemiczne, fizyczne, anatomii porównawczéj, fizyologiczne, mikroskopiczne, morfologiczne, prosektorya w ustawicznym znajdują się ruchu. Profesorowie, jak w uniwersytetach wszystkich, dzielą się na zwyczajnych, nadzwyczajnych i prywat-docentów. Na czele wydziału każdego stoi dziekan, na czele uniwersytetu—rektor w towarzystwie wice-rektora i sekretarza. Urzędników tych wybiera z łona swego senat akademicki, w skład którego wchodzą profesorowie wszyscy. Nominacye na katedry profesorskie udzielają się namocy kwalifikacyi odpowiednich za konkursem: tak chce prawo, które atoli zezwala na wyjątki w razach nadzwyczajnych. Laboratorya obsługują wybierani przez profesorów z grona studentów asystenci, których państwo opłaca.

Słuchacze dzielą się na studentów i na wolnych słuchaczy. Wolnym słuchaczem może być każdy, byle miał lat 18 skończonych. Ażeby zostać studentem regularnym, należy bądź przedstawić dowody z ukończenia nauk średnich, bądź téż złożyć egzamin odpowiedni. Jedni i drudzy obowiązani są do jednakiéj opłaty szkolnéj, która na wydziale medycznym wynosi po pięć franków półrocznie za każdą godzinę w tygodniu, na wydziałach innych po fr. 2½. Laboratorya opłacają się oddzielnie, jedne po 20, inne po 15 i po 10 fr. miesięcznie. Pomiędzy studentami a wolnymi słuchaczami, co do słuchania wykładów i korzystania z biblioteki, muzeów i gabinetów, a nawet i co do egzaminów, nie zachodzi różnica najmniejsza. Różnica polega na tém, że wolny słuchacz nie dopuszczonym jest do egzaminów państwowych—na medycynie np. uzyskać może tytuł doktora, ale bez prawa praktykowania jako lekarz: zdobyć prawa tego nie można bez świadectwa dojrzałości.

Politechnika zuriska, jedna z najlepszych w Europie, składa się z sekcyi dróg i mostów, inżynieryi przemysłowéj, chemicznéj, budowniczéj, rolniczéj. Nauka w niéj polega na połączeniu teoryi z praktyką; przyniosła ona Szwajcaryi korzyści ogromne. Drogi, mosty, przekopy, tunele, śluzy, które podziw sprawiają, fabryki, które założycielom zyski niosą i tysiące ludzi przy sobie żywią, ochrony przeciwko wylewom wód i zasypom lawin, podniesienie bogactwa krajowego jest inżynierów szwajcarskich dziełem. Krzątają się oni nakształt mrówek w zapasach z naturą piękną ale jałową. Lauzanna posiada także szkołę, z któréj inżynierowie wychodzą. Założyła

ją sumptem kantonalnym—z niczego—niechcący, na to zrazu, ażeby, gdy się poczęły budować drogi żelazne, kształcić konduktorów. Skromniutki zawiązek ten wzrastał i dojrzewał powoli i stopniowo za pomocą rozszerzania zakresu przedmiotów wykładanych i dodawania nowych. W sposób ten szkoła się rozwinęła i ukonstytuowała; obecnie w dwóch sekcyach kształci inżynierów komunikacyjnych, i fabrycznych. Porządkiem takim w tymże samym kantonie i w kantonie berneńskim powstały szkoły rolnicze.

Uniwersytety szwajcarskie wszystkie, z wyjątkiem akademii auzańskiéj, otwarte są dla kobiet, zrównanych bezwarunkowo w prawach i obowiązkach z młodzieżą męską. Kobiety też, szwajcarskie i cudzoziemskie, zapisują się na kursa stosunkowo licznie.

Liczba ogólna słuchaczy w szwajcarskich wyższych zakładach naukowych zmienia się z roku na rok, a nawet z semestru na semestr. Najliczniéj młodzież ucząca się napełnia Zurich, dzięki politechnice. W akademiach lauzańskiéj i neuchâtelskiéj liczba waha się pomiędzy 150 a 250: w uniwersytetach berneńskim i genewskim—między 400 a 600; w Bazylei spadła była do 40 i od lat kilku podnosić się zaczyna—obecnie przechodzi 200. Na zmiany te wpływa większy lub mniejszy napływ cudzoziemców, przybywających ze wszystkich części świata (1) (z Japonii, z Chin, z Egiptu, z Australii z Ameryki).

Młodzież uniwersytecka życie swoje urządza wedle wzorów niemieckich; praktykuje burszenszafty, zawiązując się w towarzystwa, które oznaczają się czapeczkami charakterystycznemi i noszą nazwy rozmaite: *Zoffingen*, najbardziéj w Szwajcaryi niemieckiéj rozpowszechnione, *Belle-lettricus*, najliczniejsze w Szwajcaryi francuskiéj, *Pedagogia*, *Stella*, *Helvetia* i t. p. Mają one swoje zwyczaje, obchody, uczty, pieśni, dzienniki, obrady i odczyty; dają niekiedy przedstawienia teatralne, niekiedy płodzą awantury; mania wszelako pojedynkowa nie dochodzi tego co w Niemczech stopnia i panuje przeważnie w Szwajcaryi niemieckiéj.

Szwajcarya we względzie edukacyjnym, tak początkowym, jak średnim i wyższym, robi ogromnie wiele; w zakresie tym odbywa się ustawicznie ruch od podstaw ku sklepieniu—od dobrego ku lepszemu; że zaś ruch ów nie trzyma się modły jednéj i tejże saméj, że zachodzi w nim rozmaitość wielka, z przyczyny téj ojczyzna Tella przedstawia się, jako niezmiernie ciekawe i ważne do studyowania

(1) Przed wojną serbsko-bulgarską, bulgarów na uniwersytetach szwajcarskich liczyło się z górą stu; liczba polaków płci obu obecnie (1885—86) stu dochodzi, spada zaś niekiedy do osób kilkunastu.

kwestyi edukacyjnéj pole. Do studyum tego rodzaju myśmy jeno wskazówki dali w téj nadziei, że praca nasza zwróci na pole to uwagę tak pedagogów, jako też ludzi, których obchodzi *bonum publicum* i że ci z bliska przypatrzyć się zechcą organizacyom i systemom rozmaitym i temu, jak to kraina uboga, usiłowaniem własném, ruchem skombinowanym z dołu i z góry i wytrwałością w podażeniu do celu, osięga rezultaty świetne, utrzymuje bytowanie swoje, broni się przeciwko niedoborom ekonomicznym i niedomaganiom społecznym. Jest to obraz ze wszech miar na uwagę zasługujący. Są w nim i cienie i strony ujemne, ale—jakież dzieło ludzkie doskonałém być może!.. Doskonałość warunkuje się podążaniem ku lepszemu, ciągłością rozwoju, którą Szwajcarowie praktykują z gorliwością, zasługującą na — naśladowanie.

T. T. Jeż.





TARAS Z WOROCHTY.

NOWELA

Z ŻYCIA LUDU HUCULSKIEGO.

VI.

Wracając Taras z „Oparskiego gronia“ od roboty siana, gdzie był się najął, przechodził koło niektórych zagród po nad wertepami Paradżyna i tu zdybał wracającą do jednéj z tych zagród Olenę. Krew mu zaraz żywiéj uderzyła, gdyż cała ta przygoda onegdajsza stanęła mu żywo w myśli, i czuł, że nie będzie miał spokoju, póki się od niéj saméj nie dowie, co już chciałby koniecznie wiedzieć.

Pozdrowiwszy zatém dziewczynę zwykłém „Pomahaj Bih“, zapytał się, czy już ona całkiem czuje się przy sile po owéj przygodzie nieszczęśliwéj. Chciał ci koniecznie zawiązać z nią rozmowę. Olena spłonęła, a drżąca chciała coś mówić, niby dziękować „Hospodu Bohu“ i dobrym ludziom; ale nie wiedziała, co ma właściwie powiedzieć. Jednakowoż dała do poznania, że wié, kto ją wyrwał falom wody a topielcom Prutowym, na którą tylko myśl już bladła, jakby dotychczas jeszcze czyhały na nią „złe“ siły.

Taras słowo po słowie wybadać chciał dziewczynę, jakto się stało, że ją woda porwała Prutowa?... Co ona tam robiła właściwie?.. Dziewczyna spuściła w dół oczy i nie wiedziała, co już ma powiedzieć....

— Ta byli tam ludzie... taj łowili na brzegu, co już woda niosła.

I nie wiedziała, co daléj mówić, a Taras stał i czekał... Dziewczyna zaś dodała:

— Tu takie płynęły wam świerki, jakich nie łatwo znajdzie ni na „Keczerze“, ani może w lasach „Forestka.“

— Może być... Ja sam widziałem... Ale przecież to chlopy wyłapywali?

— Były i kobiety... taj dziewki, co stały wzdłuż brzegów. Jedne pomagały—inne się patrzyły.

— Ale to nie może być, by tam już nikogo nie było... tać żadnego chłopa, coby ratował dziewczynę, gdy się potknęła?.. Bo ci ludzie aż tu dopiero zdala przybyli przypadkiem....

I tak w nią wchodząc coraz bardziéj, doprowadził do tego, że drżąca przyznała się, iż widząc go zdala tonącego — przyskoczyła, chcąc przyjść w pomoc. Toż podawała tonącemu jakąś żerdkę porwaną na prędce—wszedłszy na kraj wody.

Tu mocniéj zabiło serce *łeginowi*.

Choć to przeczuwał, jednak nie chciał dopuszczać, żeby ona miała dlań sama się narażać... I krew mu uderzyła do twarzy.

W uniesieniu objął dziewę. Poznał w téj chwili, że ją kocha.

Lecz zaraz jakoby się tego przeraził.

Ona zaś była szczęśliwą. Lice dziewczyny płonęło od szczęścia, jakiego nigdy pierwéj nie zaznała.

Słońce było już zaszło przed chwilą. Na zachodzie spiętrzone stały jeszcze mgły, na pół czerwone, na poły zaś miedziane.

Dokoła rozchodziła się woń kwiecia—upajająca. Coś przygniatającego było w powietrzu. On czuł, że mu krew raźniéj płynie w żyłach, że serce kołace .. Mógłby ją i siebie uszczęśliwić, ale zaraz mu coś szepnęło, że im nie wolno, gdyż ona córką *bohacza*, a on kto taki?

Ta myśl go przygniatała. Skoro zaś wspomniał na jéj ojca—mróz przeszedł mu po kościach.

Gdy za długo już byli z sobą, a przechodzący ludzie znacząco na nich spoglądali — musieli się rozejść... Ona wracała do chaty rodzicielskiéj, dygocąca nowém szczęściem dotychczas nieznaném; ale pełna obawy, kryła to przed ojcem i matką. On zaś postępował zwolna, poglądając ku ziemi i zapytywał się sam siebie, czemu on taki nieszczęśliwy!... ach! czemu dziś nie ma ojca?

— Ha!—pomyślał sobie — Nie żyje już dawno... Nawet go nie pamięta od maleńkości... Musiało to być bardzo dawno: bo matka nawet nigdy o nim nie wspominała. Gdyby żył gdzie, byłby przecież sobie kiedy o nim przypomniał?... Ale tu zaraz dodał w myśli na pocieszenie swoje: — Gdybyż rodzic żył gdzie jeszcze...?! Alež nie... nie... To nie podobna!... Toby było okropnie, tak opuścić syna!.. Takich ojców nie ma na świecie!... A jeśliby był on gdzie daleko?.. Jeśliby bawił w obcych stronach... w dalekim jakim kraju.. tać może w wojsku?... To, co on temu winien, iż go nie puszczają do domu?.. Wszakci biorą na lat czternaście, a może i więcéj?.. To przecież długi czas — bardzo długi?.. I matka skończyła... a on nie był

przytém... Może nawet o tém ani wié?... Różna niedola chodzi po świecie, ta i po ludziach.

Młodzian się silił, by rodzica swego jakoś przecież usprawiedliwić... Jednak nie łatwo mu to przychodziło... Nie... on się nie mógł łudzić: ojciec jego nie żyje już dawno!

Gdy tak szedł zamyślony *płajem* po nad rzeką—zdało mu się, że Prut dziś bardziéj szumiał ponuro i powietrze jakieś cięższe a parne. Po chwili zbliżył się znany mu pewien człowiek i rzekł, że go długo szuka, gdyż Ołeny ojciec wrócił z Jasienia węgierskiego, gdzie kupił szeroki pas, gęsto *kilciami* (1) nabijany, a z dobréj skóry... Ten kazał go oddać *łeginowi:* sam bowiem strudzony z drogi, położył się zaraz spać, a jutro przed świtem jeszcze wychodzi do swojego siana; musi się spieszyć, gdyż grożą słoty.

Taras wypatrzył się, jakby dziś nie rozumiał tego człowieka. Lecz ten mu powtórzył, pokazując pas szeroki, czerwony, prawdziwy węgierski, suto ćwiekami błyszczącemi nabijany i zaczął mu tłómaczyć, że to za dziewę, którą *łegin* uratował z wody... Tać mu się za to coś przecież należy?... A ojciec Ołeny—to-ci *bohacz*, taj hojny.

— Toż to ma być zapłata?

— Ano tak.

— Ale ja nie chcę żadnéj zapłaty!

Tu z gniewem odepchnął podarek, a krew mu w téj chwili podeszła do góry.

Człowiek ów się zdziwił, co się dziś stało młodemu, że takim pasem pogardza.

— Toż ty chłopie żądasz czego lepszego jeszcze? To już chyba wołu lub szkapy?—dodał drwiąco.

— A kto wam mówił, że ja żądam czego?.. Ja wcale nie żądam... Czy ja co zrobił?.. Ja dla starego nic nie uczynił. Zaż on mi brat lub swat, żebym dla niego tonął?

— Tażeś mu przecież wydobył dziewkę z wody?

— A gdybyście wy szli, taj widzieli tonącego *chrystyanyna*—czybyście wpierw zażądali zapłaty, a potém szli ratować?...

— Ta gdzieby już tak?.. Ta, ot, co ty gadasz?

— A poco chcecie mnie płacić?.. Ja nie chcę zapłaty! Tu nie ma za co... Bo ja tu nic nie zrobił.

— Toż nie bierzesz?

— A poco ja mam brać?.. Jeśli zapracuję, to będę nosił nowy, żeby jaki... a jeżeli nie... toć i tak zostanie...

---

(1) *Kilci*, błyszczące u pasa guziki.

Człowiek ów odszedł, kiwając głową, zdziwiony, że chyba chłopa coś napadło i pomyślał sobie tylko: „Ot, durna jeszcze głowa! Nie bierze, gdy dają.“

A Taras pozostał na miejscu, ukąszony, by żądłem gadziny oną hojnością ojca Oleny. Czuł, że jest tylko „najmit“, któremu płacą... któremu za wszystko można zapłacić, nawet za krew jego własną. Gdyby był utonął, lub się rozbił na kamieniach, czyby mu i wtedy również chciano zapłacić?

Miał teraz wielką gorycz w piersiach a żal do swojego ojca, że go zostawił, jakby na łup tym ludziom, a nadewszystko temu człowiekowi, którego zła jakaś dola przeznaczyła na ojca Olenie, którego on nienawidzi od dziecka, tać wié, że i tamten to samo czuje do niego. Dziś chciał go poniżyć zapłatą, chciał go zdeptać w oczach dziewy!

Tu się zamyślił, dlaczego przeznaczenie dało go jako ojca téj dziewczynie... Ach! czemu ten człowiek przedziela ich oboje?.. On przeczuwa, że ten człowiek ich rozdzieli.

Ale tu budziła się w nim, jakby na złość, siła odporna, która mu spokoju nie dawała.

Zdawało mu się, że czuje nawet rozkosz wewnętrzną na myśl, gdyby mógł teraz podejść starego... Ten bowiem nie godzien, by z nim postępowano jako z człowiekiem. Kiedy już ma młodego za wyrzutka, za psa *niedobrego*, za zwierza dzikich borów — niechajże poczuje, iż pies taki kąsa, a wilk podejdzie do obcéj koszary i wybierze najlepszą sztukę, inne poszarpawszy.

Tak sobie mówił w duchu Taras i przyszedł nareszcie do przekonania, że on dla starego nie ma żadnych obowiązków, bo to wróg jego, a z wrogiem idzie się na ostro. Krew żywiéj zadrgała, czuł nawet, jak mu się teraz ciepléj robiło na samę myśl, że podejdzie starego. On musi jeszcze dziewę zbuntować!... Bo czy taki godzien, by miał dobre dziecko?.. Ona usiłowała ratować — słaba dziewczyna... a kogo?... Ano obcego, gdy rodzic jéj byłby go popchnął jeszcze daléj widząc pasującego się z wirem wody. Ha! jeżeli ten byłby go tu dobił, toż niechby i jemu to samo się stało.

Huculi nie bardzo się zastanawiają nad zasadami moralności. U nich krew gra gwałtowna, gorąca — i wiedzie człowieka do tego, czegoby lud „na dołyni“ tak skoro nie uczynił. A w owych czasach, kiedy żył nasz bohater, było jeszcze gorzéj. Wtedy bowiem nie przerzynał gościniec doliny Prutowéj jak dzisiaj, ciągnąc daléj po nad Prutcem i Jabłonicą rzeką, aż do samych Węgier; nader słabo przedzierał się w owych czasach promyk światła, szczególnie do kotliny Worochty, która była na uboczu od konnego nawet *płaju*

do Węgier. Dziki zwierz i zbóje gospodarowały po lasach ciemnych, otaczających słabo zaludnione sioła, porozrzucane tu to tam po *zworach* rzek, po jarach niedostępnych lub zapadłych kotlinach. Toż i mieszkańcy Worochty byli dziećmi swojego czasu.

Taras przeto nie mógł już się wiele namyślać, a schodząc się z Oleną uczył ją, jak ma podchodzić starego, by ten się o niczém nie dowiedział, ani nawet maty, choć to lepsza kobieta, ale ona nie da rady „swojemu.“ Zbije ją i musi uledz. Sprytu nie ma stara. A tu trzeba chrytrości liszki i zwinności węża, który się prześliźnie przez gąszcze cierniowe i napiętrzone zawady. Ho! ho! Stary ma oko rysia. Gdy upatrzy zdaleka, zaczai się i wpadnie znienacka, a będzie dusił za gardziel, tać wydrapie ślepie temu, kto się nie spodziewa.

Olena bladła na wspomnienie o ojcu, ale się poddawała *łeginowi.* Ona również wiedziała, że stary połamałby doni swojéj kości, gdyby ją przydybał z tym *łeginem*. Chwilami chciała wyznać wszystko mateńce, ale Taras odwiódł ją każdym razem, grożąc, że ją opuści, gdyby go przed nimi zdradziła. Wtedy dziewczyna płacząc zwieszała mu się na szyi, żeby jéj nie opuszczał, gdyż ona nie wié, coby wtedy uczyniła... Ona temu nie winna, że jéj już tak dał *Hospod' Boh*.

I tak coraz daléj postępowała miłość tych dwojga. Taras łagodniał nawet przy kochance i był już dobry, jakby dziecko; ale gdy starego zobaczył gdzie mimochodem, pojrzeli sobie obaj oko w oko. Stary czuł ku niemu większą teraz jeszcze niechęć. Ubodło go nie mało, że ubogi *łegin* przyjąć nie chciał darów takich—i on mu musiał zostać dłużnym... Myśl ta, że został dłużnikiem tamtego, nie dawała mu pokoju. Czuł tém większą złość ku *łeginowi.*

— Patrzaj go!.. Jaki mi *bohacz!*.. Pogardził pasem—taj taką *porosznycią!* A czy on kiedy miał to?.. I co on sobie myśli—ten?.. Lecz tu nie mógł dokończyć, bo krew mu uderzyła do twarzy i czuł się przygnębionym.

Innym znów razem, gdy był pewny, że młody nań nie patrzył, utkwił wzrok w tegoż oblicze i zdawał się jakoby zastanawiać. Ale westchnąwszy ponuro, odwrócił wnet twarz i był już cały dzień do wieczora jakiś *markotny* a posępny.

Zali się w nim sumienie budziło?... A może mierzył tylko siłę wroga?.. Patrzał bowiem na tegoż plecy szerokie, rozrosłe, podobnie jak jego; gdyż i on sam był nader silnéj budowy ciała.

Czasem znów, gdy usłyszał przypadkiem głos Tarasów, choć bardzo zdaleka, wstrząsł się raptem, jakby usłyszał syk gadu *niedobrego*, a wtedy i w dniach następnych własny swój głos przygłuszał z umysłem, nie mogąc krzyknąć dobitniéj, gdyż we własnym głosie

przywidywało mu się słyszéć jakoby tamtego... Czy to „złe“ czyni jakie harce?.. Słyszącemu bowiem głos *łegina*, zdawało się słyszéć, jakby drugiego siebie?.. Czuł, że wtedy siebie nienawidził. I głos go własny przestraszał. Czy to *tumany dyable!...* Dawniéj przecież tego nie było. Niechby dzisiaj już i sam na zawsze ochrypł, niechajby mu w gardle raczéj charczało: niżeliby miał raz poraz słyszéć głos ten swój, donośny, ostry, przenikający! Bo i tamtego taki sam. Zdało mu się, jakby im dwom w obszernéj kotlinie Worochty było za ciasno.

Tymczasem młodzi schodzili się to tu, to tam... Ołena zaś stała się bardzo ostrożna.

Mimo to nie miarkowali, że stary śledził córkę, gdyż chwilami bawiła ta gdzie zadługo, a spytana jeno się rumieniła. Matka łatwiéj uwierzyła doni, lecz stary postanowił wyśledzic, z kim to córka jego się schodzi.

Ale młodzi tego nie wiedzieli.

I tak, gdy pewnego wieczora zeszli się za starą, rozłożystą osiką, a mieli za sobą małe kupki zrzadka rozbiegłych świerków, nie uważali, że coś rzucało cień nieznaczny to z po za tego, to tamtego świerka.

Cisza była do koła; księżyc stał ogromny, jakby dziś krwią ociekły, zwolna się wznosząc między „Magurą“, a „Rebrowaczem.“ W powietrzu dygotało, jakby na trwogę i niedolę...

Tak parno było i stęchło, jakby zaraza wisiała w powietrzu.

I oni nawet oboje, rzekłbyś, przeczuwali coś złego: nie wiedzieli bowiem końca swojéj miłości. Aleć i nie spostrzegli, że cień z po za świerków przedłużał się nieznaczny, to gasł czemprędzéj— i znowu gdzieś migotał ruchliwszy, niż fale Prutu w żywym blasku słonka.

Nareszcie coś zatrzeszczało, jakby się ktoś przeciskał przez gałęzie... Oni się oglądnęli... a tu wyskoczył, jak wściekły, ojciec dziewczyny.

— Ha! ty tutaj?.. *Pohane* dzieci...

Ołena się przestraszyła i zaczęła na widok ojca uciekać; ale Taras pozostał na miejscu, rzekłbyś, wroga wyzywał.

To jeszcze bardziéj rozzłościło starego, że wyciągnąwszy kół z pobliskiego *worynia*, skoczył jak zwierz drapieżny na *łegina...* Ten zaś w mig wyrwał go napastnikowi, zawoławszy tylko:

— Gdyby to nie ojciec Ołeny, ubiłbym... dalibóg! ubiłbym!...

— Ha!.. Ojciec... Ołeny?.. A co tobie do tego, że on ojciec Ołeny?—Tu mu się rozżarzyły ślepie, by u zajadłego *żerwy* (1). Lecz Taras zwolna tylko odchodził, nito szydząc z niemocy wroga.

---

(1) *Żerwa*, pies zjadliwy.

To starego jeszcze bardziéj bodło, że nim jakby pomiatał przeklęty ten *łegin*. Szedł zatém zdala krok w krok za nim, pozierając z pode łba, nito pies warczący, ta n i sam kołując — i przemyśliwał, jakby się teraz pomścić... Spostrzegłszy zaś, że Taras wstępuje na kładkę zarzuconą na Paradżynie przyskoczył nagle, chcąc *łegina* strącić. Lecz ten się zwrócił czemprędzéj i chwycili obaj za łby.... a nie mogąc się utrzymać na chwiejnéj kłodzie świerkowéj, obaj zapaśnicy zachwiali się — i z wysokiéj kładki naraz na dół pospadali w potok, na sterczące w korycie złomy głazów. Z bólu syknął jeden i drugi, gdyż uderzywszy całém cielskiem o ostre kamienie ledwo mogli powstać, a stary tylko jęczał. Taras zaś chwyciwszy się za kolano spostrzegł rozdartą niemałą ranę. Toż w złości jak chwycił za kamień ciężki, chciał nim ubić wroga. Lecz ten zbladł w téj chwili i czemprędzéj zawołał przerażony.

— Stój!.. Nie zabijaj!.. Ty.. nie wiesz.. kogo?.

— Kogo? Wroga swojego? — I tu się lepiéj zamachnął.

— Nie, nie wroga... *Hospody* Boże! I dodał ciszéj:—Ja tobie... dałem życie....

I tu nie mógł dokończyć—przerażony cały.

Taras wypatrzył się, a spojrzawszy na wijącego się w bólu, pobladł raptem: bo tu zbliska własne w nim poznał swoje rysy.

I zdało mu się, że się ziemia z pod niego usuwa. Stary powstał jęczący z bólu i przerażenia. I powlókł się chwiejąc, z żebrem złamaném, ze sercem zakrwawionėm, przeklinający siebie.

Taras stał na miejscu nito senny.

Po chwili ocknął się, spojrzał do koła, a w powietrzu dygotała cisza i groza nocy.

Zaczął przecierać oczy.

Nie... To było w samėj rzeczy!.. On się pasował tu... tać z kim... przed chwilą?.. Toż ten człowiek był dla niego...

I tu nie mógł dokończyć.

Na myśl tę czuł, że dostaje zawrotu głowy... Wszystkie dni przeszłe, dni minione przechodziły w jakiś wir szalony, hucząc i szumiąc w głowie.

Ha! kogoż on dziś pokochał?.. Tę, co mu była... Na Boga! Toż jakoby... Ach! krew z krwi téj saméj!..

W piersiach go paliło, w głowie czuł straszny zamęt.

I dlaczego to się stało, że tyle nań teraz spadło nieszczęścia?

Toż dzieckiem on czyjem?.. Myślał, że oszaleje.

I co mu teraz pozostaje?.. Zali może dziś wracać do sioła między spokojnych ludzi?.. Czy może dziś na nią pojrzéć?.. Tu zbladł cały. Przekleństwo i po siedmkroć przekleństwo!

On jéj już nigdy nie zobaczy! On jéj widzieć nie może! I wzrok przerażony utkwił w ziemię.

Po chwili ocknął się.

Ha! skoro już napiętnowany od kolebki, gromem doli swéj porażony, dziś miejsce jego nie może być między ludźmi, co mają ojców i mogą kochać.

Jego miejsce już tam, gdzie mu nikt w oczy tego nie rzuci!... Uciekaj stąd—uciekaj!

VII.

Byli właśnie na „Keczerze," (1) do których on przystał. Z baryłki zrabowanéj na Węgrzech żydowi jakiemuś pili panowie *mołodcy* (2) i częstowali nowo do drużyny przyjętego.

Taras pił na umór... bo paliło go w piersiach... Chciał dziś wszystko w sobie zatłumić, jakoby już zabić w pamięci całą przeszłość pełną walki o byt i życie w niedoli—chciał zapomnąć, kim jest..... A skoro wspomniał na dziewę pozostawioną w siole, czuł, że mu serce bić przestaje: był wtedy blady jak chusta—a potém żal go objął okropny, i chwycił czemprędzéj za baryłkę i pił, jakby chciał się na śmierć zapić.

Pijąc zaś łapczywie, czuł, że żar płynie po żyłach ale i coraz bardziéj mroczy mu się w głowie... Drzewa zaś i postaci towarzyszów chwiać się już zdawały, to przybierać coraz inne kształty—coraz potworniejsze... Nareszcie widział jakieś postaci, nito z wilczemi szczękami, nito z kłami dzika... I tu się dziwił, gdzie dziś jest właściwie?... Po niejakim czasie gwar tylko jakiś dziki, pomieszany, dochodził do uszu jego—ale już zdawał się wirować to tu, to tam—przechodząc nito w szumiące jakieś fale... Nareszcie wszystko mu pociemniało... do koła rozległ się tylko szum jakiś głuchy, niby klekot, zbliżający się stąd i zowąd—ze wszystkich stron, coraz silniejszy, gwałtowniejszy, nakoniec obległ głowę całą, przytłoczył ją jakby kamieniem, i młodzian nic już nie wiedział, co się daléj z nim działo.

A dokoła niego dopijano reszty—to leżały pokotem dzikie postaci, marząc o jutrzejszéj wyprawie. Oni tu czatowali na Worochtę. Znajdą-ci schowane u niejednego *bohacza srokowce* i talary białe.

Po niedługiéj chwili wszystko już spało.

---

(1) *Keczera*, pierwszy wysoki szczyt na drodze między Worochtą a *Czarnohorą*.

(2) *Mołodcami* zwano opryszków, w znaczeniu dobrém.

Taras chrapał, jęcząc chwilami i dziwne wydając głosy.. To się zrywał, na poły powstając, lecz wnet upadł—nieprzytomny. Głowa mu ciężyła, jakby nie jego, a lice miał jakieś czerwone, bijące żarem.

Nad ranem przebudził się ze snu ciężkiego i zaczął rozglądać do koła jakby nie przytomny, a zoczywszy leżących pokotem, zaczął przecierać oczy... Gdy zaś przypomniał sobie, gdzie jest właściwie, a widząc, że przed chwilą były to tylko senne mary, on dzisiaj znów jest tém samém... dzieckiem .. ach! tego człowieka.. i bratem, jakim być nie powinien: chwycił się za głowę i jakiś czas tak pozostał.

Potém nagle skoczył, wyrzekłszy półgłosem:

— Co się stać miało, to się stało. Takie już było przeznaczenie...

Zaczął się rozglądać między towarzyszami, i poznał dwóch ze sioła swego, którzy dopiero w nocy nadciągnęli do drużyny, i przestraszył się, gdyż mu się zdało, jakoby to była na niego zasadzka z Worochty. Lecz od jednego z *mołodców* dowiedział się wkrótce, że to „swoi“... Mimo że są gazdami w Worochcie, lecz od czasu do czasu chodzą z nimi na „zarobek“. Tu się dziwił Taras, gdyż miał ich zawsze za porządnych i spokojnych gazdów... a oni tutaj?

Już i inni ruszać się zaczynali, choć jeszcze słońca nie było na niebie. *Burczymorda*, czarny jak cygan a gruby jak pniak buczyny, kurzył sobie obojętnie *bakun* węgierski—dwóch się jeszcze wyciągało; *watażka* zaś, sążnisty chłop w czarnéj suto łyszczącéj *kresani* na głowie z piórem *gietura*, opasany pasem szerokim, z węgierska nabijanym srebrnemi guzikami, tłómaczył obok siebie leżącemu, gdzie się teraz udadzą i którędy, gdyż na Worochtę dziś niepodobna, jak zamierzali, skoro tam się coś takiego stało, że ów *łegin* do nich przybył... Tam się mieć teraz będą na baczności... *Mołodcom* zaś trzeba takiéj chwili, ażeby mogli napaść niepostrzeżeni. Dwaj znów inni z drużyny czyścili lufy strzelb swoich, nad tém się tylko zastanawiając, czy kto tu nie rzucił *uroków* jakich na te rusznice, bo-ci wczoraj jedna z nich ciągle chybiała... a jeżeli tak, należałoby dać *odczynić*...

Taras tymczasem dokoła się rozglądał po tém miejscu. Zrobiwszy parę kroków gąszczą, poznał, że nocleg tu mieli u końca już boru wysokiego—blisko samego *gronia*, gdyż wiatr go ostry teraz owiewał...

Zdało mu się, że tak lepiéj może choć odetchnąć...

Wyszedł zatém na sam kopiec, chcąc zobaczyć, czy świat dzisiaj ten sam, co wczoraj.

A tu ze szczytu „Keczery“ szerokim do koła kręgiem roztoczyły się kopce gór za kopcami, wyższe i niższe—okrągłe, to podłużne w szacie świeżéj, porannéj, w całéj krasie ciemnego szafiru, to jasnéj zieleni, inne znów czarne, by sadza W takiéj chwili i on się zapatrzył, niby marząc, że świat tu taki uroczy, gdy oni rozbijać i mordować będą!...

Tam na północy poznał długie pasmo „Diłu“, tać „Ryzy,“ i daléj *gronie*, za *groniami* aż do „Kitiłówki“ (1)...

Ach! on tam niegdyś pierwsze stawiał kroki na połoninach! Tam-ci był z *bouharami*... A dzisiaj?... Cóżeć już dzisiaj?... Zali te *bouhary* bardziéj go kochały, niżeli dzisiejsi jego towarzysze?... Nie... On tam pracował i narażał się za drugich, niedorostkiem jeszcze będąc—a oni czém byli dla niego?... Tu chmura osiadła na skroni młodzieńca... Ha! skoro nie uważali go za równego sobie, ani chcieli wiedziéć, że w nim taka sama płynie krew czerwona, tak samo jemu, jak im, głód doskwiera: toć teraz się dowiedzą!...

I złowrogie łyskawice mignęły mu w oczach.

Wrócił do towarzyszy, co się już zbierali, by rzucić legowisko nocne i daléj pociągnąć.

Ponieważ uradzono, że napad na *bohaczy* Worochteńskich na dziś musi być odwołany, toż owi dwaj gazdowie wrócili nazad do sioła, do chat swoich, by daléj tam gazdować, wespół z innymi, taj podglądać, gdzieby chowano ukryte *srokowce*, tać *banki* (2).

Taras spoglądnął na nich, znajomych sobie ze wsi, i miał minę, jakby chciał im plunąć w oczy: on dziś zbójcą i będzie rozbijał, ale nie wraca do swoich, by z nimi jadł z jednéj misy i pijał na *chrystynach* taj *pochorenkach*, potém zaś oddawał ich w ręce, co im nóż przyłożą do gardła. A przecież oni mieli rodziców, co również gazdowali i zostawili im, że mają dzisiaj żyć z czego?..

I tu znów gęsta chmura osiadła mu na licu.

Nie chcąc atoli nad tém dłużéj myśléć, machnął ręką i zwrócił się ku druhom, którzy już ruszali.

— Hej!.. Tam się zieleni na górze połonina „Łabieski,“ a daléj bez *mraki* dziś kopiec „Kukułu“! (3)... Wkrótce tam-ci już będziemy—rzekł watażka do Tarasa, który rozpocznie teraz pochód z nowymi towarzyszami.

---

(1) Wszystkie tu, jak i w całéj powieści wzmiankowane szczyty, grzbiety, rozwory potoków i kotliny głębokich gór malowane są z własnych postrzeżeń autora, który był we wszystkich kreślonych tu miejscach, a nieraz i po kilka razy, w różnych porach.

(2) *Banka*, pieniądz grubszy u huculów.

(3) *Kukul*, szczyt wyższy od *Keczery* w drodze na *Czarnohorę*.

— Jeno zejdziemy gęstym borem w przełęcz, taj dalej w ciemny bór do góry, na „Łabieską.“ *Ty* tam nie *był* jeszcze, nieboże?

— Tu na „Keczerze“ wam byłem... Tam jeszcze nie... Co tam będzie w tych borach, *bat'ku*?

— Ho! ho! .. Tać obaczysz... Za „Kukułem“ jeszcze gorzéj aż do samej „Czarnohory.“ Tam-ci puszcza, choć oko wykol!... A od niedźwiedzi, taj rysiów. . już bo się roi. Przyjdzie ci, chłopie, nie z jedném się spotkać... Ty się boisz, młody sokole?

— Ta, gdzieby ja wam się bał tego!... *Toj staryj* (1) mnie-ci znany... Albož się z nim już nie zdybywałem?... Jako chłopię wam jeszcze niewielkie takem przywitał kamieniem *mysia* na „Ryzach,“ że się bestya ruszyła za mną.

— Ale i *toj małyj* (2) „*neshirszyj*.“ dodał watażka. Tam wyją po nocach całe ich stada... A w zimie, to-ci w zimie na „*Wasyla*“ lub na „*Widorszczy*“ (3) gdy to zacznie uganiać za wilczycą, toż *mołodcom* chyba wyłazić na skałę, gdzieby było takie *berdo* (4), iżby *zweryna* nie wyszła już do góry... Albo oddaj swoje kości na wieczerzę dla bestyi!... Lato, to *durnycia*, ale zima—to dla nas *suszenie*. Lecz i ona jakoś przejdzie. I cożeś się tak *zażurywr*?

— Ej, nie, bat'ku... Ale ja *dumaju*, że tam muszą być *małki* (5) w tych borach... a może *wołkuny* (6)?

Tu się wpatrzył z obawą w starego.

— Ta pewne, że są... Tam jest wszelaka bieda.

Zaraz się zbliżył on stary z siwą brodą *mołodec*, a rad, że może swoje dodać, zaczął opowiadać, jakto razu jednego jakiś dziad całe wesele zaklął w „Jabłonicy,“ że zawyli i pognali już *wołkunami* w puszcze aż za „Forestkiem“. I *mołodyj* biegł *wołkunem*, ta-ci starosta i drużbowie. Długie takie lata biegali po puszczach koło Czarnohory, a były noce, że napadali na sioła ludzkie.

— Taj już zostali do śmierci jako wilkołaki?—zapytał Taras.

— A no, nie... Gdy odbyli swoję pokutę, że na weselu psami dziada poszczuli, ten-ci dnia jednego już się zmiłował, gdy słyszał tu w tych borach owo wycie a skomlenie żałościwe, toż już wypowiedział *takie słowo*, że ich *odklął*, i był-ci koniec ich męce.

---

(1) *Toj staryj*, tak zwą tu czasem niedźwiedzia.

(2) *Toj małyj*, znaczy wilka.

(3) *Na Wasyla*, znaczy u hucułów: Na Nowy rok (ruski). *Widorsscsy*, tj. Jordan.

(4) *Berdo*, przepaść skalista.

(5) *Małki*, rodzaj bogiňek opiekujących się zwierzętami leśnemi.

(6) *Wołkuny*, to samo, co *wilkołaki*, tj. ludzie zaklęci w wilki.

— No, i zostali-ż nazad ludźmi?

— Tać nie inaczéj, chłopie. Jeno *muzyka pohybal*. Bo-ci go potém, gdy się oddalił za daleko od czeredy, ubili strzelcy—tać niby wilka... ale gdy przybyli, był-ci to człowiek... taj były i *skrypki* pod skórą wilczą, bo jeszcze do połowy wilkiem był obrosły.

I gdy tak gwarzyli, przebrnęli gąszcze ciemne świerków, i kłody leżące, poobalane burzą i piorunami, tać błota leśne rozmiękłe, choć słonko dogrzewało, i drapali się gęstym borem na „Łabieską."

Już... tuj... tuj dochodzą, drzewina zdaje się być rzadsza i niższa, toć będzie zaraz grzbiet... Ale nie... tam wyżéj inne się kupki smereczyny wychylają, a tam znów inne... to przedzielone niby *halawkami*... Czyż nie będzie temu końca?... Ale raz już muszą wyjść na zieloną połoninę...

Ot, na wysokim zboczu widać już pasące się *drobieta*, a koło nich pastuchy czarne, osmolone wichrami, z długimi do pasa kudły, z obawą poglądające na *panów mołodców*, z którymi muszą się jakoś znosić, by im z trzodami żyć tu dozwolono.

Watażka kiwnął na jednego, który posłuszny zaraz zbiegł z góry. Tu zapytał go się, czyli tam nie ma gazdy którego ze sioła, żeby długim swym językiem zaniósł do swoich, gdzie krążą teraz *panowie mołodcy*?...

A skoro otrzymał odpowiedź przychylną, kazał mu tylko przynieść *budzów* kilka i *małajów*, by się zaopatrzyć w dalszą drogę.

Gdy zaś pastuch chciał się zaklinać, że to dawno im wyszło, wziął go po swojemu niby z lekka za kudły i nieco potermosiwszy, dodał tylko.

— Nie powiesz mi tego po raz drugi! Bo ci szyję utnę, chłopie, a łeb twój za to *wołosie* tam zawieszę, gdzie ci już dziki ptak dziobać będzie ślepie... Rozumiesz? Resztę zaś z ciebie rozniosą *wilcy*.

A gdy go puścił, przelękły parobczak, czerwony na smagławéj swéj twarzy ze strachu i wysilenia, nachylił się do ziemi, i zaraz się *kopnął* do góry, chwiejąc, nito piany, na prawo, to na lewo.

— No, teraz chłopcy... ten nam już przyniesie.

Taras wypatrzył się na rozkazującego watażkę, i poznał, że tu dziś niczego im nie zabraknie, skoro oni są na połoninach, jakby u siebie.

Mołodcy tymczasem drapali się na prawo, kędy ściekało źródło „Paradżyna"—ono z pod „Łabieski." I Taras, zmęczony drogą, pił pożądliwie. A gdy się napił, zapytał, czy to ten sam Paradżyn, co tam we Worochcie wpada do Prutu?

— Ten sam, synu—zaczął zaraz pouczać ów stary między nimi *mołodec* z siwą brodą i siwym włosem. Jedno-ci *żerelo*, co widzisz tu

z pod „Łabieski," a drugie tam na innym groniu „pid Berdom"; te-ci tworzą jeden „Paradżyn," co już płynie we Worochcie wyżéj tam wertepem głębokim, a drugi wasz Paradżyn ma znowu dwa *żerela*: jedno z pod „Bukowinki" na granicy węgierskiéj, taj drugie z pod „Worochtenki".

I tu się rozgadał, jako był skory do gwarzenia.

Lecz tymczasem przyszedł ze *stai* (1) pastuch on ze starym *watahą* (2), niosąc *budze* okrągłe i *małaje*, ile tylko zmogli.

Mołodcy wzięli od nich, a napchawszy swoje *besahy* i torby, zabrali się daléj.

Wyszli nieco w górę na sam wierzch podłużnéj „Łabieski," a idąc zielonym groniem (grzbietem), mieli po prawéj i lewéj ręce roztaczające się fale kopców niższych pasm, pokrytych, zielonością jaśniejszą, to ciemniejszą borów nieschodzonych.

Długim tym grzbietem przechodzili, posuwając się, to zielenią połonin, to niby klombikami świerków niskopiennych, owiewani ostrzejszemi prądami powietrza na większéj już wysokości.

I tak weszli na grzbiet „Kukułu", który wyżéj się wznosił z pasznistą swoją połoniną.

Tu na stronie północnéj pasły się z rzadka owce, lecz *bouharów* nie było gdzieś nawet widać. Mołodcy też ich nie szukali, nie chcąc nawet tylu mieć świadków, którędy się obecnie udają. Rzuciwszy tylko okiem w siną dal ku północy, gdzie pasma za pasmami falowały w poświetle jasnego słońca, rzekłbyś, drobnym przyprószone pyłem, gubiąc się w oddaleniu w jakąś siną, to białawą zamrocz, pozostawili przed sobą kopiec okrągły „Kukułu" i skręcili się ciszkiem chyłkiem na zielone zbocze południowe ku stronie węgierskiéj.

Tu od południa zarysowało się, jakby już było bliskie, pasmo wysokie „Czarnohory". „Howerla" (3) stała, by ogromna kopuła, a ku niéj poglądał olbrzymi garb węgierskiego „Pietrosulu," zwrócony, rzekłbyś, licem swoim do téj olbrzymki. Taras spojrzał na nie, i zagrało mu w żyłach. Jakiś uroczysty przestrach objął go na widok tych kolosów.

Zszedłszy teraz szybko zieloném tém zboczem, wchodzili w puszczę pełną grozy ciągnącą się wzdłuż węgierskiéj już granicy aż do saméj „Czarnohory."

---

(1) *Staja*, szałas większy, niżeli *kolyba*. W *stai* odbywa się robota około nabiału.

(2) *Wataha*, starszy nad pastuchami w szałasie.

(3) *Howerla*, najwyższy szczyt *Czarnohory*. Cały łańcuch *czarnohorski*, najwyższy we wschodnich Karpatach, obchodził autor trzy razy w życiu swojém, i był na każdym jego szczycie.

Tu musieli się przebijać przez gąszcz olbrzymich paproci i zielska, rozsiadłego pod stopami świerków, rozsyłających na wszystkie strony korzenie swe dlugie, z ziemi sterczące. Miejscami wchodzili w trzęsawiska zimne, omszone, z dogniwającemi kłodami—tak, iż mogli się tylko posuwać z wielkiem wytężeniem, obawiając się co chwila gadzin i wężów.

Gdy się daléj posunęli, taka stanęła im przed oczy pustynia leśna, zimna, niegościnna, pełna grozy, że mrowie przechodziło po kościach; a za nic w świecie nocą tutaj nie odważyliby się nawet oni—zbóje.

Mówiono bowiem, że w nocy nie tylko stadami chodzą tu *wilcy*, ale słychać od czasu do czasu wycie upiorów leśnych i *wołkunów*.

Przechodząc takie miejsca, gdzie już słońce nigdy nie zajrzało, gdzie drzewa stały od wieków, te same—w niemej jakiejś grozie, oddech wstrzymywali i szli prędko, nie oglądając się po za siebie, bo tu nader było niebezpiecznie.

Mimo że dzień był, wiatr jakiś „niedobry,“ chociaż uśpiony, ruszać się zdawał. Oni posuwali się szybko, drżąc na sam odgłos kroków swoich własnych.

Czasami coś śmignęło—ryś to, czy może nie ryś?... Może to co gorszego?

Gdy już przeszli te samotne miejsca, gdzie noga nie staje człowieka, przyszło im teraz przechodzić omijane przez zbójców nawet „Krywyj Hegi,“ bo to droga nader jest uciążliwa (1).

Drapali się tutaj do góry po zsuwającym zwirze, ostrym, krzemiennym, i nazad zsuwali, chwytając rękami za gałęzie, to za wystające korzenie świerków, szarym mchem pokrytych, chorobliwych. A gdy wyszli zziajani, czerwoni od krwi nabiegłéj do twarzy, na *groń* jaki, musieli znów zsuwać się w dół, kalecząc ręce i nogi.

I tak dalej posuwali się—raz w dół, to znów w górę. Chwilami śmignął żbik na drzewie, utkwiwszy w nich ślepie, to się nagotował ryś z poza gałęzi jakoby do skoku, by wydrzeć któremu z nich oczy, a chwycić się ostro pazurami; lecz gdy tu dał w mgnieniu oka któryś z mołodców ognia, zwierz znikł gdzieś w gąszczy.

Tu w téj dzikiéj połaci, nieprzystępnéj, w jednym z parowów, gdzie się usuwały usypiska krzemienne, mieli swoje schronisko z dylów a łubu świerkowego.

Lecz nie weszli tam zaraz, jako ludzie do swego mieszkania, jeno jeszcze z daleka zaświstał *watażka*, na co wnet mu drugi głos stamtąd podobnie odpowiedział.

(1) Całą drogę, którą tu w téj dziczy, przebywają opryszki w powieści, przebył autor w r. 1884, a droga na „Krywyj Hegi“ należy do jego najuciążliwszych.

Byli tam już dwaj inni, co chodzili do „*Jasienia*“ (1) na zwiady, i czekali na nich. Teraz radzić będą, czy ma być tymi dniami wyprawa ich na „Jasień“ węgierski, czy też na Worochtę?

Tymczasem ze dwa dni potrwa ich wypoczynek.

Taras poznał, że nowe dlań się dziś rozpoczyna życie, pełne trudów i niebezpieczeństwa, On dziś tak trudów potrzebował, tak szukał niebezpieczeństw: by umilkła w głębi piersi wrzawa.

VIII.

Od kilku już dni leżał ojciec Ołeny bezsilny, z żebrem złamaném. Stary *znachor*, znany w całéj okolicy, *zamówił* ranę, natarł maścią z ziół zbieranych o *swojéj* już *godzinie* na dalekich górach, może nawet na „Szpyciach“ (2) czarnohorskich, *zamówił* i okadził: nareszcie wyrzekł, że będzie dobrze.

Ołena nie mogła się ojcu na oczy pokazać, bo wtedy w gniew wpadał, jako i na starą, która dziewki nie umiała pilnować. Córka łzami się zalewała, a matka szlochała także, zdaleka ręce jeno załamując.

Chory się nie odzywał, chwilami tylko westchnął, a wtedy stawała mu w oczach niewiasta znana niegdyś przed laty...

I widział ją, jak jeszcze dziewą będąc niewinną, z chaty ojcowskiéj, Mikuliczyńskiéj, wybiegała po nad Prut, oczekując niecierpliwie *spławów*, z którymi on miał nadpłynąć. Z jakąż to radością witała go wtedy, szczęściem zarumieniona!... A już w takim razie *spław* jego, przybity do brzegu, nie zdążył daléj za drugim. Czy on ją zwodził?...

Wszak ci i jemu serce biło, gdy *spław* dochodził tam... do miejsca dobrze znanego?.. Ach! nieraz on z Worochty swojéj przekradając się wieczorem *płajami* na „Rebrowacz“ i „Leśniów“ krótszą drogą, nie mówiąc nic ojcu swemu, około północy dopadał ukochanéj, która na znak dany ciszkiem się z chaty wymykała.

Tak-ci byli ze sobą długie chwile. Rankiem zaś kiedy słonko wzeszło, widziano już go w Worochcie. A no, gdy ojciec łajał, za czém wstał nito tak rano, tłómaczył się młodzian, że chodził, to na jaką *carynę* (3), czyli tam nie ma szkody, to za siekierą, którą był

---

(1) *Jasień* cz. *Kőrősmözo*, mieścina tu w głebokich górach węglerska, zaraz za *Jablonicą*.

(2) *Szpyci*, część skalista Czarnohory, sławna ze złomów dziwnego kształtu kamieni i z ziół, jakie tu huculi zbierają.

(3) *Carynami* zwą tu piękne łączki ogrodzone *woryniem*.

gdzieś pożyczył, za tém to owém, i na wszystko znalazł już sposób. Czyż on był wtedy inny?

Chciałby o tém teraz zapomnieć; lecz obrazy dawno zamierzchłe raz wraz powstawały w duszy, uparte... Nie mógł się od nich uwolnić.

I co on potém uczynił?... Jak to się stało, że porzucił wierną sobie kochankę?... Ha! to już takie było przeznaczenie.

Przynajmniéj silił się w siebie to wmówić. Bo co on temu winien, że mu dola inną podłożyła?

W *złą* godzinę zobaczył pierwszą, w *złą* również godzinę pojawiła się druga.

I jęknął z bólu, bo mu w téj chwili silniéj rana w boku zabolała...

Lecz na zapytanie przestraszonéj kobiety, czyliby mu w czém nie pomogła, nic nie odpowiedział, jeno pozierał ponuro.

Dziwił się, dlaczego dziś mu te myśli przychodzą, skoro o nich dawno już zapomniał... gdy jéj już nawet nie ma między żyjącemi...

W téj chwili stanęła mu przed oczyma postać opuszczonéj, ale już... tutaj, jakby w Worochcie, choć on jéj tu nigdy nie widział. Mówiono tylko—potém, że ona tu, przed laty, w ostatniéj nędzy, z dzieckiem małém przywędrowała... I to go ukłóło jakby żądłem gadziny... Czuł, że jest występny.

Hospod' Boh zesłał nań dziś karę, że własna jego krew przeciw niemu powstaje.

Ale kto temu winien, jeżeli nie on sam?... Alboż nie opuścił sieroty niby psa? O psie lepsze mają staranie, niżeli on miał o nim. Toż teraz niczego odeń nie może się spodziewać.

I tak się dręcząc, zasnął po chwili... Sen miał ciężki... zrywał się co chwila; lecz rano przebudzony, był jakoś spokojniejszy, i rana zaczęła się już zasklepiać. Znahor mówił, że żebro się zrośnie.

I tak z dnia na dzień przychodził do zdrowia.

Czy to huculowi pierwszyna, mieć jedno a nawet dwa żebra złamane?... Bywały nie takie przypadki, a jakoś się człowiek wylizał. U hucuła kości twarde. Połamiesz je, to ci się nazad zarosną!

Nikt już nie wątpił, że stary żyć będzie. Aż tu naraz przyszły wieści, że Taras przystał do opryszków... Stary się przeraził... Przestrach i groza położenia przejęły go mrozem.

Teraz był pewny, że Taras znalazłszy towarzyszów, pomści się za całą swoję niedolę, za dni długie bez opieki, za swoje sieroctwo i sieroctwo matki.

Przybędzie dziś, spali mu chatę, wytłucze *marzynę*, jego samego zabije a córkę porwie!

Przerażony tém, zerwał się z łoża boleści, niepomny na rany, a forsując się, gotował nito do obrony...

Broń swoję zaczął naprawiać, to drzwi chaty lepiéj zaopatrzyć próbował, obejście zaś całe ogrodzić chciał ostrokołem. Atoli wszystko to było za mało. Czuł sam, że nie da rady... Błagał nawet sąsiadów, żeby mu dopomogli.

Ale nic nie zrobiwszy, okropnie strudzony, zmordowany, padał na łoże... Rana wtedy się otworzyła i czuł, jak go krew parzy... to dochodzi raz wraz do lica... a tętnice na głos biją.

Skoro zaś przyszła noc, zaczął nawet majaczyć.

Obie kobiety stały przestraszone: gdyż w gorączce nieprzytomny zrywał się i kazał drzwi podważać kołem, wołając, że już... tuj... nadchodzą...

Wszak ich słyszy... tam... za oknem... jak się zmawiają... Oni chcą chatę podpalić!

„Uciekajmy!“ krzyknął—i zerwawszy z łoża nie dał się wstrzymać obu niewiastom.

Rzucając się dopadł drzwi, lecz tu legł charcząc tylko jednak o tyle osłabł, że go już obie kobiety przelęknione ledwo zaciągnąć mogły do łoża. Czas niejaki chrapał gwałtownie, a sen jego był jakiś niepewny, dziki, urywany. Wydawał z piersi chwilami syk jakiś niezwykły, to skomlenie spazmatyczne. Nagle się zerwał i zapatrzył jakby w jeden kąt izby z szeroko rozwartą źrenicą, szepcąc głosem zatrwożonym:

„Ty... tutaj?. Wszakeś... dawno umarła?... A więc stamtąd można przychodzić?“

I trząsł się jakby z wielkiego zimna.

Potém zawołał błagająco: „Ale ja... ja... nie wiedział... gdyś umierała... Na moję duszę!... Wierz mi!... Byłbym przyszedł... Nie wierzysz?.. Tyś mi dawnéj zawsze wierzyła“...

A obie kobiety stały przerażone, ni *maty* ni *donia* nie mogły zrozumiéć, coby to znaczyło, do kogo to on tak się odzywa?...

W tém zwrócił się do żony mówiąc:

„Ale... ty... jéj... nie wierz... nie... To nie ona... Ty myślisz, że to ona—ta sama?... Cha... cha... Ta już nie żyje... A to „złe“ przybrało jéj postać... *Taka* teraz tylko *pora*... wierz mi, że to *pora*... i ot.. patrz!... już się rozwiało..' Prawda, że tego już nie ma?... Ona już drugi raz nie przyjdzie... Bo co ja jéj winien!... Że ty tutaj jesteś?... Czy ja cię mam wygnać z chaty... Ale nie bój się... Ja ciebie nie wygonię..' Co?.. Ja z nią?... Ta ja z nią tu żyć nie będę... Brr... jak mi zimno!... Nogi mi ziębną... Mróz podchodzi do góry... Zapalcie tu *watrę*!... Ach! prędzéj! prędzéj!... Bo ja zmarznę... Mróz przejmuje

mi kości... Czy tam się wicher już zrywa na dworze?.. Ach! jaki mroźny... Brrr."

I padł na łoże, a kurcze go wnet chwyciły. Oddech zaś zdawał się buchać z ust wrącą parą, a pot lépki, kroplisty, wychodził mu na lice.

Wołał teraz, że mu zimno, a twarz mu pozieleniała, oczy zaś jakby głębiéj zapadły. Po chwili znów się zapytywał, czemu tak parno, w piecu tyle ognia?... Pogasić czémprędzéj!.. Lecz ognia tu wcale nie było... gdyż nie palono jeszcze. Mimo to, on nie wierzył i klął, że dziś żonie wierzyć nie można. A może to ona z tamtą w.zmowie?..

Ha! dziś obie się zmówiły na niego?

I tu krzyknął spazmatycznie:

— Ja go nie chce!... On nie mój! Kto wam mówił, że ten *łegin*.. do mnie należy?.. *Prysiaj Bohu*, że on mnie tylko chce zabić!... Ale ojca... Kto już ojca swojego zabija!"

Tu Ołena głośniéj łkać zaczęła. Wzięła to do siebie nieszczęśliwa, że przez nią ojciec dziś pasuje się ze śmiercią.

Ona dziś ojca swego zabiła! Tamten obcy... nie ma dlań obowiązków, ale ona—ale córka, dziecko własne, i dziś przez nią... Tu padła na kolana i zaczęła z wielkim pośpiechem mówić pacierz, w strachu a przerażeniu. Ale stary wypatrzył się na klęczącą i z cicha wyszepnął, gdy oczy jakimś posępnym mu już mętem zachodziły:

— „Tu klęczą nade mną?... Jać... już... umarły?.. Ha! złożono do trumny?... Jeszcze... poczekajcie!... Ja wam... mówię... że jeszcze.. nie zapalajcie gromnicy... O! patrzcie..."

Tu raptem zaczął chrapać. Po chwili znów się zbudził, by zaraz zasnąć.

I tak coraz gorzéj już było.

IX.

Wzdłuż *płaju* Prutowego ciągnął się pochód długi żałobny. Po dalekich górach i borach, rozchodził się posępny lament *trembit*.

Na przodzie szedł dziad biały jak gołąb z wielkim krzyżem, za nim niesiono dwie chorągwie, sprowadzone może aż z Mikuliczyna. Nareszcie kroczył *świaszczennyk* przybyły zdaleka.

Świaszczennyk piał psalmy pogrzebowe, a djak mu wtórował.

Za trumną ciągnęły płaczki najęte, rozgłośnym krzykiem a płaczem zawodzące w niebogłosy.

Biegły z włosem rozpuszczonym z szatami rozwianemi.

A między niemi w środku wlekła się, słaniając mdlejąca wdowa podtrzymywana przez drugie, i nieprzytomna dziś prawie jéj *donia*.

Chwilami, gdy do sił przychodziła, klaskała stara w ręce w rozpaczy, głośno zawodząc.

— „I czemuś mnie opuścił, gazdo?... Ja teraz biedna sieroteńka... bez tatunia swojego.. sama pozostanę w chacie.. I kto teraz na chléb boży będzie zarabiał? kto doglądał *marzyny*?... Kto zbierał sianko na *carynkach* dla *chudobiny*? Oj, biedne wy teraz, krowiny moje, taj *drobieta*! *Sierotenki*, jak i ja... bez gazdy mojego... Kto wam sianka za drabinkę założy? Kto was napoi? kto na wiosnę odda na połoninę?..“

Daléj wraz rozgłośny wrzask a płacz podniosły wszystkie niewiasty, zagłuszywszy śpiewający lament wdowy.

Ona zaś na ich ramiona się kładła, na poły prawie niesiona.

Ołena zaś szła—jakby przerażona. Chwilami jéj się zdawało, jakoby to był sen straszny, kilkudniowy: bo-ci niepodobna, żeby to wszystko stało się rzeczywiście. Dni te były tak okropne, że od zmysłów odchodziła. Chwilami chwytała się za głowę, jakby ta pęknąć miała.

Dziewczyna szła na pół we śnie, nie wiedząc, co się z nią dziś dzieje.

Ludu się roiło dużo, bo to *pochoron bohacza*, a *świaszczennyk* przybył aż z Mikuliczyna, i będzie nielada stypa. Dziatwa prawie z całéj Worochty biegła do koła.

Zwłoki chowano, przy głoszonych psalmach przez księdza, przy lamencie *trembit* a wrzasku płaczek najętych, wśród udziału wielkiéj ciżby, na tym samym cmentarzu, gdzie niegdyś przed laty w dół spuszczano wśród ciszy wieczoru zwłoki nieszczęśliwéj, bez księdza, bez rojów ludu. Ani jedna wtedy *trembita* nie zagrała, nikt z ludzi płaczu nie podniósł, ale duszę tę cichą, pokutującą już na ziemi, przyjął Przedwieczny na łono swoje, gdy dzisiejszy pogrzeb poniósł człowieka, wyrwanego wśród grzechów, zbytkującego nad własną krwią swoją, deptającego najświętsze uczucia ojca, który zeszedł ze świata przez to, co sam sobie przygotował.

Może te dwie dusze, mężczyzny i niewiasty, zejdą się na tamtym świecie, które tu na ziemi odbiegły od siebie?... A gdy się zejdą, co powiedzą sobie?.. Może będzie przebaczenie?

Ale za ciężką była na ziemi wina silniejszego.

Gdy już *mertwca* pochowano i rozpoczęła się stypa przy wielkiéj ciżbie uczestników, zawodziła jeszcze wdowa, raz wraz wybuchając płaczem, wśród gwaru i łoskotu biesiadujących, wyliczając

przymioty i cnoty zmarłego, a żalom potakiwały senne oczy pijących, taj płaczących.

Z mis się dymiło; stawianych jedna po drugiéj; a taki nastał zamęt z lamentu niewiast, gwaru gazdów, z łoskotu łyżek rzucanych i z wrzasku bawiącéj się dziatwy, że nic już rozróżnić nie można było.

Ołena zaś schowała się do komory, oczy zapłakane utkwiwszy w ziemię, i nie mogła dotychczas pojąć, co to się stało i dlaczego dziś tyle zwaliło się na nią niedoli.

Gdy ją matka szukając, tutaj przydybała, ocknęła się *donia* i obie zaczęły zawodzić.

— Oj, oj, pocoś mnie *maty* na świat wydała?.. Lepiéjby ojciec był zrobił, gdyby dziecku swojemu kamień uwiązał u szyi, taj wrzucił w wodę!.. A teraz on przeze mnie.... *pohybał*!

I chwyciła się za głowę.

— Co ty temu winna?.. Ty biedna dziś sierotka? Taże ty nie wiedziała, że twój ojciec taki hardy — a oni obaj takie sobie byli wrogi!.. O bodajbyś nigdy nie była poznała tego *łegina!*... A teraz przez niego ja straciłam gazdę swojego, ty *nienia* (1). Tu wybuchła nowym płaczem.

— Oj, *maty*. czemu ja tonąc wtedy, nie zapadła już była daléj w głębię ciemną?.. Czemu mnie wyratowano na niedolę moję i naszę? Teraz ci ojciec mój nie żyje — a on.... I tu z wielkim płaczem wyjąkała: — Ach!.. on... pognał... gdzie go... „złe“ poniosło...

— Ha! niech się tam rozbije na debrach i skałach! Niechaj go zatłumią upiory! -- dodała matka.

— I gdzież on, *maty* moja, pognał? Tu trząść się zaczęła, szukając w oczach matki odpowiedzi. .

— A co nam do niego!.. Niechby już tam *pohybał!* niechby go *zatłumiło!*

Teraz się głośniejszy rozległ płacz *doni*. a *maty* jéj wtórowała.

Z izby zaś dochodził coraz bardziéj już przygłuszony odgłos pijących i sennych, a zdala psy wyły posępnie i wołały puhacze.

I wiatr już się ruszył.

X.

Od chwili, gdy Taras przystał do drużyny, nie miał spokoju.

Skoro mu tylko w oczach stanęła Olena, wtedy chciał myśl wszelką w sobie stłumić... Czém większy czekał go gdzie trud, czém większe zapasy, chociażby i nad siły człowiecze, tem-ci były mu milsze.

---

(1) *Nienio*, ojciec, w dolinie Prutu i Bystrzycy.

W takich razach drapał się z chyżością kota po zboczach, złomami głazów najeżonych, gdy jego towarzysze ciężko robiąc piersiami, wyłazili do góry. Pot ciekł mu ciurkiem ze skroni, z oblicza biła nito łuna gorąca, *soroczka* lepła do ciała, ale on drapał się — niepowstrzymany by wspomnień przeszłości żadnych nie dopuszczać!

Kiedy przyszło nałożyć ogień, biegł pierwszy i wybierał kłody co najcięższe. Wtedy żyły naciągnione by struny, zdawało się, że pękną lada chwila; myślał już, że mu się płuca oberwął.. Śmierć byłaby mu dziś milszą.

Ale Ołena raz w raz wracala w myśli, wtedy rozpacz go porywała.... Chciałby upić się niejako i oszaléć! Krwawił naumyślnie i kaleczył w złości stopy o ostre złomy głazów, o krzemieniste usypiska; nie wymijał suchych kończastych gałęzi, gdy mu lazły w oczy i twarz siekły .. Ha! niechajby mu już oczy wykłuły, skoro te nie dojrzały, kto *ona* dla niego. Czy to woda płynęła mu w żyłach, a nie krew gorąca—pokrewna, że się w chwilach takich nie zbuntowała.

Mołodcy kręcili się, myszkując do koła po bliższych jarach a wertepach obok Worochty, żądając od Tarasa, by ich wiódł na sioło swoje. Wszakci im pokaże, gdzie *srokowce* w któréj chacie, tać korale i pasy szerokie srebrnemi *kilciami* nabijane.

Ale *łegin* zawsze coś znalazł, by odwieść drugich od zamiaru. To się pojawiać mieli o takim czasie *terebylulki* (1), taj *milicya*, to znów dzień inny był jakiś niby niedobry, feralny, albo słyszał, że miało się odbywać wesele u jakiegoś *bohacza*, a wtedy połowa wsi nie śpi, lecz jest na nogach, pijąc i hulając. W takim więc razie wpadłaby *drużyna* nito w matnię.

Mołodcy sierdzili się na młodzieńca, lecz musieli jeszcze przeczekać. Czekano na onych dwóch gazdów Worochteńskich.

Przybył nareszcie jeden z nich, przyniósłszy wiadomość, że teraz nie można.. gdyż we wsi stypa, która może się i dłużéj pociągnąć, bo zmarło się *bohaczowi*, a wdowa nie żałuje baryłek wódki ni sutych *małajów*.

Tu coś uderzyło Tarasa — drżącym zapytał głosem:

— Jaka tam dzisiaj stypa?.. Co to był za *bohacz?*.. I nie mógł gaździe pojrzéć w oczy.

— Jaka-ci stypa?.. Ta niby ty nie wiesz, kogoś to tak *oprawił?*

Tu krew wszystka uszła z lica Tarasowi i zdało mu się, że coś oczy mu zasłoniło. Lecz gazda dodał spokojnie:

— Tać już ziemię gryzie, coś go chcjal mieć sobie teściem.

---

(1) Tak przezywają tu często straż, wietrzącą za kontrabandą tytoniu.

I wykrzywił twarz złośliwym uśmiechem, a młodzieńcowi zrobiło się zimno.

W téj chwili nie śmiał się już daléj pytać. Pozieleniał.

— Oj, tak, tak, druhy, gdy którego z nas śmierć powali, ledwo znajdą deski gdzie jakie stare, by grzeszne ciało nie wrzucić prosto do ziemi na żer robactwu, a czterech chłopów zaniosą człowieka bez *psałterów*, bez lamentu płaczek, żaden *pop* nie zapieje mu, tać nie odczyta modłów. Ale gdy ci taki zemrze, połowa wsi wyjdzie na *pochoron*, płaczek dostanie całe roje, które człowiekowi cześć oddadzą płaczem wielkim — zawodzącym, a *pop* przyjedzie aż z Mikuliczyna, albo i z Jasienia. Czasem aż dwóch na koniach sprowadzą. Ci już tyle wygłoszą śpiewu a *psałterów*, że zmarły prędzéj się otrzęsie z grzechów swoich i dusza łatwiéj będzie zbawiona. A nam jakci biedniejszym?..

Tu się ozwał *watażka*:

— Nam... może-ci kruki, może orły wydziobią ślepia, taj wilcy rozniosą kości nasze białe.... hal możéć i człowiek zawiśnie na haku, wiatrom oddany, gdy mu ścisną gardło... Lecz wierzaj, chłopie, że mimo to jednakowa dola dla jednych, jak i dla drugich. Tak-ci samo nie ciepło w wygodnéj trumnie, niesionéj wśród hałasu płaczek, taj *psałterów* śpiewanych, jak i porzuconym gdzie na suchém usypisku, albo żółtéj niepoczesnéj glinie. Wierz mi, że ciebie tak samo nie zaboli, gdy szarpać zaczną mięso twoje wilcy, jak się nie wyciągniesz rozkosznie, okryty *szmaciem* (1) białém na wygodnéj ławie przy blasku gromnicy, taj szepcie pacierzy za twoję duszę.

W ten sposób daléj rozmawiano, a Tarasowi było tak gorzko, tak rozpaczliwie w duszy, jakby miał za chwilę skonać... On tylko jedynym był obrazem zajęty... Widział tego trupa a siebie jako jego zabójcę. Nie słyszał śmiechów ni gwaru otaczających go... jemu się tylko zdało, jakby aż tu, do téj dziczy dochodził głos onych *psałterów* a płacze kobiet zawodzących... Zdało mu się, że go teraz dosięga przekleństwo wdowy i córki! Na Boga! On ją uczynił dziś sierotą!

XI.

Taras obchodził z mołodcami parowy i puszcze ciągnące się u stóp Czarnohory; zapuszczano się wertepami i gęstwą borów w dzikie okolice po nad obu Czeremoszami.

Nieraz zachodzili nawet z ostrożnością lisa w okolice Kut i Kosowa, gdzie nocą napadano na samotne chaty, odbiegłe od miasta.

(1) *Szmacie*, bielizna.

Tylko do Worochty nie chciał w żaden sposób wchodzić nieszczęsny *mołodce*. Upierał się tu zawsze, że nie pójdzie, choćby go miano poćwiertować... Na to musieli się zgodzić druhowie. Sami zatém szli; mieli do tego innych gazdów ze sioła. On wtedy zostawał sam — zdala od nich, w jakim gdzie wertepie... Chwile takie bywały dlań najcięższe.

Wtedy stawała mu w oczach cała przeszłość, wtedy pojawiał się i trup zabitego! On cierpiał karę już na ziemi.

Nieraz musiała się *drużyna* rozbiegać przed strażą i *stryżakami* (1), drapiąc się jak kozy po zjeżonych złomami głazów zboczach, lub kryjąc się na drzewa — w gąszcze gałęzi niby rysie.

Wtedy potrzeba było dłuższego czasu, za nim się *drużyna* nazad odnalazła, a to już gdzie indziéj, zdala od miejsca rozproszenia.

Rozbiegali się tak nieraz, i zdało już się, że zapadli gdzieś, jakby kamień w wodę, zwłaszcza gdy którego z drużyny pochwyciła władza, i po krótkim sądzie doraźnym wysadziła wysoko na hak, na postrach innym! Wtedy już zdawało się spokojniejszym mieszkańcom, że łotrzyków wyłapano, wybito — reszta zaś po kaźniach wygniła.

Lecz po kilku miesiącach znów się pojawili gdzieś aż na „Gorganach“, na „Doboszczance“, lub dalekiéj „Sywuli“ i kilka dni odwiedzali znowu okolice po nad szerszym, połączonym już Czeremoszem.

Zachodzili i na węgierskie strony.

Dolina *Cisy Czarnéj* była im dobrze znaną, a i wertepy nad *Białą* nie były dla nich obce. Widzieli nawet wśród gór szerokiego wieńca rozbiegłą kotlinę, gdzie się *Biała Cisa* łączy z *Czarną*, by daléj już płynąć zgodnie w połączeniu, tworząc mniéj samotną, bezludną dolinę, zasianą już liczniejszemi chaty.

Na tych wszystkich wyprawach był z nimi Taras i tu okazał swoję śmiałość i siłę.

Nieraz się odważał tam, gdzieby się drugi nie był odważył, narażając na śmierć oczywistą.

Polubili go téż druhowie i uważali za najlepszego z drużyny. Wszyscy byli za nim. choć on niejednemu dawał się we znaki. Ale kto pokazuje siłę, a wyższość tém nad drugimi, ten zniewoli i niechętnych sobie, rodząc do koła siebie postrach.

Zdawałoby się, że Taras mógł wtedy o wszystkiém zapomnieć przy takim żywocie, pełnym trudu a znojów.

Wśród niebezpieczeństw, gdy jakby pijany rzucał się na oślep, zapominając o wszystkiém, wtedy był tylko chwilą dnia zajęty; ale

---

(1) Tak zwą huculi żołnierzy, mających obstrzyżone włosy.

gdy noc nadchodziła, stawała mu przed oczy przeszłość niedawna. Zdało mu się wtedy, że znany mu głos gdzieś jęczy... Tak... na prawdę! słychać go, jakby u wchodu do ich kryjówki, zlepionéj ze złomów kamieni lub splecionéj gdzie z chaszczu świerkowego. Chwilami znów błąka się niby cień pomiędzy jodły a świerki. Były nawet nocy, w których widział na prawdę dwoje ślepi krwią ociekłych, wychylających się jakby z po za staréj potwornéj jakiéj drzewiny, wtedy zanurzył głowę głębiéj w *petak*... (1). Tu chciałby się cały wepchać w posłanie ze mchu a szpilek świerkowych... Ale to nie pomagało: gdyż wtedy zdało mu się, że czuje coraz bliżéj oddech jakiś gorący, uparty.

A gdy zmęczony, przestrachem blady od widziadeł, doczekał się rana, zdało mu się, że już się podnieść nie może... Coś go jakby przygniatało do ziemi.

Innemi razy, w nocach pogodnych, jasném światłem gwiazd oświetlonych, miewał sny insze. Wtedy widział się w Worochcie— z nią razem. Ona go się zapytywała, kędy bywał tak długo.. czy ją już opuścił?.. Zwieszała mu się nawet na szyi, błagając, ażeby jéj nie opuszczał. On wtedy się trwożył, żeby znowu skąd nie nadszedł stary. A gdy ten się zaraz pojawił, wypatrzył się Taras, że stary żyje...? Wszak bo mu się zdawało, jakoby już był zabit? Ale tu mu ten przerwał, złośliwym rzuciwszy wzrokiem, wołając:

— Nie myśl chłopie, żebym ja już nie powstał... Zrzuciłeś mnie z kładki, taj złamałeś dwa żebra... Patrzaj, jak one wystają?... ale ja teraz tobie lepiéj połamię...

I tu się zabierał do niego. Wtedy chciał Taras uciekać, lecz ruszyć się nie zdołał, nito do miejsca przykuty. Ciemno mu się zrobiło w oczach... czuł tylko ściskającą go za gardło dłoń jakąś ogromną i zimną, a czując coraz mocniejsze za gardziel duszenie, szamocąc się, budził — i widział się tylko między *mołodcami* wśród dziczy borów.

Takie mary dręczyły Tarasa. Widywał trupa we śnie, widywał i na jawie. Nie tylko działo to się w nocy, lecz i w dni ponure, kiedy na niebie wisiały chmury czarne, posępne, zdając się coraz bardziéj przybliżać do ziemi.

XII.

W chacie na Worochcie, gdzie samotne dwie pozostały niewiasty, nie były również dni jaśniejsze, ni nocy bardziéj spokojne.

---

(1) *Petak*, krótki sierak, który huculi zgrabnie zarzucają na ramiona.

Ołenie nieraz się we śnie pokazywał ojciec, a był jakiś blady i chmurny. Skoro się zaś doń zbliżyła, radując, że on żyje, wtedy odpychał ją i zabierał się jakby miał zamiar przekląć *donię.*

Stara, choć się modliła, choć dawała hojnie na światło do Mikuliczyńskiéj cerkwi. przecież spokoju nie miała. Zdawało jéj się ciągle, że coś tam po nocach tłucze się w sieni, to w komorze.

Chwilami słyszała nawet ciche szepty, nito duszy pokutującéj. Ona poznała, że to żąda, by dała na odprawę do cerkwi. Lecz mimo, że zanosiła grosz po groszu na służbę Bożą, spokoju jak nie było, tak nie było.

Gospodarstwo zaś bez gazdy szło jak najgorzéj. *Marzyna* w połowie wyzdychała, a co pozostało, to pożarły wilki lub niedźwiedzie. Czasami nawet ryś się zakradł do koszary, a wtedy najokropniejsze było tam spustoszenie. Zwierz krwi chciwy wpijał się pazurami w wymię krowiny téj to tamtéj, przeskakując od jednéj do drugiéj sztuki—i w kilku minutach leżały same tylko trupy na koszarze.

Caryny zaś, dogniwającemi otoczone *woryniami*, bywały przed kośbą jeszcze spasane i tratowane. Siana nie było dostatecznéj ilości dla pozostałéj na zimę *chudoby.*

Wszystko mówiło, że tu brakuje gazdy.

Wdowa przeto szukała *czełowika* dla swéj *doni sierotenki*, by gospodarstwo całkiem nie zmarniało.

Atoli Ołena ani słyszéć o tém nie chciała. Ciągle jeno *tużyła* za *łeginem*, choć wiedziała, że ten przepadł dla niéj na zawsze i dla sioła rodzinnego.

Ona jedna nie sądziła go zabójcą ojca swojego. Wiedziała przecież, że stary sam stał się przyczyną śmierci swojéj. Gdyby był nie opuszczał łoża, skoro dochodził już do wyzdrowienia, gdyby nie był rzucał się na wszystkie strony, gotując jakby do boju z *łeginem*, któremu ani w myśli było napadać na ich chatę spokojną, nie byłoby tego nieszczęścia.

Ołena nigdy nie przypuszczała, iżby Taras napaść miał na ich chatę. Udał się w opryszki, bo co miał już biedak robić, skoro nań wszystko dybało! Dziewczyna wiedziała, że ojciec surowy i gniewny—toż mu tego nie daruje. Tłómaczyła *łegina* jak mogła; ale wiedziała, że dola ich oboje na wieki już rozdzieliła. Ojciec nie miałby spokoju w grobie, gdyby oni się tu jeszcze kiedy zeszli razem.

Sumowała też tylko i żal swój podawała niebu.

Ale *maty* inaczéj sądziła. Ona bądź-co-bądź potrzebowała w domu gazdy: nie mogła przecież *doni* pozostawić saméj. Wiedziała. że same dwie kobiety nie dadzą rady gospodarstwu, a dziewka na to jest przecież, by była wydaną.

Długo wzbraniała się *donia*, ale gdy się zeszli kumowie starej, taj krewni, uradzono, że dziewkę należy mimo jéj woli wydać.

Wyszukano zatém gazdy: nastąpiły dziewosłęby — zapito sprawę. Nic płacze dziewki nie pomogły.... Niechętną powiedziono do cerkwi.

Matka zadowolona, że chata otrzymała gazdę. Będzie już teraz komu pilnować pracy zmarłego rodzica, jeżeli co z tego pozostało.

Ale Ołena mimo to *sumowała* za tym, a szukając samotności, ciche łzy jeno wylewała. To jątrzyło jéj *czełowika*.

Były z tego swary i wyrzuty.

Nareszcie rozłoszczony brał się do kostura. To jeszcze pogorszyło sprawę.

I nie było pożycia między nimi.

Stara broniła swéj *doni*, a choć łagodnéj była natury, stawała, by wilczyca za swojém szczenięciem. Wtedy i zięć podnosił pięści na *teszczę*.

I był harmider w chacie.

Czasami znów córka czyniła matce wyrzuty, że ją dała na zatratę człowiekowi, który nie był dla niéj, ani ona dla niego. A wtedy były wyrzuty i swary.

Była to wojna jakoby we troje.

(*d. n.*) *Juliusz Turczyński.*





KWESTYA KOŚCIELNO-RELIGIJNA

W ANGLII.

Filozofowie XVIII-go wieku i uragan rewolucyjny, będący ostatecznym wynikiem ich teoretycznego przędziwa, nie zagrzebali tak całkowicie problematów religijnych i kwestyi kościelnéj, jak to sobie pochlebiali. Od dawna powróciły one na pierwszy plan tam nawet, gdzie chwilowo strącono je na podrzędne stanowisko, i nigdzie nie pozwalają się traktować jako *ein überwundener Standpunkt*. Nie dotykając bynajmniéj kwestyi wiary religijnéj saméj w sobie, trzebaby być dziwnie zaślepionym, aby lekceważyć cywilizacyjne pierwiastki świadczące o takiéj żywotności. Cała druga połowa bieżącego stólecia nacechowana jest wznowieniem walki pomiędzy kościołem a państwem, a bezstronność przyznać nakazuje, że pierwszy nie poniósł dotąd żadnych strat takich, któreby bliski jego upadek zapowiadały. Zniesienie władzy świeckiéj papieża nie zmniejszyło jego powagi moralnéj i kanonicznéj w pośród katolickiego świata; o *Culturkampfie* niemieckim powiedziano, że kończy się powtórną Kanossą; nawet anty-klerykalna polityka rzeczypospolitéj francuzkiéj została surowo potępiona przez znaczną większość Francuzów, najmniéj religijnego z narodów. Choćby się nawet pałało fanatyczną nienawiścią do kościoła, nie ma się prawa całkiem takich objawów pominąć. Nie na lata i nie na dziesiątki lat, ale na całe wieki dalszéj walki trzeba tedy być przygotowanym. Ilekroć teorye anty-religijne uzbrajają władzę państwową w represyjne środki przeciwko kościołowi i jego organizacyi, tyle razy następuje ze strony społeczeństwa silna reakcya w kierunku przeciwnym. Niecierpliwi zwolennicy wolnéj myśli powinni się uzbroić w wytrwałość: godzina ich ostatecznego zwycięstwa nie wybije jeszcze tak prędko.

Byłoby błędem sądzić jakoby żywotność religijna ograniczała się do krajów znajdujących się pod wyłącznem lub przeważnem zwierz-

chnictwem kościoła katolickiego. Nie należy przedstawiać tego ostatniego jako smoka czyhającego na zagładzenie zdobyczy cywilizacyi nowoczesnéj. Jeżeli żywi on istotnie takie zaborcze widoki, to żywi je nie tylko w katolickich ale i w protestanckich krajach. W pierwszéj chwili czytelnik pomówić nas może o paradoks, ale nie wahamy się powiedzieć, że właśnie u tych ostatnich, właśnie w łonie protestantyzmu, walka jest żywszą, i agitacya energiczniejszą. Chwila zastanowienia przekona ich, że to zjawisko leży w naturze rzeczy.

Architektonika kościoła katolickiego jest całkowicie wykończoną. Ani jednéj cegiełki nie brakuje w tym wspaniałym gmachu. Członkowie tego wszechpotężnego orgranizmu nie potrzebują się troszczyć o udoskonalenie takowego; pozbawieni wszelkiéj inicyatywy ograniczać się winni do działania w duchu sformułowanéj dogmatyki kościoła. Ten ostatni strzeże swych przywilejów i swojéj całości przeciwko państwu i świeckiemu organizmowi. Nie ma tedy w łonie katolicyzmu miejsca za reformy wewnętrzne—neokatolicyzm d-ra Dollingera i księdza Hyacynta Loyson są tego dowodem i wielka machina toczyć się może obecnie niczém więcéj, jak siłą nabytą, siłą swego rzutu.

Inaczéj w pośród protestantyzmu. Raz otworzywszy wrota teologicznym sporom, swobodnéj egzegezie Pisma Ś-go, krytyce tradycyi i źrodeł religijnych, nie podobna mu było późniéj powstrzymać prądu i pracy odśrodkowéj. Życie religijne w krajach protestanckich manifestuje swoje istnienie bezustanną polemiką, agitacyą, propagandą. Proces krystalizacyi nie jest skończony, jutro nie jest i być nie może podobném do dnia onegdajszego. Jeżeli kościół protestancki musi tak samo jak katolicki walczyć o swój byt materyalny, o swoje stanowisko, swój wpływ moralny, których chcą go tu i owdzie pozbawić rządy, to oprócz téj nieuniknionéj walki z postronną potęgą ma on jeszcze u siebie wewnętrzne spory i domowe burze. Nie należy upuszczać z uwagi tych dwóch stron życia w protestantyzmie.

Te kilka uwag uznaliśmy za niezbędną przesłankę pracy, któréj celem jest zapoznanie czytelnika z kwestyą religijno-kościelną w Anglii. Nigdy chwila do podjęcia tego studyum nie była właściwszą. Wybory do parlamentu, które się dopiero co odbyły, obrały sobie jako *platform* kwestyą rozdziału pomiędzy kościołem a państwem. Zbyt ważna to jest kwestya, aby mogła być rozwiązaną natychmiastowo; ale można być pewnym, że sformułowany *cry* nie ucichnie już i że go jedni mężowie polityczni będą przekazywać drugim. Narzuca się ona przeto uwadze cywilizowanego świata.

Ażeby zrozumieć wypadki, któremi się zająć nam przyjdzie, trzeba przedewszystkiém zdać sobie sprawę z organizacyi kościoła w Anglii, z jego stosunku do rządu, z jego sił materyalnych i moralnych, jego dążności oraz wewnętrznych rozterek, jakie targają jego łono. Zbytecznèm byłoby dodawać, że nie myślimy wdawać się w polemikę religijną i że ograniczamy się do odzwierciedlenia duchowego stanu społeczeństwa angielskiego, oraz wyłuszczenia opinii w jego łonie istniejących.

I.

Największą trudność w jasnéin zrozumieniu stosunków religijnych angielskich stanowi rozmaitość organizacyi kościołów. Nie mówimy o rozmaitości dogmatów a jeszcze mniéj o różnicy etyki, gdyż uważamy jako niezbitą prawdę to stare i tyle razy wypowiedziane spostrzeżenie, że na polu teoretycznèm porozumienie się, zlanie w jedną owczarnię byłoby możliwém, gdyby mu nie stanęła na przeszkodzie organizacya kościelna. Duchowieństwo jako korporacya, jako zawód, posiadające swoje odrębne interesa, dążące do zabezpieczenia swego materyalnego i moralnego stanowiska, wytwarza kościół: ten energicznie zachować się stara swoję odrębność i wyłączność. Historya religijna Wielkiéj Brytanii, coraz bardziéj traci swój charakter dogmatyczny, kiedy tymczasem nie można jeszcze przewidzieć epoki, w którejby różne kościoły, silnie uorganizowane, zechciały zlać się w federacyjny związek. Obecnie jest to chaotyczny świat, las o zbliżonych konarach, o poplątanych gałęziach, o pokrzyżowanych korzeniach. Nie tylko że istnieje oprócz religii państwa, religii stanu, niezliczona ilość sekt i wyznań, ale nie wystarcza jéj nawet jedna religia stanu: ma ich aż dwie. W Anglii rząd wyznaje religią anglikańską, w Szkocyi presbyteriańską. Jeden ten szczegół daje już wyobrażenie o innych. Ponieważ monarcha angielski jest głową kościoła, oddawna zauważano, że musi mieć dwie głowy. Bolingbroke twierdził żartobliwie, że właśnie dla tego nie ma żadnéj.

Religia rządowa, kościół wskazany narodowi przez państwo jako droga do zbawienia: oto rys charakterystyczny społeczeństwa angielskiego. Nie należałoby punktu tego całkiem pomijać milczeniem, gdy mechanicznie powtarzając stare oklepanki zużyte, wysławia się nieograniczone swobody anglo-saksońskiego społeczeństwa. Istniały tam i istnieją religie uprzywilejowane.

Wiemy, jak się zrodził protestantyzm w Anglii, jak jego sztandar zatknął kapryśny tyran Henryk VIII, mąż Anny Boleyny. W 1534

roku uczynił on rozbrat z katolicyzmem, zwalił zwierzchnictwo papieża i sam się ogłosił głową kościoła narodowego. Zamknięto wówczas klasztory, spalono obrazy, posągi, relikwie, skonfiskowano na rzecz państwa majątek kościelny. Pomimo téj nienawiści do katolicyzmu rzymskiego, kościół anglikański—*the Church of England*—nie zerwał był z nim ostatecznie. Sam Henryk VIII pozostawił był jeszcze siedm sakramentów i władzę biskupią. Wprawdzie po jego śmierci, fantastyczne te teologiczne pomysły utrzymać się nie mogły i protestantyzm angielski uczynić musiał nowy krok naprzód do logiczniejszéj organizacyi. Stało się to na synodzie londyńskim w 1571 roku za Edwarda VI. Objęto całe wyznanie wiary w 39 artykułach, ustanowiono liturgią i książkę modlitw (*Prayer Book*). Tak ukonstytuowana religia postawioną została pod zwierzchniczą strażą parlamentu, i od téj epoki niezmieniony w swoich dogmatycznych posadach, swojéj liturgii, swojéj organizacyi wewnętrznéj istnieje *the established Church*.

Nie trzeba zapominać, że kościół ten był tranzakcyą pomiędzy katolicyzmem, którego zatrzymywał tradycye, liturgią, obrządki, hierarchiczny ustrój biskupi, a demokratyczno-racyonalistycznemi dążeniami kalwinizmu wyrosłego na szwajcarsko-francuskim gruncie. Tranzakcya ta leżała w naturze rzeczy i działały na nią rozmaite prądy społeczeństwa tak samo, jak odmienne zapatrywania królów. Henrykowi VIII-mu szło przedewszystkiém o to, aby Anglia nie była katolicką, Edwardowi aby została kalwińską, królowéj Maryi aby powróciła na łono Rzymu, a królowéj Elżbiecie ażeby miała swój kościół odrębny, samodzielny. Tak samo jak w pierwszéj epoce istnienia, tak i w całym następnym rozwoju dwie tendencye przeciwne walczyły z sobą bez ustanku w łonie anglikańskiego kościoła, mimo jego urzędowéj powagi i jednolitego charakteru. Nie było monarchy, gabinetu, parlamentu, któryby w mniéj lub więcéj jawny sposób nie wykazał swoich sympatyi do jednego z dwóch składowych żywiołów kościoła—tradycyi lub swobodnéj krytyki. Często sympatye te tak były żarliwe, że wyradzały energiczną chociaż stłumioną opozycyą strony przeciwnéj. Jest to zwykłe następstwo tranzakcyi: są one zawieszeniem broni aż do chwili, gdy jedna ze stron sądzi się zdolną do narzucenia swéj woli.

Kościół anglikański, sformułowany w 39 artykułach 1571 roku, opierał się na protekcyi, na powadze, na majestacie państwa, i był w całém słowa tego znaczeniu wysokim kościołem (*High Church*). Nie pozwalał, aby to urzędowe piętno było mu zaprzeczone. Ilekroć ci lub owi członkowie kościoła chcieli wprowadzić doń jakiekolwiek zmiany, uznani byli za heretyków, za odszczepieńców i kościół

udawał się do państwa po protekcyą swojéj nieskazitelności. Prześladowania, więzienie, deportacya: oto los heretyków. Cały wiek XVII jest jedną nieprzerwaną walką kościoła anglikańskiego o swoję organiczną całość, o uznanie że jest wyrazem teologicznéj i dogmatycznéj prawdy. Korona stawała zwykle po jego stronie a szczególniéj za czasów Stuartów, którzy tém namiętniéj bronili kościół urzędowy przeciwko herezyom i sektom powstającym z dołu, że mieli nadzieję użyć organizacyi biskupiéj jako szczebla do powrotu na łono katolicyzmu. Jednocześnie wszakże, i jako reakcya przeciwko podnoszącemu znów głowę papizmowi, wyradza się naprzód w surowéj i zimnéj Szkocyi a potém krzewi się w całém państwie ów ścisły purytanizm, którego ostatnim wyrazem była doktryna Jerzego Foxa i utworzenie sekty kwakrów. Udało się tym apostołom poważnéj a czystéj doktryny sfanatyzować społeczeństwo angielskie w drugiéj połowie XVII wieku i kościół anglikański z trwogą spoglądał na szczerby, jakie w jego murach czynili ci kacerze. Uciekł się do swego naturalnego obrońcy, rządu i w roku 1662 przeszło 4200 kwakrów znajduje się w więzieniach. Ten ferment religijny przyłączył się do politycznego i gdy Karol I, chciał za jednym zamachem przywrócić władzę samodzielną i katolicyzm, znalazł skoalizowane przeciwko sobie wszystkie siły narodowe i przypłacił życiem swoje przeciw-kościelne zamiary. Purytanizm zatryumfował w czasie rewolucyi, ale razem z jéj upadkiem upadły jego widoki. Gdy w 1688 r. w osobie Wilhelma III nowa dynastya zasiada na tronie, kościół anglikański otrzymuje sankcyą państwową. Było to na nowo przepołowienie, rozjemcza ugoda pomiędzy odrębnemi pierwiastkami: purytanizm, ludowy demokratyczny kościół—*low Church*, i tlejące zarody katolicyzmu podały sobie rękę w wysokim, państwowym kościele.

Ale, jeżeli Wilhelm III przywraca kościołowi anglikańskiemu po stłumieniu rewolucyi jego uprzywilejowane, urzędowe stanowisko, to mimo tego jego panowanie, jego rządy i idee jakie uosabiał, noszą już cechę odrębną, ściśle nowożytną. Poprzednicy Wilhelma III na tronie Wielkiéj Brytanii uorganizowali kościół anglikański przez cały szereg despotycznych środków. Dość będzie przytoczyć *Corporation Act*, który zmuszał każdego urzędnika do przyjmowania komunii co najmniéj raz w rok, *Conformity Act*, który pod karą śmierci wypędzał z kraju odstępców od kościoła, *Five Miles Act*, który zabraniał sekciarzom zbliżać się po za 5" milowy obręb od miast anglikańskich, *Conventicle Act*, który pod karą śmierci zabraniał ażeby więcéj jak pięć osób zbierało się po domach na wspólne modlitwy, a przedewszystkiém słynny *Test Act* z 1673 roku, który wymagał od urzędników i oficerów piśmiennéj deklaracyi, że nie wierzą w obecność

ciała Chrystusowego w Eucharystyi. Kościół anglikański utworzył się w ciągu stu lat w organiczną całość, dzięki despotyzmowi państwa. Obecnie, w ostatniéj ćwierci XVII wieku, na miejsce takowego Wilhelm III wprowadził inną, płodną zasadę tolerancyi. Za królowéj Elżbiety w 1562 roku wydany był *Uniformity act*; Wilhelm odpowiada nań przez *Toleration act*. Wszystkie sekty dysydentów i różnowierców, wszyscy sekciarze protestanccy otrzymali prawo obywatelstwa, mogli się zbierać na modlitwy i budować kaplice, obchodzić swe obrządki. Nie zniesiono wprawdzie 39 artykułów, nie zniesiono przywilejów kościoła państwowego i na jego utrzymanie i daléj płacić musieli różnowiercy, ale pierwsza szczerba wyrąbana została wówczas w murach obronnych anglikanizmu. Potrzeba było blisko nowych lat dwustu, aby się przez te szczerby wcisnęli jedni po drugich przeciwnicy kościoła anglikańskiego a w samym końcu nawet ów fanatycznie nienawidzony katolicyzm. Nie trzeba być prorokiem, aby przepowiedzieć, że instytucya sama urzędowego kościoła nie będzie wymagała tak długiego przeciągu czasu, aby legnąć w gruzach.

Ta sama tolerancya, jakiéj Wilhelm III złożył dowody, pozwalając na swobodę wyznań protestanckich, ta sama tolerancya uczyniła mu łatwiejszém ustanowienie w Szkocyi kościoła urzędowego, innego co do swéj doktryny i organizacyi od kościoła anglikańskiego. Kościół prezbiteryański szkocki (*Kirk of Scottland*) miał także hierarchią administracyjną biskupią, ale umiarkowańszą; synod posiadał tam najwyższą władzę w kwestyach dogmatycznych i państwo nie mieszało się jak w Anglii do takowych. To istnienie jednoczesne dwóch kościołów urzędowych, to wypładzanie się swobodne coraz nowych sekt, z których jedna obalała już wówczas jeden z zasadniczych dogmatów chrześciańskiwa—dogmat Trójcy św.—wszystko to są oznaki, że kwestye religijne miały przed sobą szeroko roztworzoną arenę i że walka przybrać musiała w następstwie inny kierunek.

Zanim pójdziemy w ślad za tym wewnętrznym przekształcaniem, winniśmy zatrzymać na chwilę czytelnika nad suchemi szczegółami, dotyczącemi organizacyi urzędowéj kościoła anglikańskiego. Szczegóły te jednak są niezbędne dla zrozumienia, jakiemi materyalnemi siłami rozporządzał w czasie ostatnich dwóch stóleci i jakiemi rozporządza dzisiaj, gdy kwestya sekularyzacyi, rozłączenia z państwem, postawiła się jasno przed ogółem.

Kościół Anglii i należącego do niéj księstwa Walii ma jako zwierzchnika arcybiskupa Canterbury, prymasa królestwa i arcybiskupa Yorku. Dwadzieścia sześć dyecezyi, mających każda swego

biskupa, swoją kapitułę, dziekana, kanoników, proboszczów i wikaryuszów, stanowi sztab generalny kościoła anglikańskiego. Jest oprócz tego 12 biskupów anglikańskich w Irlandyi i do 60 w rozmaitych koloniach, rozsianych po obu półkulach. Biskupi porównani są z baronami państwa i mają swe krzesła w izbie lordów. Chociaż listy nadawcze zostawiają samemu duchowieństwu prerogatywę wybierania biskupów, to w istocie rząd wybiera kandydatów i ogranicza się do przedstawienia ich do zatwierdzenia kapitule. Nie było ani jednego przykładu trwałego oporu ze strony duchowieństwa przeciwko wyborom rządu, chociaż nieraz, a szczególniej w ostatnich czasach, wybory te mogły się wydawać anglikańskiemu duchowieństwu jako skandaliczne. Wszystkie punkta dotyczące dogmatycznéj strony roztrząsane są na synodach w Canterbury, ale nie można zaprzeczyć, że zebrania te mają istotnie jedynie głos doradczy. Gdyby postanowiły jakąkolwiek reformę zasadniczą, ba, nawet prostą zmianę jakiéj modlitwy w *Commun Prayer Book*, to potrzeba by w tym przedmiocie obrady i sankcyi parlamentu. Teologicznie tedy nawet, kościół znajduje się w ręku państwa.

Co się tycze niższego duchowieństwa, proboszczów, to nominacya ich pozbawiona jest, tak samo zresztą jak wszystkie inne instytucye angielskie, logiki i jednolitości do jakiéj przyzwyczaiła nas centralizacya administracyjna stałego lądu. Jedni proboszczowie są wprost i bezpośrednio mianowani przez rząd i biskupie potwierdzenie staje się czystą formalnością: drudzy mianowani są przez biskupów; trzeci nakoniec otrzymują probostwa za przedstawieniem prywatnych osób, kolatorów, na których gruntach lub przez których pobożne fundacye probostwa ustanowione zostały. Ta ostatnia klasa jest najliczniejszą. Nie należy sądzić, ażeby te różnice pochodzenia oddziaływały *ipso facto* na tendencye proboszczów. Jakiekolwiek jest ich źródło pochodzenia, raz w posiadaniu swego kościoła, swego probostwa, jego dochodów, często nadzwyczajnie wielkich, zapewnieni o jutro i wiedząc, że nie mogą być wyrugowani ze swojéj pozycyi, chyba w następstwie hańbiącego procesu, członkowie anglikańskiego kleru stają się ogniwami tego wielkiego łańcucha i duch przenikający ten organizm ogarnia ich i kreśli im linią wytyczną.

Gdy się weźmie na uwagę, że sama Anglia z księstwem Walii liczy 14,600 parafii i probostw, że obok proboszczów są jeszcze wikaryusze, że po nad tym niższym klerem stoi silnie uorganizowana hierarchia duchowna, to się zrozumie z łatwością, że jest w pośród społeczeństwa angielskiego kilkadziesiąt tysięcy osób, żyjących z kościoła i których osobiste interesa wiążą z jego bytem i trwałością.

Materyalne stanowisko kościoła anglikańskiego jest świetne, szczególniéj gdy jest mowa o dygnitarzach. Arcybiskup Canterbury ma do 200,000 rubli rocznéj pensyi, nie licząc pałaców, zamków i najrozmaitszych ubocznych a prawnych dochodów; najmniéj płatny z biskupów ma jeszcze 50,000 rubli pensyi. Co się tycze proboszczów, to niektórzy mają magnackie dochody, pochodzące z różnych zapisów i fundacyi, kiedy inni zaledwie wyżyć mogą ze swéj płacy. Ale nie tylko że z jednéj strony władze duchowne i rządowe starają się o wprowadzenie pewnego ładu i ujednostajnienia dochodów, lecz z drugiéj każde biskupstwo posiada ogromne majątki, z których dochody idą na podtrzymywanie uboższych probostw. Oprócz stałéj swéj płacy, duchowieństwo kościoła urzędowego pobiera dochody z dwóch źródeł. Jest to naprzód dziesięcina, płacona dawniéj w naturze, a obecnie zamieniona na pieniężną, a potém specyalny podatek kościelny (*Church rates*) przeznaczony na wzniesienie i utrzymanie budowli kościelnych. Ponieważ Anglicy są narodem religijnym, mającym kościół w poszanowaniu, ponieważ nigdy nie sprzeciwiają się daninom i ofiarom na publiczne, na filantropijne i przedewszystkiém na religijne cele, zatém duchowieństwo nie ma potrzeby obawiać się o swój byt materyalny. Wystarcza mu zapukać do skarbony publicznéj i prywatnéj, a hojne dary sypią się gradem. Kilka wymownych dowodów tego przytoczymy następnie.

Skreślona tu pobieżnie organizacya kościoła urzędowego wskazuje, jakie jest jego stanowisko uprzywilejowane w pośród społeczeństwa. Znając je, możemy rzucić okiem na koleje jego rozwoju i doprowadzić je aż do stanowczéj chwili obecnéj.

II.

Skoro nawet zamieć rewolucyjna XVII wieku nie zdołała była osłabić związku kościoła anglikańskiego z państwem, to mógł on, po intronizacyi Wilhema III, uważać się jako ostatecznie wybawiony z niebezpieczeństwa. *Toleration Act* nie zdawał się nawet urzędowemu kościołowi ciosem zbyt dotkliwym. Jeżeli z jednéj strony sekty uszczuplały liczebne siły jego, to z drugiéj znęcały do siebie przedewszystkiém umysły niespokojne, ruchliwe, a raz się takowych pozbywszy, kościół anglikański mógł rozwijać się swobodnie, bezpiecznie i wsparty na ramieniu władzy świeckiéj przyciągać do siebie i utrzymywać w swoim obrębie, pod swoją juryzdykcyą wszystkie organiczne siły narodu.

Ani na chwilę kościół urzędowy nie wątpił, że ma po swéj stronie prawdę i słuszność. Chociaż zerwał był z Rzymem, zachował on

nie tylko wszystko, co mu się zachować udało z jego doktryn, liturgii, hierarchii etc., ale uważał siebie jednocześnie za jego spadkobiercę. On jeden był prawowiernym, ortodoksalnym; wystarczało odrzucić jakikolwiek punkt jego *credo*, aby być policzonym do heterodoksalnéj, sekciarskiéj czeredy. Przepaść pomiędzy wysokim kościołem a sekciarzami, stanowiącymi wogóle kościół niski, *Low Church*, kościół ludowy, demokratyczny, pogłębiała się ciągle. Nie zwracał na nią zrazu uwagi uprzywilejowany i lekceważył współzawodnika. Zabezpieczony o materyalną przyszłość, stał się zachowawczym i przeciwnikiem wszelkiego postępu. Coraz ciaśniejsze ramy zakreślał komentarzom i żywiołowi krytycznemu, a dwa uniwersytety angielskie, Oxford i Cambridge, znajdujące się pod zarządem i w ręku kościoła, były twierdzą téj teologii dogmatycznéj, ciasnéj, bez skrzydeł i polotu.

Nic mniéj sympatyczniejszego, jak życie wewnętrzne kościoła urzędowego aż do połowy zeszłego stulecia. Jest to napuszona i czcza miernota. Można nawet bez przesady powiedzieć, że powoli przez zetknięcie się ciągłe i wyłączne z wyższemi warstwami społeczeństwa, z arystokracyą, zatracał w sobie ducha ewangelicznego braterstwa, a sceptycyzm filozoficzny, który zawładnął całkowicie ówczesnym światem, odbił się na dygnitarzach kościoła. Coraz mniéj stawał się on duchowém apostolstwem, coraz bardziéj korzystnym, nienaruszalnym przywilejem.

W chwili, gdy nowe wolnomyślne zasady pełną garścią ciskane były w skibę społeczną i wytrzebiać się starały wszelki dogmatyzm religijny, wszystkie podstawy chrystyanizmu, w téj chwili pełnéj znaczenia, kościół anglikański nie znalazł w sobie dość energii, dość sił żywotnych, aby stawić czoło przeciwnikowi i podnieść rzuconą mu przezeń rękawicę. Zadanie to wzięły na siebie sekty protestanckie, *low Church*, i z ich to łona wyszedł ów potężny ruch religijny, owa szeroka agitacya, co pochwyciwszy raz wszystkie warstwy społeczeństwa angielskiego w swoje ramiona, wycisnęła na niém to niezatarte piętno religijne, jakie spostrzegamy w charakterze każdego Anglika, jego obyczajach, toku jego myśli, jego literaturze, sztuce i t. d. aż po dzień dzisiejszy.

To odrodzenie religijne datuje się z pierwszéj ćwierci zeszłego stólecia i początek dała mu sekta metodystów. Dwóch ludzi, studentów uniwersytetu oxfordzkiego, Jerzy Whitefield i Jan Wesley, obaj pełni religijnego ferworu, zapału, porywającéj wymowy, niestrudzonego miłosierdzia, stworzyli tę sektę. Kiedy pierwszy przebiegał Anglią i zamorskie kolonie, zgromadzając wszędzie tysiące słuchaczy, przemawiając do ich serca, wzywając do poświęcenia

i dobrych uczynków, protestując czynem przeciwko suchéj doktrynie anglikańskiéj ortodoksyi, zamkniętéj w literze a zaniedbującéj ducha; drugi, Wesley, organizował kościół metodystów, wznosił te niezliczone kaplice i świątynie, które spotkać można na każdéj piędzi ziemi angielskiéj. Charakter metodyzmu polega na utworzeniu bractwa, niestrudzonego, wiecznie czujnego związku, zbliżającego do siebie pasterza i owieczki. Rozbudził on te aspiracye wzniosłe, poetyczne, to wewnętrzne ciepło, co leży w gruncie duszy ludzkiéj i sprowadził chrześciaństwo z wyżyn metafizycznych do praktycznego życia. Oto na czém polegała jego metoda.

Napróżno kościół anglikański, rozdrażniony powodzeniem tych zuchwałych sekciarzy, co zbudzili go z jego wygodnego *far niente*, wykluczył ich z kościoła urzędowego, zamknął im swoje świątynie, pasterze metodystów apostołowali pod gołém niebem, w szałasach, ufając, że potrafią zbudować swoje kościoły. I istotnie żywotność téj sekty była taką, że nawet obecnie, gdy półtora wieku ubiegło od jéj sformułowania, gdy życie religijne ma do walczenia z tylu innemi innokierunkowemi prądami, gdy swoboda interpretacyi, leżąca w naturze protestantyzmu, wytworzyła niezliczoną liczbę sekt, pierwotny metodyzm posiada jeszcze w Wielkiéj Brytanii z górą 14,500,000 wyznawców, kiedy tymczasem urzędowa liczba członków anglikańskiego kościoła wynosi 18,000.000. Oprócz tego jest presbyteryanów 10,250,000, 8,000,000 anababtystów, 6,000,000 kongregacyonalistów, 1,000,000 socynianów i 10,000,000 należących do rozmaitych innych sekt protestanckich. Katolików jest obecnie w Wielkiej Brytanii 13,000,000.

Ta wielka ilość sekt, religii i kościołów jest zastanowienia godnym objawem. Statystyka ich jest do sporządzenia trudną: w przybliżeniu obliczone są sekty bardziéj znane na 180. Nie ma jednak roku, ażeby nie powstawały nowe. I tak jest wprawdzie anabaptystów, to jest sekty powtarzającéj ceremonię chrztu po dojściu do pełnoletniości, aż 8,000,000, ale byłoby błędem przypuszczać, że stanowią oni jednolite ciało, — bynajmniéj. Są anabaptyści *nowi*, są *ogólni*, są *ściśli*, są *starzy*, są *zdeklarowani*, *szczegółowi* i t. d., razem dziesięć czy dwanaście sekt, żyjących życiem całkiem odrębném. Są sekty dziwaczne, jak np. *Rauters*, to jest Krzykacze, których nabożeństwo polega na skokach i uderzaniu rąk, jak *Shakers* t. j. Drżący, jak Banda sławetna, jak Banda Alelui; są sekty noszące nazwiska swych fundatorów, jak np. Bryaniści, utworzeni w 1815 roku przez O'Bryana i którzy biorą komunię siedząc, na wzór apostołów przy św. wieczerzy; jest sekta hrabiny Huntingdon, utworzona w zeszłym wieku przez lady Selinę Shirley, hrabinę Huntingdon, i jest sekta jéj

zięcia, Beniamina Ingham; jest wiele innych o zaledwie dostrzegalnych różnicach z sąsiedniemi sektami i wyznaniami. Nie należy sądzić, ażeby ten ruch należał całkiem do przeszłości, gdyż za dni naszych, w naszych oczach utworzyła się *Salvation Army*, ta nowa sekta religijna, fanatyzująca masy przez śpiewy, muzykę pełną zgiełku, krzyki, marsze wojskowe, przeglądy, mundury i najrozmaitsze dziwactwa. W pierwszych czasach drwiono z téj Armii Zbawiciela, która szła podbijać ludzkość i wypowiadała wojnę niewiernym i obojętnym: obecnie liczy ona swoich wyznawców na krocie, rozporządza milionami i staje się potęgą społeczną.

To rozdrobnienie kościoła angielskiego na sekty przedstawia dla humorystycznego spostrzegacza obfite żniwo do dowcipkowania: nie myślimy temu zaprzeczać. Ale gdy się głębiéj na problemat religijny spojrzéć zechce, to niewątpliwie dojdzie się do wniosku, że Anglicy biorą religią na seryo, że starają się zastosować ją do swoich duchowych potrzeb i że nie znajdując w urzędowym swym kościele dostatecznéj karmi dla swych aspiracyi etycznych i religijnych, wytwarzają dla siebie inne, odpowiadające lepiéj wewnętrznemu nastrojowi. Indywidualizm, niezależność jednostki od ogółu, te cechy niezaprzeczone charakteru narodowego, manifestują się na têm polu w sposób dotykalny.

Ruch religijny, rozpoczęty w XVIII wieku i trwający bez żadnéj przerwy aż do dnia dzisiejszego, wytworzył tedy, jak powiedzieliśmy wyżéj, ów kościół niski (*low Church*), demokratyczny, ludowy. Liczebnie, na 81,000,000 mieszkańców Wielkiéj Brytanii i jéj kolonii, zaledwie 18,000,000 należy do kościoła urzędowego, uprzywilejowanego. Gdy dodamy presbyteryanów, kościół urzędowy szkocki (10,250,000) i katolików (13,000,000) nie należących i stojących całkiem po za obrębem protestantyzmu, to znajdziemy, że rozmaitych sekt, nie uznających zwierzchnictwa kościoła anglikańskiego, jest blisko 40,000,000. Przywiléj, majątek i cecha urzędowa znajduje się tedy w ręku mniejszości.

Kościół anglikański, episkopalny, zrozumiał swoje położenie i potrzebę zajęcia stanowiska jasnego, pozbawionego wszelkiéj dwuznaczności. Nie było sposobu rywalizować z sektami, zbliżać się do wolnomyślicielstwa, do demokratycznych zasad: brakłoby mu do téj propagandy i przekonania i sposobów działania. Daleko logiczniejszém się zdawało oprzéć na swojém uprzywilejowaném stanowisku, odwołać się do zachowawczych instynktów arystokracyi, pokumać się z nią, związać z nią i nadal swoje interesa, zaprządz ją do swego rydwanu. Wytknąwszy sobie taką drogę, kościół anglikański coraz silniéj powoływał się na tradycyą, coraz więcéj znaczenia przywią-

zywać zaczął do obrządków, ceremonii, rytuału, coraz więcéj zbliżał się do katolicyzmu. Była to spadzistość nieunikniona. Przez wspaniałość swych nabożeństw, przepych swych katedr, przez swą liturgią podnosił on entuzyazm swych uczestników i zwalczał coraz nowych; z drugiéj strony najrozmaitsze stowarzyszenia dobroczynne, filantropijne i pedagogiczne, z niewidzianą dotąd energią przedsiębrane i prowadzone przez wysoki kościół, rozszerzały i ustalały jego wpływ i stanowisko wpośród społeczeństwa. Pokażemy niżéj, jak wielkie, jak widoczne korzyści zapewniła ta taktyka w przeciągu ostatniéj ćwierci wieku kościołowi anglikańskiemu.

Ale pierwéj jeszcze iść nam należy w ślad za wewnętrznem życiem kościoła. Powiedzieliśmy, że zbliżał się on do katolicyzmu, do tego tak gorąco, tak namiętnie dawniéj nienawidzonego i prześladowanego papizmu. Jest kilka stadyów w tym wewnętrznym przerobie. Do najbardziéj znanych należy ruch reformacyjny, rozpoczęty w łonie urzędowego kościoła przez d-ra Pusey, profesora uniwersytetu oxfordzkiego. W roku 1833 i następnych zaczął on wydawać wraz z gronem spokrewnionych sobie duchem teologów, jak Palmer, Bowden, Newman, Ward, Oahley, Thorn, Kable etc., szereg broszur i monografii teologiczno-kościelnych pod zbiorowym tytułem *Tracts for the times*. Broszury te wywołały silne wrażenie w pośród świata teologicznego. Autorowie ich nie chcieli wprawdzie zerwać stanowczo z kościołem i zaprzeczali, jakoby zbliżali się do katolicyzmu, ale mimo tego trybunał religijny, *Board of heresy*, rozpoczął śledztwo. Największy skandal spowodował Traktat 90, którego autorem był dr. Newman, jeden z najznakomitszych teologów i kazuistów angielskich. Doktryny katolickie, chociaż ich się wówczas wypierał, tkwiły jednak już widocznie w tym pseudo-anglikanizmie i nikt się nie zdziwił, gdy w kilka lat póżniéj, w 1846 r., dr. Newman przeszedł na katolicyzm i wstąpił do stanu duchownego. Wiadomém jest, jak szybko zajął on pierwszorzędne stanowisko w pośród kościoła katolickiego w Anglii, o ile się przyłożył do jego nieustannego rozwoju i jak sprawiedliwie oceniono w Rzymie znaczenie jego działalności, skoro został obleczony purpurą kardynalską i policzony do najpierwszych dygnitarzy kościoła.

Jeżeli nie wszyscy Puzeiści doprowadzeni zostali aż do zerwania z kościołem urzędowym, jak to uczynił Newman, jeżeli nawet sam ruch puzeistyczny osłabł na czas jakiś, to mimo tego jest rzeczą niezaprzeczoną, że tendencye kościoła anglikańskiego, tendencye arystokratyczne, tradycyonalne, manifestujące się coraz większym rytualizmem, stanęły w rażącém, widocznem przeciwieństwie z rozmaitemi ewangelickiemi sektami, znanemi pod zbiorową nazwą *Low*

Church. Pojednanie tych dwóch wrogich sobie systemów i kierunków nie mogło być przedsięwzięte z ich inicyatywy własnéj, ale przez jaki obcy im, postronny organizm. Pojednanie to musiało leżyć na sercu nie tylko wyższym, filozoficznym umysłom, które widziały ciasną jednostronność zarówno uprzywilejowanego kościoła jak i sfanatyzowanych sekt, ale i tym wszystkim światłym a nawskróś religijnym inteligencyom angielskim, co marzyły o postępie, o rozwoju ludzkości, ale co go mieć chciały nierozerwalnie połączonym z wiarą nauczaną przez kościół. Rolę tę pojednawczą wziął na siebie tak nazwany kościół szeroki: *Broad Church*. W sferę swojéj spekulacyi wprowadza on czynnik, o który nie troszczono się bynajmniéj dawniéj, mianowicie wiedzę. Nie pytał się był istotnie o wiedzę, o rozwój nauki, wysoki kościół anglikański: wystarczała mu tradycya, wystarczała teologiczna doktryna zamknięta w 39 artykułach, wiary, a interpretacya Pisma św., chociaż urągała się nieraz zdrowemu rozsądkowi, nie raziła nikogo. Nie troszczyły się także o wiedzę sekty, zajęte z jednéj strony działaniem na moralny nastrój masy, a z drugiéj polemiką na prawo i na lewo: problemata tego rodzaju przewyższały z natury swojéj ich umysłową sferę.

Inaczéj działo się w sąsiednich Niemczech, innéj dzielnicy protestanckiéj. Eklektyczna tendencya pojednania religii z wiedzą wywołała tam niezliczone mnóstwo prac poważnych, źródłowych. Egzegeza krytyczna oddawna obaliła była w Niemczech nienaruszalność Biblii, a chronologia, historya, filologia, nauki przyrodzone, geologia, astronomia, każda gałąź nauki ze swojéj strony przypuszczała szturm do Pisma św. Pod wpływem téj krytycznéj teologii protestantyzm niemiecki stawał się coraz mniéj dogmatycznym, coraz bardziéj racyonalnym. Angielscy teologowie nie zostali byli dotknięci długi czas tą zarazą i uważali Biblią jako nienaruszoną opokę, jako niepokalaną świętość, zawierającą w sobie prawdy zaświatowe, odwieczne, a gdy posłyszeli o podnoszonych tu i owdzie wątpliwościach, pomijali je milczeniem albo ograniczali się do naiwnych, do dziecinnych wysiłków pogodzenia pewników wiedzy z legendą biblijną za pośrednictwem fantastycznéj interpretacyi.

Ta pierwsza faza ustąpiła jednak pod naciskiem cywilizacyjnych prądów miejsca drugiéj, gdy znaleźli się w łonie kościoła anglikańskiego ludzie wielkiéj nauki, którzy nie chcieli zaprzeczać jéj zdobyczom, ale którzy byli silnie przekonani, że religia nie potrzebuje się obawiać rozwoju wiedzy, że są to nie wrogie sobie ale bratnie czynniki postępu. Najznakomitszą osobistością tego kierunku był dr. Tomasz Arnold, założyciel szkoły w Rugby, jeden z najczystszych, najszlachetniejszych charakterów nowoczesnych, z pod któ-

rego skrzydeł ojcowskich wyszły całe pokolenia światłych i uczciwych Anglików. Zmarł on w 1855 roku i działalność jego napiętnowała się jawnie na społeczeństwie Wielkiéj Brytanii. Zachęcał on gorliwie umysły naukowe do prac krytycznych, do poszukiwań samodzielnych, pewnym będąc, że religia tylko zyskać może na postępach wiedzy. Ale oczekiwania jego nie spełniły się bynajmniéj. Prace Bunsena, Darwina. Wallace'a, Lyella, Huxleya, Tyndalla i tylu innych otworzyły umysłom angielskim nowe zupełnie sfery, nowe horyzonty. Problematy religijne straciły były chwilowo swoję żywotność, nieleowie swój interes i potrzeba było niejakiego czasu, ażeby teologia protestancka zrozumiała płynące stąd dla siebie następstwa, ażeby się przeniknęła tym nowym duchem, co owionął świat współczesny.

Ale gdy raz zrozumieli światli i wykształceni teologowie angielscy doniosłość problematu, śmiało spojrzeli mu w oczy.

Najgłośniejszym utworem piśmienniczym téj nowéj szkoły teologicznéj angielskiéj, książkę, co stanowi epokę w duchowym rozwoju Anglii i istnieniu jego kościoła, jest zbiorowy tom pod tytułem: *Essais and Reviews*. Siedmiu młodych teologów, pastorów, akademików oxfordzkich ogłosili, bez żadnego pierwotnego planu, bez najmniejszéj chęci zrewolucyonizowania kościoła, kilka monografii rozmaitéj treści i zakroju. Wrażenie ich jednak w pośród tego społeczeństwa, wychowanego wśród idei religijnych, było piorunującém. Jedne z tych rozpraw kruszyły kosmogonię Mojżeszową, inne dotykają historycznego rozwoju Biblii: ale znaczenie téj pracy nie leżało w tym lub owym rozdziale pojedynczym, lecz w jéj całym toku, w całym nastroju. Czytać można tam było pomiędzy wierszami, że Biblia jest wprawdzie ostatniém słowem wiedzy świata starożytnego, świata, co już zeszedł z areny życiowéj, ale że nie może rościć tych samych pretensyi i wypowiadać słowo cywilizacyi o 2000 lat starszéj. Uważać Biblią jako najznakomitszy pomnik starożytnego świata, ale nie upatrywać w niéj alfy i omegi wiedzy, nie zamykać w niéj prądów i aspiracyi nowoczesnych: oto praktyczny rezulat, oto zuchwała rada, sformułowana wyraźnie przez Wilsona, jednego z autorów téj książki.

Gdy się weźmie na uwagę, że protestantyzm nie ma innéj powagi i innéj racyi bytu, jak niepokalaną wiarę w Biblią, że jest z nią jednoznaczny, można zrozumiéć piorunujące wrażenie, jakie to dzieło wywołało. Władze kościoła anglikańskiego nie mogły pozostać obojętnemi na taką herezyą, która wychodziła z jego własnego łona, którą wyhodował kwiat jego inteligencyi: co mogło być przebaczoném ze strony sekciarzy, to nie mogło ujść bezkarnie ze strony jego

członków. Istotnie kongres kościoła anglikańskiego zebrany w Canterbury wydał uroczysty wyrok potępienia na Essayistów i odwołał się do państwa, jako najwyższéj instancyi, ażeby ono wyrok jego potwierdziło i wykonało. Ale kościół zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Minęły już czasy, kiedy państwo mieszało się chętnie do spraw sumienia; za dni naszych zobojętniało ono dla nich — nawet w Anglii. Zebrani *lawlords* uniewinnili autorów oskarżonéj książki z wszelkiego zarzutu. Kościół anglikański przerażony został tym wyrokiem: nie mógł sobie zataić, że jego doktryny, jego sposób zapatrywania zostały *ipso facto* potępione przez rząd świecki. Opieka moralna, jakiej kościół doznawał był od państwa, stała się jedynie martwą literą, historycznym obowiązkiem i nowy kongres zwołany w Canterbury zaregestrował swoję porażkę, przedstawiając państwo jako organ racyonalizmu, ateizmu, jako zupełnie obojętne dla dogmatów kościoła i jego liturgii.

Ta gorzka skarga prałatów anglikańskich, to oskarżenie państwa o apatyą religijną nie były bezzasadnemi. Nie pierwsza to była tego rodzaju okazya i nie ostatnia zapewne. Dość sobie będzie przypomnieć epizod 1847 roku, gdy lord John Russel mianował na biskupa Herefordu dra Hampden, który znany był ze swoich racyonalistycznych opinii już kilka lat pierwéj, co nie przeszkodziło wprawdzie, ażeby lord Melbourne nie był mu powierzył katedry teologii w ultra-zachowawczym uniwersytecie Oxfordzkim. Wówczas już protestowali wszyscy teologowie ze szkoły Newmana i Pusey'a. Ale skandal doszedł do epicznych rozmiarów, gdy rząd mianował go biskupem. 13 biskupów i 485 świeckich znakomitości założyło uroczysty protest, na który jednak rząd nie zwrócił uwagi i przystąpił do konsekracyi dra Hampdena. Proces w izbie lordów, protestacye, skandaliczne zajścia, nic nie pomogło: kościół ukorzyć się musiał. Takie same sceny powtórzyły się w kilka lat późniéj w 1854 roku, z powodu nominacyi proboszcza Gorhama. Biskup Exeteru, od którego on zależał, protestował przeciw jego nominacyi, uważając go za odszczepieńca, i wytoczył mu proces. Państwo wzięło go pod swoję tarczę, dowodząc, że nie ma najmniejszego zamiaru potwierdzać fanatycznych zachcianek i wyłączności teologicznéj swojego kościoła. Nowy krok jeszcze, i śmiało powiedzieć można nie ostatni, zdarzył się w 1863 r. Biskup Natalu, dr. Collenso, ogłosił był drukiem swoję pracę nad Pentateuchem, pracę krytyczną, wykazującą, że księgi Mojżeszowe nie mogą ani pod naukowym, ani pod historycznym względem ostać się przed najpowierzchowniejszą analizą. Był to nowy cios zadany Biblii i cios tém dotkliwszy, że wymierzył go człowiek dobréj wiary, znakomity teolog, dygnitarz kościoła, je-

den z jego biskupów. Najprzód kongres biskupów kolonialnych, a potém *Convocation* w Canterbury uznały go jako heretyka; mimo tego *Judicial Comittee of the Privy Council* utrzymał go na posadzie biskupiéj w Natalu.

Wszyscy ci myśliciele, pisarze, teologowie i cały ten eklektyczny kierunek, którego niektóre fazy skreślić tutaj usiłowaliśmy, stanowi *Broad Church* — kościół szeroki, zmierzający do pogodzenia religii z wiedzą, uczucia z rozumem. Najpierwsze najznakomitsze umysły stronnictwa religijnego, tam znalazły swój przytułek. Dość nam będzie przytoczyć, że dr. Stanley, dziekan katedry Westminsterskiéj, uczeń Arnolda, przyjaciel osobisty rodziny królewskiéj, którego zgon niedawny opłakuje Anglia, należał do tego kierunku teologicznego.

Kościół anglikański, urzędowy — wysoki kościół — zasklepiony w ciasnéj formułce, używający materyalnych przywilejów ale pozbawiony samorodnéj siły, bez liczebnéj większości i bez teologicznéj powagi; kościół niski, ludowy, sekciarski, czerpiący swą siłę w religijnym nastroju społeczeństwa angielskiego, ale rozdrobniony i skazany prędzéj czy późniéj na powrót do dogmatyzmu w jednym kierunku a do racyonalizmu w odwrotnym; nakoniec trzeci kościół, kościół szeroki, obejmujący wyborowe inteligencye zdążające do zachowania sojuszu pomiędzy religią tradycyonalną a anty-religijnym prądem nowoczesnéj epoki: oto trzy siły, trzy czynniki, trzy pierwiastki i trzy organizacye, które znajdujemy przed sobą w chwili, gdy kwestya sekularyzacyi kościoła urzędowego, odłączenia go od państwa postawioną została na porządku dziennym.

III.

Jeżeli udało się nam przedstawić jasno rozwój historyczny kościoła w Wielkiéj Brytanii, czytelnik jest w stanie zrozumiéć w jaki sposób ugrupowane są stronnictwa w chwili obecnéj, gdy radykalizm polityczny zapisał w swym programacie sekularyzacyą kościoła, jego rozdział z państwem.

Problemat ten postawionym być musiał prędzéj czy późniéj. Stronnictwo zachowawcze łudziło się nadzieją, że chwila ta jest oddalona jeszcze, i cała taktyka jego zdążała do wpojenia przekonania w naród, że trwałość instytucyi politycznych angielskich znajduje się w nieodzownym związku z istnieniem urzędowego kościoła. Lord Beaconsfield sformułował tę maksymę w pamiętnéj swéj mowie listopadowéj 1861 r. i torysi wierzą w nią jak w dogmatyczną prawdę. Ale tymczasem świat idzie naprzód, idee swobody, tolerancyi, rów-

ności rozszerzają się i fale jéj uderzają coraz silniéj o fortecę feudalizmu angielskiego. Uprzywilejowany kościół, który naprzód zmuszony był wyzwolić sekty, który późniéj widział katolicyzm wyswobodzony, odzyskujący swą niezależność i byt legalny, nie mógł się spodziewać, iż on jeden będzie mógł stawić czoło nowoczesnemu światu. Nie posiada on liczebnéj większości a używa przywilejów materyalnych, jeżeli nie moralnych tak, jak gdyby wszyscy obywatele Wielkiéj Brytanii byli zmuszeni do niego należéć. Jest coś tak wysoce nielogicznego, tak sztucznego w tém położeniu rzeczy, że nie dziwota, iż stronnictwo postępowe, to które wychodzi z zasad abstrakcyjnych i ma skłonność do lekceważenia historycznych tradycyi, zapytało kościół o rachunek i postawiło przed masą narodu kwestyą sekularyzacyi. P. Józef Chamberlain, dawny członek gabinetu Gladstone'a, i przywódzca młodego jeszcze radykalizmu angielskiego postawił tę kwestyą przed wyborcami i opinia raz poruszona nie zatrzyma się już przed takową. Widoczna, że ogół społeczeństwa nie jest jeszcze oswojony z tą kwestyą i że ani w parlamencie, co się obecnie zbiera, ani w następnym jeszcze sekularyzacya ta nie nastąpi. W Anglii agitacya polityczna przenikać musi do głębi warstw, zanim zatryumfuje w prawodawczéj działalności. Ale tak samo jak byłoby przedwczesném twierdzić, że kościół urzędowy anglikański skazany jest na natychmiastowy upadek, tak samo byłoby brakiem wszelkiego zmysłu krytycznego twierdzić, że rezultat ten nie jest możliwy. Przeciwnie, jest on nieunikniony, chociaż daleki jeszcze.

Pomiędzy kościołem anglikańskim, opierającym się na stronnictwie zachowawczém, a całą postępową, liberalną Anglią gotuje się walka, zapowiadająca się jako długa, energiczna i zacięta. Charakterystyczną jéj cechą jest brak zupełny teologicznéj, sekciarskiéj zawziętości. Najbardziéj stanowczy nieprzyjaciele urzędowego Anglikanizmu nie dotykają jego religijnéj strony, 39 artykułów wiary zostawione są całkiem w spokoju. Są to przedmioty wielkiéj wagi dla szczupłego grona kazuistów i ortodoksalnéj dewocyi: ogół jest dla nich całkiem obojętny. Swoboda opuszczenia kościoła urzędowego, gdy się nie harmonizuje z jego dogmatyzmem, pozbawiła przeciwników zajadłości. Tak samo jak państwo nie chce się wdawać w spory i procesy teologiczne, tak samo i ogół społeczeństwa angielskiego stracił już namiętności sekciarskie. Ci, co biorą udział w walce za kościół urzędowy lub przeciw niemu, walczą o jego stanowisko legalne, o jego przywileje, o jego fundusze, o jego organizacyą materyalną Interesa w grze będące są potężne, ale są to interesa ziemskie, praktyczne. Jak wiadomo, leżą one Anglikom przedewszystkiém na sercu. Gdy ogół angielskiego społeczeństwa będzie prze-

konany, że utrzymanie kościoła urzędowego jest niekorzystną operacyą finansową, przewrot ostateczny nie da długo na siebie czekać.

Argumentacya przeciwników kościoła urzędowego ześrodkowuje się na jego funduszach. Jeżeli rozporządza on obecnie milionami milionów zapisanemi mu przez swoich członków, to stał się ich posiadaczem pod pewnemi warunkami, z których pierwszym było utrzymanie szkół i krzewienie oświaty. Otóż w epoce dzisiejszéj, twierdzi stronnictwo postępowe, kościół nie wypełnia tych obowiązków, albo nie wypełnia ich całkowicie. Nie w jego rękach ale w rękach całego społeczeństwa, a zatém państwa, powinna się znajdować oświata, jéj kierunek i przewodnictwo. Ażeby szkolę zrobić obowiązkową potrzeba znaleść na to fundusze. Niepodobna będzie otrzymać ich inaczéj, jak odbierając je kościołowi i przelewając je na państwo.

Kwestya oświaty publicznéj, przedsiębranéj przez państwo, jest jak wiadomo kwestyą nową w Anglii, a ministeryum oświaty, *the Board of School*, nową instytucyą. Ma ona do walczenia z tradycyą, zwyczajami i charakterem narodowym. Jeżeli jednak obowiązkowa oświata ma istniéć i jeżeli trzeba będzie znaleść na nią fundusze, samo z siebie wynika, że kościół będzie wezwany do zlikwidowania swoich zobowiązań w tym dziale. Nie można jednak zataić, że likwidacyą taką łatwiéj zadekretować aniżeli w czyn wprowadzić. Każdy zapis specyalny, pojedynczy, każda fundacya na korzyść kościoła może być tłómaczoną rozmaicie i byłoby to niewyczerpaném źródłem dla sporów prawnych. O konfiskacie, rewolucyjnym, despotycznym środku, mowy być nie może w społeczeństwie ucywilizowaném i nieprzekraczającém szranek legalnych.

Kościół zresztą nie może być oskarżony żeby zaniedbywał celów pedagogicznych i filantropijnych; przeciwnie rozwija w obu tych kierunkach zdumiewającą działalność. Działalność ta wzrasta z każdym rokiem i świadczy, że w obec grożącego mu niebezpieczeństwa, Anglikanizm urzędowy, potęguje swoję propagandę, pokrzepia swoje słabe posterunki i chce być bez zarzutu, Wstępnym bojem zdobywa on nawet napowrót wielu z dawnych swych odpadłych stronników, którzy powracają teraz na łono kościoła urzędowego. Nigdy blask jego ceremonii nie był świetniejszym, propaganda żywszą, postawa dumniejszą i wydatki większemi. W roku 1883 wydano na samą budowę i reparacyą kościołów bajeczną sumę 1.600.000 funtów szterlingów czyli 16.000.000 rubli. Katedry anglikańskie wznoszą się wspaniałe, bogate, a drobne kaplice sekciarskie wyglądają

w obec tych olbrzymów jak liliputy (1). Publiczność angielska, która uczęszczanie do kościoła uważa jako pierwszy z warunków *respectability*, przyciągana jest do urzędowych świątyń raz dla ich artystycznéj piękności i komfortu, a potém dla tego, że arystokracya wyższe warstwy towarzyskie wyłącznie tam uczęszczają. Moda obecnie staje się wspólniczką Anglikanizmu. Widocznie tryumfuje on nad dysydentami. Są cyfry wymowne. Kiedy w roku 1883 po wszystkich kaplicach i kościołach sekciarskich zebrano na utrzymanie szpitalów od 13413 dawców 148.771 funtów szt., to w tym samym przeciągu czasu sam kościół anglikański otrzymał od 19.700 dawców nie mniéj jak 352.489 f. szt. Skoro takiemi środkami rozporządza, nie łatwo jest występować z nim w zawody. Są i inne dane, które pozwalają ocenić świetne położenie materyalne urzędowego kościoła. Przed trzydziestu laty, w 1853 r. istniały dwa stowarzyszenia utrzymujące proboszczy źle uposażonych; jedno, należące do kościoła urzędowego, *Additional Curates Society*, miało 13.000 f. szt. rocznego dochodu, drugie, *Pastoral Aid Society*, podtrzymywane przez rozmaite sekty *Low Church*, rozporządzało aż 30.000 f. szt. rocznie. Obecnie stosunek zmienił się zupełnie: pierwsze utrzymuje 646 proboszczy, drugie tylko 540; dochód roczny pierwszego potroił się, kiedy drugiego podwoił się zaledwie. Ta sama tendencya pokazuje się i w pismach, dziennikach będących organami kościołów: *Guardian*, organ wysokiego kościoła, ma dwa razy tyle prenumeratów co *Record* i inne niezliczone pisma kościołów sekciarskich.

Ażeby czytelnicy mogli nabrać dokładnego wyobrażenia o majątku kościoła anglikańskiego i środków potężnych, jakiemi rozporządza, dość nam będzie otworzyć *The official Year-Book of the Church of England* za rok bieżący. Obejmuje on cyfry urzędowe, i czerpiąc w nich na chybi-trafi nieledwie, zrozumiéć będzie można tę silną podstawę materyalną, na jakiéj spoczywa. Towarzystwo budowy kościołów, zostające pod dyrekcyą biskupa Londynu, wybudowało dotąd 5362 kościołów i kaplic i poświęciło na ten cel 793.389 f. szt. Dalsze wydatki, jakie ma przed sobą, wynoszą nie mniéj jak 11.505.150 f. szt.

W przeciągu 43 lat, od 1840 do 1883 r. liczba nowych probostw powiększoną została o 5.000; wartość płacy pobieranéj przez pro-

(1) W epoce 1840 do 1874 roku wydano na budowę katedr i kościołów nie mniéj jak 25.548.703 funtów szt. a w wykazie tym pominięte są wszystkie reparacye, których wysokość nie przewyższyła 500 f. szt.

boszczów powiększa się corocznie o 138.000 f. szt. i wynosi obecnie 25.680.000 f. szt.

Trzech biskupów z dyecezyi Durham, Newcastle i Llandeff, uznając potrzebę misyi dyecezyalnych, oszacowali koszt takowych na 60, 50 i 100.000 czyli razem na 210.000 f. szt. W przeciągu dziewięciu pierwszych miesięcy zeszłego roku po wydaniu odezwy do swych parafian otrzymali 35, 21 i 37.000 czyli razem 93.000 f. szt. Nie ma najmniejszego wątpienia, że tegoroczny wykaz uwiadomi nas o dopełnieniu téj sumy.

London City Mission, stowarzyszenie które odwiedza chorych i umierających, czyta im Pismo Święte, modli się z nimi, rozdaje im broszurki religijne, wydało w roku ubiegłym sumę 62.970 funtów szt.

Nie chcemy utrudzać czytelnika nawałem tych cyfr. Wymienione wystarczą do wykazania, że kościół anglikański hojnie szafuje milionami. Żaden wydatek go nie zastrasza; jest pewnym, że wystarczy mu odwołać się do kieszeni swych wyznawców a te otworzą mu się bezzwłocznie. Zapisy testamentowe, datki zwyczajne i nadzwyczajne, przesyłki bezimienne płyną nieprzebraną strugą. Jest coś zdumiewającego w téj gotowości do ofiar Anglików; jeżeli wyrzucają im surowo ich egoizm, nie zdaje się nam, ażeby w tym samym stopniu wysławiano ich obywatelskie poczucie obowiązku, ich miłosierdzie chrześciańskie. Skoro oni uważają, że kościół jest użytecznym, jest potrzebnym czynnikiem moralności i uszlachetniania masy, dają mu wszelką pomoc materyalną i moralną, jakiéj od nich wymaga.

Kościół urzędowy jest silny nietylko majątkiem nieruchomym, który posiada, nie tylko składkami i ofiarami, które na każde swe wezwanie otrzymuje, ale przedewszystkiém silny jest udziałem czynnym społeczeństwa. Byłoby błędem przypuszczać, że składa się on jedynie z duchownych. Obok nich stoją wszędzie świeccy. Każde stowarzyszenie, każde przedsięwzięcie kościoła ma obok duchownych zwierzchników komitet świecki i świeckich urzędników, pobierających regularną płacę. Kobiety, młodzież, dzieci nawet zaprzągnięte są do tego wspólnego dzieła. W ten sposób powstała ta silna organizacya, która zdumiała przeciwników. Kiedy rozmaite sekty protestanckie, ufając w swoje doktryny, zaniedbały téj organizacyi życiowéj, kościół urzędowy nie spuścił jéj z uwagi, i na niéj opiera się jego potęga, jéj przypisać należy ten rozkwit i wzrost niespodziewany, którego jesteśmy świadkami.

Nie ma téż strony życia, którejby nie ogarnął i niewycisnął na niéj swego piętna. Na morzu i ziemi, na jéj powierzchni i w jéj głę-

binach, w kopalniach, w Anglii i w jéj koloniach, wszędzie kościół działa pośrednio lub bezpośrednio. Towarzystwa wstrzemięźliwości, Towarzystwa czystości, Domy przytułku, poprawy, więzienia, domy robocze, schronienia wdów, sierot, chorych, konwalescentów, dla sług bez miejsca, dla podupadłych majątkowo; szpitale, domy zdrowia, etc., oto jedna strona działalności kościoła, pełna miłosierdzia. Druga poświęcona jest szkołom i wychowaniu chrześciańskiemu. Wypada tu przytoczyć znowu garść wymownych danych statystycznych.

Na szkółki elementarne kościół anglikański wydał w ubiegłym 1884 roku sumę 580.000 f. szt. a uczęszczało do takowych 1.562.507 dzieci. W epoce od 1811 do 1884 r. kościół anglikański wydał na budowę szkółek elementarnych 11.759.833 a na ich utrzymanie, 15.720.180 f. szt.

Zbytecznêm byłoby przypominać żedwa uniwersytety, w Oxfordzie i Cambridge, że King's College w Londynie i kilkanaście innych wyższych zakładów naukowych są w zależności od kościoła i w ścisłym z nim związku.

Na taki organizm silny, czerstwy, na tego olbrzyma finansowego rzuciła się opozycya radykalizmu angielskiego. Zadanie widocznie trudne, i jak powiedzieliśmy wyżéj, nie można spodziewać się bynajmniéj, aby rezultat nastąpił niebawem. Kościół urzędowy nie ma najmniejszego zamiaru ustąpić swego miejsca przeciwnikom i można być pewnym, że nie zaniedba żadnych środków obronnych, aby uprzywilejowane swe stanowisko zachować dopóki to tylko będzie możliwém. Nie będzie się wahał odezwać o wsparcie nawet do rozmaitych sekt, oddawna odeń odpadłych, i wystawi im solidarność religijną, interesa kościelne zagrożone przez ateizm i wolnomyślicielstwo. Już w obecnym periodzie wyborczym widzieliśmy takie odezwy i jeżeli po miastach, gdzie wpływ kościoła jest większy aniżeli po wsiach, stronnictwo zachowawcze, kościelne odniosło tak wielkie, tak niespodziewane tryumfy, pochodziło to z poparcia, jakie rozmaite sekty protestanckie dały mu w chwili stanowczéj. Było by bez wątpienia przedwczesném przypuszczać, że Anglikanizm pod wpływem walki z państwem będzie w stanie przygarnąć pod swoje skrzydła odpadłą bracię, ale nie ulega żadnéj wątpliwości, że niczego nie zaniedba, aby módz skutecznie przeciwstawić stronnictwu liberalnemu wszystkie siły, jakiemi tylko rozporządzać potrafi, i że słynne *Revival* (odrodzenie religijne) nie wypowiedziało jeszcze ostatniego słowa.

Jeżeli kościół urzędowy nie jest zagrożony bezzwłoczną likwidacyą, jeżeli nawet w łonie liberalnego stronnictwa opinie pod tym

względem nie są jeszcze jasno sformułowane, to mimo tego nie ulega wątpliwości, że kwestya kościelna podniesiona będzie w parlamencie w czasie otwierającéj się kadencyi. Rewolucya może być odroczoną; reformy nie dadzą na siebie czekać. Nawet stronnictwo najbardziéj zachowawcze uznaje ich konieczność a dygnitarze i książęta kościoła jak arcybiskup Canterbury, biskup Carlylu, biskup Peterborough i kilku innych jawnie oświadczyli się za niemi. Reforma ta dotknie prawdopodobnie systematu *endowments*, na którym spoczywa cały ustrój parafialny, tak samo jak dziesięciny kościelnéj. Dziesięcina (*tithes*) stanowi obok podatku na utrzymanie kościoła (*Church rates*) obok datków wielkanocnych (*Easter offerings*) i dochodów nadzwyczajnych (*surplice fees*) główny dochód proboszcza. Dziesięcina ta, składana dawniéj w naturze, jest od 1838 r. zamieniona na podatek ciążący na własności gruntowéj, a wysokość jéj szacowana jest przez *controlles of corn returns* stosownie do ceny targowéj zboża. Istnieje tak wielka nierówność w dochodach probostw, że kiedy niektóre mają ich krocie tysięcy, inne nie posiadają nawet 200 f. szt. rocznie. Kościół, ażeby poprawić położenie materyalne wielu ze swoich członków, zgodzi się na nową organizacyę parafialną. Parlament postawi przed sobą ten problemat. Jaki obrót weźmie on wówczas, przewidziéć nie można. Jeżeli wiatr reform i radykalizmu wiać będzie, gdy się wedrze raz przez otwarte wrota do omszałego gmachu, wytworzyć tam może nie lada ruiny. W każdym razie wytrzymać będzie musiał napad gwałtowny, i nie łatwem będzie zatrzymać będzie ruch reformatorski w połowie drogi.

Radykalizm, który dąży obecnie do sekularyzacyi kościoła urzędowego, staje na stanowisku ogólnego dobra, i nie przedstawia się bynajmniéj jako jego zasadniczy nieprzyjaciel. Chce on po prostu odjąć kościołowi jego stempel urzędowy, jego przywileje, a majątek, którym rozporządza samowolnie, chce oddać na użytek społeczeństwa, na cele filantropijne i pedagogiczne. Jeżeli pozbawiony swéj materyalnéj siły, zachowa w pośród narodu swój moralny wpływ i potęgę, wtedy, jak powiedziano trafnie, przestanie być kościołem angielskiego rządu, a zostanie kościołem ludu angielskiego. Ta demokratyczna konsekracya nie uśmiecha się jednak bynajmniéj przedstawicielom urzędowym kościoła i pomiędzy dwoma krańcowemi obozami przyjdzie i przyjść musi do starcia, którego perypetye mogą być dramatyczne, ale którego ostateczny rezultat nie może ulegać wątpliwości dla historyka i dla polityka.

IV.

Po skreśleniu wewnętrznéj walki jaka się toczyła w łonie kościoła anglikańskiego i téj, jaka się gotuje pomiędzy nim a stronnictwem postępowém, potrzeba nam jeszcze, dla dopełnienia obrazu religijnego ruchu w Wielkiéj Brytanii, zatrzymać się choćby na chwilę, przed katolicyzmem. Jest to czynnik, którego zbyć lekceważącém milczeniem nie podobna.

Kilkowiekowe prześladowanie katolicyzmu na téj ziemi swobód publicznych skończyło się dopiero w 1829 roku, wiadomo po jak długich walkach, po jak długim oporze nie tylko kościoła protestanckiego ale wszystkich klas społeczeństwa, korony i parlamentu. Ale chociaż szeroki prąd wolności i tolerancyi otworzył wrota katolicyzmowi, i chociaż przestał on być już prawną zaporą do spełniania obowiązków obywatelskich, to potrzeba było kilku dziesiątków lat, aby oswoić społeczeństwo angielskie z istnieniem religii, któréj głowa znajdowała się po za obrębem kraju. Gdy papież Pius IX bulą swoją z 29 sierpnia 1850 r. uorganizował kościół katolicki w Wielkiéj Brytanii, mianując arcybiskupa w osobie kardynała Wisemana i 12 biskupów, okrzyk zgrozy i przerażenia rozległ się po Anglii. Wśród krzyków *no popery* parlament zawotował bill o tytułach duchownych i zdawać się mogło chwilowo, że nastąpi reakcya gwałtowna. Ale powoli ucichło wzburzenie, opinia wytrzeźwiała, bil 1851 roku poszedł w zapomnienie a kościół katolicki pod skrzydłem silnéj organizacyi zapuszczał coraz głębsze korzenie w ten grunt tak długo nieprzenikalny.

Nie można jak podziwiać wytrwałość, energią, czujność, różnostronność jego propagandy. Postawiwszy sobie jako cel podbicie kraju nawskróś protestanckiego i jego powrót na łono katolicyzmu, nie zaniedbał żadnego środka, któryby doń prowadził. Trzy wielkie osobistości odegrały przewodnią rolę w tym ruchu. Pierwszą był kardynał Wiseman, za którego radą Pius IX uorganizował kościół katolicki w Anglii. Znając dobrze grunt, na którym się obracał, kard. Wiseman wiedział, że pomoc przyjść mi może przedewszystkiém z szeregów urzędowego kościoła anglikańskiego i jego teologów. Dla tego téż gorliwie popierał on ruch Traktarianów Oxfordzkich i rozwój puseismu. Wiadomo, ilu zwolenników znalazł katolicyzm w tych agitatorach, i jak się w pośród nich stopniowo ukształtowały osobistości kardynałów Manninga i Newmana. Działalność kardynała Wiesemanna aż do jego zgonu w 1865 roku nacechowana była prawdziwym taktem. Nie mając dość sił do napastniczéj walki, sta-

rał się dyplomatycznie wślizgnąć i opanować po cichu jedne po drugich pozycye.

Następcą jego na arcybiskupstwie Westminsterskiém był kard. Manning, drugi z filarów katolicyzmu. Działalność jego, trwająca aż do chwili obecnéj, ma już charakter odmienny. Czując, że ma silny grunt pod nogami, że katolicyzm się szerzy, że szeregi duchowieństwa katolickiego świeckiego i zakonnego się zwiększają, że katedry i kościoły się budują, że klasztory się mnożą, kardynał Manning śmiało rozwinął sztandar ultramontanizmu i stacza z protestantyzmem angielskim walkę jako równy z równym. Będąc jednym z najpierwszych teologów współczesnych, ów dawny pastor protestancki, ów członek puseizmu, zna słabe strony anglikanizmu i wié, jak nad nim zatryumfować. Obecnie, nie licząc Irlandyi katolickiéj, znajduje się w Anglii i Szkocyi półtora miliona katolików i z górą 5.000 księży i zakonników. Nie ma roku ażeby nie powstawały wielkie fundacye, ażeby wielkie rodziny arystokracyi nie przechodziły na łono kościoła katolickiego. Wiedząc, jak angielskie społeczeństwo jest na wskróś arystokratyczne i jak wielkim jest wpływ i przykład wyższych sfer towarzyskich na klasę mieszczańską, która stara się je naśladować, można być pewnym, że ruch ten nie ustanie. Misye katolickie wysyłane przez kardynała Manninga, polemika pełna godności ale zacięta nieprzejednana otwiera drogę pojedynczym nawracaniom; głównemi działaczami zaś są zakłady naukowe ojców Jezuitów, które garną do siebie kwiat młodzieży i które dokładają wszelkich starań, ażeby zawładnąć kwiatem inteligencyi.

Obok kardynała Manninga, jako trzecią głowę katolicyzmu angielskiego, należy wymienić d-ra Newmana, obleczonego także kardynalską purpurą. W podeszłym już wieku, charakteru nieskazitelnego, ta prawdziwie apostolska osobistość, przez swą wielką naukę, swe związki osobistéj przyjaźni z pierwszorzędnemi znakomitościami krajowemi, służy do utrzymania duchowéj spójni pomiędzy kościołem anglikańskim, który opuścił, a tym, który poślubił. Następstwa tego działania książąt kościoła katolickiego nie będą mogły być widoczne od razu, ale można bez obawy o fałszywe proroctwo przepowiedzieć im powodzenie i rozwój ciągły, bezustanny. Kościół anglikański przygotował mu grunt przedziwnie. Nie może się dziwić, że znajdzie w kościele katolickim przeciwnika coraz śmielszego, współzawodnika o tyle niebezpieczniejszego, że jest on logiczny i przekonany o swym nieuniknionym tryumfie.

W chwili obecnéj nie może być jeszcze mowy o współzawodnictwie. Katolicyzm jest jeszcze w Anglii nowością, i liczebnie jest mniejszością. Anglikanizm nie potrzebuje się go obawiać.

Grozi mu tyle innych natychmiastowych przeciwników, że nie troszczy się o tego co za górą. Inaczéj bez wątpienia kwestya przedstawi się prawnukom, i w Anglii tak samo jak w innych krajach uproszczą się zasady, oczyszczą z fermentu, i po jednéj stronie staną stronnicy kościoła, religijnéj tradycyi i dogmatyzmu, po drugiéj zwolennicy krytycznéj analizy i wolnéj myśli.

Zanim ta chwila krystalizacyi duchowéj nastąpi upłyną jeszcze długich lat szeregi i ściemnieje nieraz widnokrąg. Nie ma powodu do zniechęcenia, skoro wiemy, że z tego całunu chmur wyłoni się świetlana zorza postępu.

Dr. M. E. Trepka.





PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.

(Outlines of Psychology by James Sully).

UCZUCIE.

Dotychczasowo psychologia, zajęta głównie poznaniem, spychała na drugi plan badania swe nad uczuciem i zbywała je zwykle kilku ogólnikami. Ostatniemi dopiero czasy zabrano się do gruntownego przestudyowania objawów uczucia, do wykrycia zasady, którąby mogła posłużyć do ich uporządkowania. To, co dotąd zrobiono na tém polu, pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Umiejętnéj klasyfikacyi uczuć nie mamy, jakkolwiek w ostatnich latach ukazały się mniéj więcéj szczęśliwe jéj próby, które pozwalają spodziewać się, że na wskazanéj przez nie drodze da się nareszcie zaprowadzić jakiś ład między objawami, przedstawiającemi się dzisiaj w chaotycznym nieporządku. Bądź-co-bądź, Sully zrobił, co było w jego mocy. Zebrał troskliwie opracowany materyał i usystematyzował go, o ile się to dało. Więcéj od niego wymagać, byłoby to żądać tego, czego nie przyrzekał, co nie leży w założeniu dzieła, którego zadaniem było nakreślenie obrazu, o ile można dokładnego, czém jest obecna psychologia.

1. Przez uczucie rozumiemy ten stan świadomości, którego cechę stanowi przyjemność lub przykrość. Uczucia więc są to różnego rodzaju przyjemności i przykrości. Każde uczucie jest w pewnym stopniu przyjemne albo przykre. Są nadto uczucia mieszane, nawpół przykre i przyjemne, jakkolwiek trudno oznaczyć, który z tych dwóch pierwiastków w nich przeważa. Żeby zaś mogły być uczucia obojętne, jak to utrzymuje Bain, można o tém powątpiewać.

Do uczuć należą zarówno proste stany umysłu, będące następstwem pobudzeń nerwowych i nazywane powszechnie czuciami

przyjemnemi i przykremi, np. głód, pragnienie, jako też stany bardziéj złożone, zależne od pewnéj czynności umysłu i znane pod imieniem wzruszeń. Do takich należą: strach, nadzieja, uwielbienie i t. d.

Badanie uczuć ważném jest nie tylko pod względem teoretycznym, ale i praktycznym. Uczucia stanowią sferę naszego życia najbardziéj wewnętrzną. Są one składowemi żywiołami naszéj szczęśliwości i nieszczęśliwości. Nadto uczucia zostają w ścisłym stosunku z rozumem i wolą i wywierają na nie wpływ już to zbawienny, już to zgubny.

Uczucie w pewnéj mierze przeciwne jest poznaniu. Kiedy umysł doznaje silnego wzruszenia, wszelka praca rozumowa jest wtedy dla niego niepodobną. Uwaga, zostając pod panowaniem uczucia, niezdolna jest kierować czynnościami umysłu. Praca rozumu, polegająca na wykrywaniu różnic i podobieństw między rzeczami, na śledzeniu przebiegu rozumowań, wymaga spokojnego stanu umysłu.

Z drugiéj atoli strony, ponieważ każda czynność rozumowa wymaga pewnego zainteresowania się, stąd energia jéj i skuteczność zależą w znacznéj mierze od obecności uczucia łagodnego, które stanowi właśnie tło owego zainteresowania się. Stąd też rozwój rozumu w wyższych jego stopniach potrzebuje ugruntowania pewnych uczuć. W większym jeszcze stopniu zależy rozwój uczucia od rozwoju poznania. Uczucie w wyższych swych formach wymaga działania rozumu. Łączą się one bezpośrednio z postrzeżeniami, wyobrażeniami, z sądami i rozumowaniami. Strach spowodowanym bywa albo przez widok, albo przez wyobrażenie jakiegoś przedmiotu. Niektóre zaś uczucia, jak szacunek dla osoby, miłość kraju, wymagają bardzo licznych i złożonych czynności rozumu. Najwyższe zaś uczucia, jakiemi są miłość prawdy, sprawiedliwości itd. opierają się na abstrakcyjnéj czynności myślenia, która możliwą jest tylko przy znacznym stopniu rozwoju umysłu.

Związek ciała i umysłu nigdzie wyraźniéj nie objawia się, jak we wzajemnéj zależności uczuć i odpowiednich im zmian cielesnych. Każdemu uczuciu towarzyszy pewna, ściśle oznaczona zmiana cielesna, objaw zewnętrzny, stanowiący to, co nazywamy wyrazem uczuć. Do nich należą: ruchy twarzy, rąk, zmiana głosu i t. d. Oprócz tego łączą się z niemi także pewne zmiany w sprawach organicznych, jak bicie serca, zatamowanie oddechu i t. d. Zależność ta jest tak ścisła, że przybierając zewnętrzne znaki pewnego uczucia, już przez to samo usposabiamy siebie do niego. Za pomocą to właśnie owéj zależności uczuć od cielesnych objawów wola wywiera swe działanie na uczucia, kontroluje je.

Fizyologicznie tłómaczy się to tém, że każde uczucie polegając na pobudzeniu ośrodków nerwowych, rozchodzi się po nerwowym układzie i wywołuje cały szereg następstw fizycznych. Gdy zaś te następstwa, czyli objawy uczucia zostaną powstrzymane, samo uczucie zaczyna słabnąć i w końcu ustaje.

Zewnętrzne objawy uczuć są po części instynktowe, po części nabyte. Krzyk, uśmiech, marszczenie brwi i t. d. są czysto instynktowe; możnaby do nich zaliczyć także ściskanie pięści. W innych razach ważną gra rolę naśladownictwo — świadome lub bezwiedne. W innych znowu wypadkach wola wyraźnie przewodniczy w nabywaniu tak zwanych ruchów wymownych—pewnego sposobu patrzenia, mówienia, poruszania się i t. d.

Co się tyczy objawów instynktowych, nastręcza się pytanie, w jaki sposób ustalił się tak ścisły związek między pewnemi uczuciami i odpowiadającemi im znakami zewnętrznemi?Odpowiedź na nie jest następująca: pewne ruchy połączyły się pierwotnie z przyjemnemi lub przykremi uczuciami zmysłowemi dla tego, że okazały się dla nich pożytecznemi. Ruchy te skojarzyły się następnie tak silnie z owemi uczuciami, że samo przypomnienie owych uczuć wystarcza do ich wywołania. Te same ruchy mocą kojarzenia przez podobieństwo zostały zastosowane następnie do analogicznych uczuć wszelkiego rodzaju. Te związki, czyli skojarzenia utrwalone w ciągu rozwoju rasy, przekazują się drogą dziedzictwa osobnikom, jako instynktowe usposobienie.

Za pomocą zewnętrznych objawów można oceniać same uczucia i w ten sposób oznaczać różnice, jakie pod tym względem zachodzą między ludźmi. Różnice te stanowią właśnie to, co nazywamy temperamentem. Klasyfikacya temperamentów nie jest jeszcze ustalona. Brakuje po temu umiejętnej zasady. Jak dotąd najlepszą jest Henle'go, znakomitego anatoma niemieckiego. Podług niego temperamenty zostają w ścisłéj zależności od energii, napięcia nerwów ruchowych i czuciowych. Energia ta jest najsłabszą w temperamencie flegmatycznym, w sangwinicznym jest dość silna, ale prędko wyczerpująca się. Choleryczny odznacza się wielką i wytrwałą energią; melancholiczny nareszcie tę ma cechę, że posiadając silne napięcie nerwów czuciowych, odznacza się jednocześnie słabą odpornością nerwów ruchowych. Autor, który w swém dziele o pesymizmie obszerniéj zastanawia się nad teoryą Henle'go, uzupełnia ją uwagą, że różnice temperamentu w znacznym stopniu zależą także od stanu organów wewnętrznych—pokarmowego, oddechowego itd., które są źródłem czuć organicznych. Organy te oddziaływając na mózg, stają się powodem albo zadowolenia wewnętrznego, ale znie-

chęcenia, stosownie do tego, czy organy te są zdrowe, czy chore, czy działanie ich jest prawidłowe, czy też zachodzą w niém jakie zboczenia.

Jedném z głównych zadań psychologii jest sprowadzenie całéj rozmaitości uczuć tak przyjemnych, jak przykrych do pewnych praw. Jakkolwiek dotychczasowe usiłowania, podejmowane w tym kierunku, nie doprowadziły jeszcze do wypadków zupełnie zadowalających, sformułowano przecież niektóre zasady, które można uważać za mniéj lub więcéj słuszne.

Pierwszą z tych zasad jest prawo pobudliwości czyli pracy. Przyjemność towarzyszy każdéj umiarkowanéj czynności organu, połączonego za pomocą nerwów z ośrodkiem mózgowym, który jest ogniskiem świadomości. Sprawdzenie tego prawa widzimy szczególniéj w czuciach zmysłów wyższych. Umiarkowane pobudzenie wzroku i słuchu sprawia zwykle przyjemność. Przyjemność ta wzrasta do pewnego stopnia w miarę natężenia bodźca. Gdy zaś bodziec przekroczy pewną granicę, przyjemność się zmniejsza i w końcu przechodzi w przykrość. Nadzwyczajne wzmocnienie bodźca nie jest przecież jedyném źródłem przykrości. Przyczyną jéj może być także brak właściwego pobudzenia. Przydłuższa ciemność budzi w nas pragnienie światła. Brak ruchu lub zajęcia umysłowego staje się powodem owego stanu umysłowego, który nazywamy znudzeniem. Wszelka przeszkoda, tamująca czynność czy to fizyczną, czy to umysłową, jak np. zapomnienie jakiegoś szczegółu, sprawia przykrość, ale zarazem pobudza do nowego wysiłku, ażeby przeszkodę usunąć.

Możnaby powiedzieć, że działanie przyjemne leży w środku między dwiema ostatecznościami—między nadzwyczajném, wytężoném działaniem i działaniem powściąganém, oraz zupełną nieczynnością. Oczywista, że wyrazy umiarkowany, nadzwyczajny, niedostateczny mają tu znaczenie względne. Przyrodzona energia, nabyte nawyknienia organu wskazują dokładnie, która czynność jest dlań niedostateczną, a która nadzwyczajną. Ta sama czynność mięśniowa może być przyjemną dla dziecka silnego, a przykrą dla słabowitego.

Należy przypuścić, że umiarkowana czynność zbawienną jest dla organu, gdy tymczasem nadzwyczajna wyczerpuje jego siły, niedostateczna zaś pozostawia te siły w napięciu, skąd rodzi się potrzeba ich zużycia.

Drugą zasadą, która uzupełnia pierwszą, jest prawo zmiany albo kontrastu. Wiadomo nam, że zmiana wrażeń jest koniecznym warunkiem trwałości działania umysłowego. To samo ma się rozumiéć i o uczuciach. Silne pobudzenie jakiegoś organu, chociażby było

zrazu przyjemne, gdy się nadto przedłuża, albo zbyt często powtarza, nuży organ i staje się przykrém. a nawet bolesném. Oprócz tego każde przyjemne pobudzenie, gdy trwa długo, chociażby nie przechodziło w przykre, stopniowo słabnie i staje się w końcu obojętném.

Zasada zmiany występuje w dwóch formach: zmiana pod względem stopnia, natężenia czynności i zmiana pod względem rodzaju czynności.

Wszelka czynność o tyle jest przyjemną, o ile jest przejściem od bezczynności, albo od czynności słabéj, lub też utrudnionéj. Świeże powietrze tém milszem jest dla nas, im dłużéj zostawaliśmy w zamkniętém. Przebyta choroba daje nam tém silniéj uczuć wartość zdrowia. Nabywaniu wiedzy, bogactw, wziętości w świecie towarzyszy zawsze przyjemność, jaką budzi rozszerzający się zakres działalności. Podobnież przejście od czynności natężonéj do umiarkowanéj, albo też do wypoczynku staje się źródłem przyjemności, która jest tém większą, im organ działający był bardziéj znużonym.

Ażeby pewna czynność mogła być przyjemną, nie koniecznie potrzeba, ażeby ją poprzedzał stan przykry. Przyjemność może być osiągnięta w drodze zmiany w rodzaju czynności. Zatrudniając pokolei każdy organ i każdą władzę umysłową, możemy przedłużać naszą działalność tak fizyczną, jak i umysłową, gdyż w ten sposób dozwalamy wypoczywać organom i władzom niezatrudnionym. Skutek ten uwidocznia się, gdy przechodzimy od pracy fizycznéj do umysłowéj.

Przyjemność, jaką w nas budzi nowość, jest najlepszém wyjaśnieniem prawa zmiany. Co jest nowém, niezwykłém, budzi uwagę i podnieca umysł do działania.

Przykre pobudzenie przedłużane traci powoli na swéj sile. Wszelkie cierpienia tak fizyczne, jak moralne, stają się z czasem, gdy trwają długo, mniéj dotkliwemi, oswajamy się z niemi; naturalnie pod warunkiem, że cierpienia te nie powiększają się.

Dłuższe działanie pobudzeń tak przyjemnych jak i przykrych spowodowuje pewne zmiany w warunkach organu. Dokonywa się w nim wtedy sprawa przystosowania. To znaczy, że pobudzenie, które zrazu było dlań przykrem, staje się następnie przyjemném. Prawo to znajduje swe stwierdzenie w nałogu pijaństwa, w upodobaniu do gorzkich przypraw i t. d. Organ przystosowuje się nie tylko do nowego rodzaju, ale i do nowego stopnia bodźca.

Jakkolwiek pobudzenia stale trwające lub ciągle ponawiane stają się w końcu obojętnemi, nie mniéj jednakże przyzwyczajamy się do nich i nagłe ich ustanie, brak ich daje się uczuwać dotkliwie,

zradza w nas pragnienie ich. Pragnienie to stanowi przykrość ujemną, która towarzyszy każdemu nawyknieniu, nałogowi.

W każdym razie, zmiana jest warunkiem przyjemności tylko w pewnych granicach. Przystosowanie się do pobudzeń początkowo przykrych zapewnia przyjemność, ale nabranie nałogu staje się powodem przykrości. Stąd pragnienie zmiany i przyzwyczajanie się do tego, co jest zwykłém, są dwiema przeciwnemi zasadami, kierującemi naszém życiem uczuciowém. Rzecz nowa, nie mająca żadnego związku z tém, czegośmy w przeszłości doświadczali, nie zdolna jest sprawić nam przyjemności.

Dotąd mówiliśmy o warunkach przyjemności i przykrości w odniesieniu do pojedyńczego organu, rozważanego w odosobnieniu. Takie atoli odosobnianie organów i ich czynności jest sztuczne. W rzeczywistości wszystkie organy: mózg, zmysły, mięśnie i t. d. połączone są z sobą jaknajściśléj. Dla tego też pobudzenie jednego organu pociąga za sobą skutki tak bezpośrednie, jakoteż pośrednie, uboczne. Pobudzenie naprzykład słuchu przez dźwięki muzyczne wywołuje czynność nie tylko ośrodków słuchowych, w których powstaje zmysłowa przyjemność dźwięków, ale także i innych ośrodków nerwowych, które dają początek idealnym uczuciom. Na tém nie koniec. Każda przyjemna lub przykra czynność umysłowa oddziaływa w pewien sposób na sprawy odżywcze, oraz na mięśnie ruchu dowolnego.

Z tego ścisłego połączenia organów wynika, że warunki jednego z nich oddziaływają na warunki innych i wywołują w nich zmianę stanu. Gdy odżywianie, obieg krwi odbywają się prawidłowo, wtedy i czynności mózgu dokonywają się swobodnie i umysł znajduje się w stanie pogodnym. I odwrotnie, gdy umysł zajęty jest wesołemi myślami, gdy doznaje wzruszeń przyjemnych, natenczas i sprawy odżywcze nabierają szybszego tętna i dzielniéj przyczyniają się do odnowy organizmu. Przeciwnie, znużenie jednego organu nie tylko sprawia przykre uczucie w tym organie, lecz nadto paraliżuje prawidłową czynność innych organów i obniża uczucie przyjemności z tą czynnością związanéj. Przykładem tego prawa jest strach, gniew gwałtowny, które, osłabiając działanie mózgu, paraliżują jednocześnie czynność mięśni i sprowadzają zaburzenia w wewnętrznych organach.

Analogiczne fakty spostrzegamy także i w sprawach czysto umysłowych. Umysł przedstawia jedność daleko ściślejszą, niż organizm cielesny. Z mnóstwa stanów, składających się na wytworzenie naszego życia umysłowego, mała tylko ich cząstka dochodzi do świadomości. Świadomość zaś wyraźna nie jest czém inném, jak szere-

giem stanów, kolejnie po sobie następujących. Dla tego też umysł nie może w téj saméj chwili zostawać w dwóch przeciwnych stanach. Jeżeli więc okoliczności zewnętrzne działają na umysł w kierunkach przeciwnych, wytwarzają one w nim stan, w którym walka sprzecznych uczuć sprowadza w ostatecznym rezultacie przykrość tém większą, im większe było przeciwieństwo zewnętrznych wpływów.

Sprzeczność uczuć może powstać także drogą zmysłowego postrzegania, dającego nam poznać, że naszym usposobieniom i pragnieniom nie odpowiadają, albo zgoła sprzeciwiają się zewnętrzne okoliczności.

Uczucie więc walki, sprzeczności, jest stanem umysłu, w którym naraz odbywają się dwie lub więcéj przeciwne sobie czynności. Przykładem takiego stanu jest roztargnienie, powątpiewanie, walka skłonności z pobudkami moralnemi i t. d. Możnaby za taki stan uważać również uczucie, jakiego doznajemy, gdy się spotykamy z obojętnością osoby, dla któréj mamy szacunek i sympatyą.

Uczucie zgodności i harmonii powstaje wtedy, gdy współczesne wrażenia jednocząc się z sobą, pozwalają skupić uwagę na jeden przedmiot; gdy wśród wątpliwości, dotyczących pewnego zagadnienia, natrafiamy na jego rozwiązanie; gdy udaje nam się pogodzić nasze skłonności z pobudkami moralnemi; gdy w swych sympatyach dla osób doznajemy wzajemności.

2. Uczucia przykrości i przyjemności rozpadają się na dwa główne działy. Jedne z nich pochodzą bezpośrednio od pobudzeń nerwów zmysłowych. drugie zaś zależą od czynności umysłu. Pierwsze więc nazywamy uczuciami zmysłowemi, drugie—wzruszeniami i uczuciami idealnemi.

Każdy z tych działów może być podzielony na mniejsze grupy.

Uczucia organiczne różnią się od uczuć czysto zmysłowych tém, że są mniéj wyraźne, że pozbawione są miejscowéj barwy i że w nich przeważa uczucie przykrości. Czynności organiczne, prawidłowo dokonywające się, są prawie obojętne, gdy tymczasem każde zboczenie w nich pociąga za sobą dotkliwe przykrości. Inaczéj ma się rzecz z uczuciami zmysłowemi, w których przyjemność przeważa nad przykrością. Dodać tu wypada, że uczucia wyższych zmysłów, słuchu i wzroku, stanowią niejako pośrednie ogniwo między uczuciami zmysłowemi, a wzruszeniami.

Uczucia zmysłowe wogóle mają wielkie znaczenie w życiu. W wieku dziecinnym stanowią one całą treść życia uczuciowego; w dojrzałym wywierają silny wpływ na wszelkie czynności umysłu i służą za tło i podkład dla wszystkich wzruszeń. Suma uczuć organicznych, wymykających się spostrzeganiu wewnętrznemu, ale nie

mniéj czynnych i wywierających swój wpływ na ogólny stan organizmu, jest podstawą tego, co nazywamy *cenestezyą* — a co oznacza stan wewnętrznego zadowolenia lub zniechęcenia.

Co się tyczy wzruszeń, to klasyfikacya ich jest nader trudna. Jakoż żadna z dotychczasowych prób jéj nie czyni zadość wymaganiom naukowym. Nie podobna wynaleść jednéj jakiejś zasady, któraby obejmowała wszystkie objawy wzruszeń. Za taką zasadę nie można uważać różnicy, jaka zachodzi między przykrością, a przyjemnością, gdyż w niéj pomijają się liczne podobieństwa między współrzędnemi wzruszeniami przykremi i przyjemnemi. Również niepodobna za taką zasadę brać podziału wzruszeń podług stopnia, w jakim kojarzą się one z pierwiastkami rozumowemi—z postrzeżeniami, pojęciami i myślami, gdyż w takim razie potrzeba byłoby jedno i toż samo uczucie, np. piękna, zaliczać do kilku naraz klas. Podobneż trudności nastręczają się, gdy chcemy dzielić wzruszenia na podstawie ich złożoności. Najprzód, wątpić można, żeby wszystkie wzruszenia pochodziły od uczuć zmysłowych; takie bowiem wzruszenia, jak zdziwienie, rozczarowanie, zdają się zależeć od stosunku, jaki zachodzi między wrażeniem, a oddziaływaniem na nie umysłu, albo téż od stosunku, w jakim mają się do siebie współczesne lub następujące po sobie stany umysłu. W ogóle pamiętać trzeba, że każda czynność umysłowa, w jakiejkolwiek formie występuje, przyczynia się do wytworzenia uczucia przyjemności lub przykrości. Powtóre, prawie wszystkie główne wzruszenia są w podstawie swéj instynktowe, tj. są złożonemi skutkami doświadczenia przodków. Dla tego téż niepodobieństwem jest rozłożyć je na składowe pierwiastki i oznaczyć, w jakim stopniu każde z nich jest złożoném.

Ze wszystkich dotychczasowych klasyfikacyi, najpraktyczniejszą jest ta, która grupuje wzruszenia podług skali wstępnéj, stosownie do ich złożoności i wyobrażalności. Ponieważ wszystkie w ogóle wzruszenia kojarzą się mniéj lub więcéj ściśle z pierwiastkami rozumowemi, dla tego téż dzieli je ona na klasy, odpowiadające: wrażeniu zmysłowemu, postrzeganiu, wyobraźni i myśleniu. I tak: gniew, strach są wzruszeniami, które potrzebują przedmiotu obecnego zmysłowo, ażeby mogły objawić się w całéj sile; gdy tymczasem sympatya, uczucia idealne, jak miłość dobra, prawdy—odznaczają się najwyższym stopniem wyobrażalności, tj. mogą być wywołane przez przedmioty nieobecne zmysłowo, ale tylko wyobrażone, pomyślane.

Wzruszenia rozwijają się podług tych samych praw, jakie wykryliśmy w rozwoju władz rozumowych. Utrwalają się one i pogłębiają za pomocą wprawy, częstego powtarzania się—i rozwój ich polega na tém, że wzruszenia proste układają się w bardziéj złożone,

przyczém nabierają coraz to większéj wyobrażalności, tj. z większą łatwością dają się odtwarzać, wskrzeszać.

Zgodzono się już dziś powszechnie, że większa część naszych wzruszeń należy do instynktowych, czyli odziedziczonych po przodkach. Uważane bowiem, jako wynik indywidualnego doświadczenia, musiałyby one pozostać dla nas zagadką, do któréj wytłómaczenia nie posiadamy żadnych środków. Do takich wzruszeń musimy przedewszystkiém zaliczyć: strach, gniew i miłość. Wzruszenia te objawiają się w najwcześniejszéj dobie życia w ten sam sposób u wszystkich, jak skoro nadarzą się potrzebne po temu okoliczności. Znaczy to, że w dziecku jest instyktowa skłonność do odczuwania np. gniewu, gdy jest podrażnionem albo znudzoném. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że pierwiastek instynktowy odgrywa ważną rolę nawet w takich wzruszeniach, które są następstwem indywidualnego doświadczenia, jak np. w uczuciu moralném. Ta atoli skłonność instynktowa do pewnego rodzaju wzruszeń nie jest jednakową u ludzi. Te same okoliczności mogą wywoływać w różnych osobnikach wzruszenia o różnym stopniu natężenia. Suma tych instynktowych skłonności stanowi istotę tego, co nazywamy temperamentem uczuciowym. Opiera się on naturalnie na różnicach fizycznych, zachodzących w budowie nerwowego i mięśniowego układu, tudzież w organach odżywczych, jak również w sposobach ich działania. Że instynktowa skłonność do wzruszeń musi być odniesiona do doświadczenia przodków, jako do swego źródła, rzecz to sama przez się jasna. Dziecko nie tylko że posiada zaród licznych skłonności, lecz nadto skłonności te są w niém już skojarzone z pewnemi przedmiotami, bodźcami. Skojarzenia te są już wcielone za pomocą dziedziczności w budowę układu nerwowego, stanowią jego właściwości. Odziedziczaniem pewnych skłonności po przodkach daje się wytłómaczyć fakt, że rasy, plemiona i rodziny odznaczają się zwykle właściwemi sobie tylko uczuciami i namiętnościami.

Drugim czynnikiem rozwoju wzruszeń jest ćwiczenie, wprawa, czyli częste ich doświadczanie. Wprawa pociąga za sobą przystosowania się organów do bodźców i do wywoływanych przez nie uczuć. Co z razu było trudném i przykrém, to następnie, gdy organ się przystosował do natężenia bodźca i do wymaganéj przezeń sumy pracy—gdy słowem nabrał większéj siły, staje się łatwém i przyjemném.

Każde doświadczenie, przyjemne, czy przykre, pozostawia po sobie w umyśle ślady, które, dopełniając się wzajemnie i wzmacniając, wytwarzają w nim skłonność do ponownego objawienia się doznanych już uczuć, gdy się nadarzą odpowiednie temu warunki.

W ten sposób uczucia nasze stają się delikatniejszemi, tj. że do ich wywołania wystarcza słabszy, niż przedtém bodziec, następnie głębszemi, a w końcu dają się łatwiéj odtwarzać, wskrzeszać.

Odtwarzanie uczuć dokonywa się za pomocą kojarzenia przez zetknięcie. Uczucie przyjemności lub przykrości objawia się, gdy się powtarzają wrażenia, przedmiot lub okoliczności, które im pierwotnie towarzyszyły. Obecność życzliwéj nam osoby sprawia przyjemność przez to, że przypomina nam wszystko, cośmy dobrego od niéj doznali. Wskrzeszone uczucie zostaje w ścisłéj zależności od pewnych postrzeżeń, wyobrażeń i pojęć, z któremi początkowo skojarzyło się. Kojarzą się zaś one nie tylko z przedmiotami, które były bezpośrednią przyczyną ich powstania, ale oprócz tego i ze wszystkiemi współrzędnemi z tym przedmiotem rzeczami. Dziecko, doznawszy w jakiémś miejscu przykrości, czuje mimowolny wstręt do tego miejsca.

Nie wszystkie uczucia—przyjemne i przykre—mogą się odtwarzać w jednakim stopniu. Uczucia wyższych zmysłów odtwarzają się łatwiéj, niż uczucia zmysłów niższych; wzruszenia zaś przypominają się, wskrzeszają łatwiéj i żywiéj, niż uczucia zmysłów wyższych.

Wzruszenia w swéj formie rozwiniętéj są uczuciami złożonemi, składającemi się z uczuć prostych, które łączą się z sobą i zespalają w jednę grupę. To łączenie się uczuć prostych odbywa się za sprawą pamięci i przypomnienia. Gdy jakiś przedmiot wywoływał w umyśle w różnych czasach różne uczucia—przyjemne albo przykre, wspomnienia tych uczuć kojarzą się z przedmiotem i układają się w jednorodną masę uczuć, objawiającą się, jako upodobanie, albo wstręt do owego przedmiotu.

W ten téż sposób powstają w nas sympatye i antypatye do ludzi. Nie zawsze są one wypadkową jednorodnych uczuć. Jak w sympatyach mogą zawierać się wspomnienia przykre, tak podobnież w antypatyach mogą się odnaleść wrażenia przyjemne. Tak jedne atoli, jak i drugie, będąc w znacznéj mniejszości, giną w natłoku przeciwnych sobie wspomnień.

Uczucia, powtarzające się często, utrwalają się, stają stałemi i przechodzą w nawyknienia, namiętności.

Uczucia, jako nawyknienie, jeżeli z jednéj strony zyskuje na głębokości, to z drugiéj zato traci na świeżości i żywości. Brak atoli natężenia uczuć w zwykłych wypadkach, wynagradza się wielką ich głębokością w okolicznościach nadzwyczajnych. Ściśle rzeczy biorąc, wszelkie nawyknienie nie jest czém inném, jak potrzebą pewnych wzruszeń. Każda w ogóle czynność tak fizyczna, jak i umy-

słowa, pozostawiając po sobie usposobienie do téj saméj czynności, wytwarza współrzędną potrzebę.

Rozwój uczuć nie ogranicza się na samém tylko kojarzeniu się ich z przedmiotami, które je wywołały: polega on na jednoczesném urabianiu się zdolności do odczuwania tych samych wzruszeń z powodu innych mniéj lub więcéj podobnych przedmiotów. Dziecię, które pokochało jednę osobę, staje się już przez to samo zdolném pokochać inne osoby, a w dalszym ciągu kraj, dobro, prawdę itd.

Uczucia w miarę, jak rozwijają się, nabierają coraz większéj delikatności i wrażliwości tak, że zdolne są odczuwać najsubtelniejsze różnice między przedmiotami i wypadkami, które je wywołują. Przykładem tego są: uczucie piękna i uczucie moralne. Jednocześnie z tém stają się one jaśniejszemi, to znaczy, że uczucia kojarzą się nie tyle z samym przedmiotem, wziętym w całości, ile z pewnemi tylko stronami jego lub stosunkami do innych przedmiotów. Naturalnie, że jasność uczuć zostaje w ścisłéj zależności od rozumowego wykształcenia. Drogą abstrakcyi wykrywamy w przedmiotach te cechy, które najbardziéj odpowiadają rozbudzonym przez nie uczuciom i w ten sposób, opierając je na procesie sądzenia, czynimy nasze uczucia świadomemi siebie, rozumowemi. Do takich należą uczucia prawdy, sprawiedliwości, obowiązku itd.

Wszystkie w ogóle wzruszenia dadzą się sprowadzić do trzech grup: uczucia egoistyczne, które są najprostsze i najmniéj posiadają pierwiastku rozumowego; uczucia sympatyczne i uczucia idealne, które to ostatnie są najbardziéj złożone i łączą się z najwyższemi czynnościami rozumu. Do nich należą: uczucie piękna, miłość prawdy, uczucie moralne.

3. Uczucia egoistyczne zależą od osobistego doświadczenia osobnika i oznaczają jego stosunek na zewnątrz. W nich osobnik odnosi się zawsze do siebie, jako do ostatecznego celu wszystkich pragnień i usiłowań.

W wieku dziecinnym człowiek jest istotą przeważnie egoistyczną. Uczucia dziecka, zależne od jego doświadczenia i od wyobraźni, mają swe źródło głównie w tém, co mu jest zmysłowo obecném. Rzecz miniona, albo mająca dopiero nastąpić, nie ma dla niego wielkiéj wagi. Słabość pamięci i brak zdolności przewidywania ograniczają życie dziecka do chwili bieżącéj. Uczucia zmysłowe mają nad niem wyłączne panowanie. Stąd właśnie pochodzi, że wzruszenia dziecka są zazwyczaj gwałtowne i pochłaniają cały jego umysł, ale zarazem krótko trwają i prędko zapominają się.

Egoistyczny charakter wzruszeń dziecka objawia się szczególniéj w takich uczuciach, jak gniew, zazdrość, chęć panowania nad

innemi, współzawodnictwo i t. d. Z tém wszystkiém nie godzi się uważać dziecka za istotę wyłącznie egoistyczną. Doznaje ono także i uczuć sympatycznych, wynikających z towarzyskiéj jego natury—uczuć, które dostają mu się drogą spadku po przodkach i tkwią w jego sercu jako instynktowe skłonności. Pierwszym ich objawem jest przywiązanie dziecka do matki, do piastunki. Niezawodnie, że pierwsze te objawy są jeszcze znacznie przeniknione charakterem egoistycznym, wkraczają one już jednak w sferę uczuć altruistycznych. Należą one mianowicie do kategoryi uczuć, które Spencer nazywa ego-altruistycznemi, a do których trzeba także zaliczyć: miłość własną, ambicyą, pewność siebie, żądzę pochwał i t. d. We wszystkich tych uczuciach osobnik, o ile odnosi się do siebie, o tyleż i do innych, i ich uczucia dla niego i względy służą mu za miarę do ocenienia własnéj swéj wartości.

4. Przejście od niższych form uczuć do wyższych dokonywa się za pośrednictwem uczuć sympatycznych, od których rozwoju zależą objawy uczuć idealnych. Sympatya, czyli współczucie, jest uczuciem ściśle towarzyskiém. Łączy ono osobnika z jego towarzyskiém otoczeniem i w najwyższéj swéj postaci, odznaczając się bezinteresownością, staje się uczuciem altruistyczném, które czyni człowieka zdolnym najwyższych poświęceń.

Współczucie opiera się na usposobieniu wrodzoném, odziedziczoném, uzdolniającém człowieka do odczuwania wzruszeń osób, które go otaczają. W najprostszéj swéj formie objawia się ono jako bezwiedne naśladowanie uczuć innych. Że to usposobienie objawia się bardzo wcześnie, dowodzi tego radość, jakiéj doznaje dziecko na widok uśmiechającéj się do niego matki. Powoduje się ono tym razem instynktową znajomością wyrazu twarzy. Dziecko w miarę przybywającego doświadczenia pojmuje dokładniéj związek, jaki zachodzi między wyrazem twarzy, ruchami ciała, a odpowiadającemi im uczuciami i przejmuje się automatycznie, bezwiednie, uczuciami towarzystwa, w którém się znajduje.

W swéj formie doskonałéj sympatya jest czémś więcéj, niż naśladowczém i bezwiedném odtwarzaniem cudzych uczuć. Staje się ona wyraźném przedstawieniem w umyśle cudzych przyjemności i przykrości, oraz mniéj lub więcéj głębokiém przejęciem się niemi. Rzecz naturalna, że ażeby można było przedstawić sobie w umyśle to, co inni doświadczają, potrzeba posiadać już pewną znajomość ludzi.

Współczucie staje się wtedy dopiero zupełném, gdy będąc świadkami cudzego cierpienia, przejmujemy się tak dalece owém cierpieniem, że je uważamy jakby za swe własne i usiłujemy przynieść mu

ulgę. Na tym stopniu jest ono dobrocią, życzliwością, i przybierając charakter czynny, występuje jako pobudka bezinteresowna.

Współczucie jest wypadkową następujących czynności: obserwacyi, która umie spostrzegać wszystkie odcienia ruchu twarzy, zmiany głosu, wyrazu oczu i t. d.; tłómaczenia dostrzeżonych znaków, które to tłómaczenie dokonywa się za pomocą przypomnienia osobistych doświadczeń. Jeżeli cudze radości i cierpienia nie mają nic wspólnego z przeszłém naszém doświadczeniem, pozostaną one dla nas niezrozumiałemi—dla tego téż, nie mogąc niemi przejąć się, będziemy obojętnymi ich świadkami. W wyższéj formie współczucia bierze czynny udział wyobraźnia twórcza. Cudze cierpienia i radości rzadko kiedy przypominają nam w całości nasze własne. Zachodzą między niemi nieraz bardzo ważne różnice pod względem pewnych właściwości. Dla zrozumienia ich i odczucia potrzeba wyobrazić sobie odmienny zbieg okoliczności, niż w jakich samiśmy się znajdowali, oraz przypuścić w innych mniejszą lub większą, niż jaką sami posiadamy, wrażliwość. Zauważyć przytém należy, że współczucie dla cierpienia jest powszechniejszém i mniéj ma do walczenia z uczuciami egoistycznemi, niż przejmowanie się cudzą radością i szczęściem. To téż miał zupełną słuszność Jean Paul, gdy wyrzekł: „Zum Mitleiden genügt ein Mensch: zur Mitfreude gehört ein Engel.“

Współczucie bywa już to przyjemne, już to przykre. Podzielanie cudzych radości jest przyjemném, ale udział w cudzych cierpieniach wprawia umysł w stan przykry. Wprawdzie przykrość ta jest do pewnego stopnia złagodzona uczuciem tkliwości, leżącém na dnie każdego współczucia, niemniéj jednakże istnieje. Rzeczywistą przyjemność przynosi współczucie nie temu, który je objawia, ale temu, co je odbiera: potęguje ono bowiem przyjemność, a osłabia cierpienie, przynosząc mu pociechę.

Współczucie, ażeby mogło być trwałém, musi być obustronném. Trudno sympatyzować z kimś, kto się nam za to odpłaca obojętnością. Wzajemna sympatya może się objawiać tak między dwiema osobami w odniesieniu do ich osobistych smutków i radości, jako téż między członkami rodziny lub całego społeczeństwa. Polega ona głównie, przynajmniéj w najwyższéj swéj formie, na wymianie uczuć i przekonań naukowych, moralnych, politycznych i t. d. Jakoż wywiera ona potężny wpływ na stan opinii publicznéj.

Jakkolwiek sympatya jest nabytkiem względnie dość późnym, przecież z objawami jéj czysto instynktowemi spotykamy się już u dzieci, zaledwie kilka miesięcy życia mających. Zaród ten atoli ympatyi czysto instynktowéj musi się rozwijać i doskonalić drogą wprawy, osobistego doświadczenia. W swéj formie zupełnéj, świado-

méj, objawia się ona najprzód jako litość, współubolewanie, u dzieci niespełna dwuletnich; a dopiero późniéj, w miarę, jak ustępuje uczucie zawiści, które u dzieci silnie jest rozwiniętém, występuje jako żywy i szczery udział w cudzych radościach.

Naturalnie, że sympatya dziecka ogranicza się zrazu do osób najbliższych, lecz w późniejszym swym rozwoju może ona ogarniać nie tylko osoby dalsze, lecz znane, ale wogóle wszystkich, którzy cierpią, lub którzy swém życiem zasłużyli na cześć i uwielbienie.

5. Uczucie rozumowe rozwija się równolegle z nabywaniem wiedzy. Istotę jego stanowi przyjemność, jakiéj się doznaje z zaspokojenia ciekawości lub dokonania odkrycia naukowego, oraz miłość prawdy.

Jak już wiemy, wszelka czynność umysłowa jest przyjemna, jeżeli odpowiada sile zdolności i chwilowym warunkom mózgu. Dla tego téż rozumowa czynność wszelkiego rodzaju bywa przyjemną w pewnych tylko granicach. Czynność ta staje się znacznie przyjemniejszą, gdy przyłącza się do niéj urok nowości. Zajmowanie się przedmiotem zwykłym i znanym dostarcza małéj tylko przyjemności. Każdy nowy nabytek wiedzy obdarza nas przyjemnością, która jest tém większą, im zdobyta przez nas prawda bardziéj sprzeciwia się dotychczasowym naszym pojęciom. Doznajemy w tym razie uczucia zdziwienia, albo téż zdumienia (*wonder*).

Zdumienie jest stanem umysłu bardziéj złożonym, niż zdziwienie. To ostatnie jest chwilowym skutkiem czegoś niespodziewanego; gdy tymczasem zdumienie następuje po mniéj lub więcéj wyraźném porównaniu rzeczy z dotychczasowém doświadczeniem, po uznaniu jéj niezgodności z niemi lub sprzeczności.

Jakkolwiek zdumienie jest silnym bodźcem, skłaniającym umysł do pracy rozumowéj w celu rozjaśnienia tego, co jest nadzwyczajném; przecież łatwo stać się ono może narkotykiem, usypiającym umysł, jeżeli przybierze w nim charakter zamiłowania w cudowności.

Każdy rodzaj rozumowéj czynności posiada właściwą sobie przyjemność. Wykrywanie różnic dostarcza pewnéj przyjemności; nie może się ona atoli porównać z tą, jakiéj się doznaje, gdy między rzeczami, pojęciami znacznie od siebie różniącemi się uda się nam wykryć jakieś podobieństwo, tożsamość.

Podobnaż różnica zachodzi pod względem przyjemności w nabywaniu wiedzy i w wykonywaniu nowych prawd, w rozszerzaniu jéj zakresu. W tym ostatnim razie ważną rolę odgrywa uczucie tryumfu z pokonania trudności.

Samo nabycie wiedzy, jéj posiadanie, obdarza nas przyjemnością, która głównie stąd wypływa, że mając świadomość swéj władzy

w zakresie poznania, czujemy się zdolni do korzystania z jego skarbów, a w razie potrzeby—powiększania nawet ich zasobu.

Oprócz uczuć, towarzyszących nabywaniu poznania i posiadania go, doznajemy jeszcze wzruszeń z powodu zgodności lub przeciwieństwa twierdzeń z naszemi zapatrywaniami i doświadczeniem. Uczucie to możnaby nazwać logicznem. Twierdzenie, sprzeczne w sobie, lub przeciwne naszemu doświadczeniu, wywołuje w naszym umyśle pewien rodzaj walki, niepokoju; przeciwnie, twierdzenie zgodne w sobie i zostające w harmonii z naszemi przekonaniami, obdarza nas uczuciem zadowolenia. Cześć dla prawdy tém się właśnie odznacza, że mając w swéj podstawie głęboko rozwinięte uczucie logiczne, głównie ma na baczeniu wewnętrzną zgodność twierdzeń i ich dokładność, ścisłość. Uczucie logiczne ważną także odgrywa rolę w moralności, gdzie występuje jako prawdomówność.

Uczucie rozumowe rozwija się powoli pod wpływem zewnętrznych okoliczności, jakkolwiek zaród jego instynktowy leży w ciekawości dziecka, zwracającego uwagę na wszystko, co jest dla niego nowém i dręczącego matkę nieskończonemi pytaniami. Sama ta atoli ciekawość w pierwszéj dobie swego rozwoju nie jest ani głęboka, ani daleko sięgająca. Można ją zaspokoić byle jaką odpowiedzią i interesuje się tylko rzeczami najbliższemi. Zamiłowanie wiedzy rozwija się głównie pod wpływem otoczenia, w którém praca i nauka bywają cenione i wynagradzane pochwałą i życzliwością. W każdym razie zamiłowanie to ogranicza się w początkach do pewnego tylko zakresu badań, a dopiero znacznie późniéj objawia się, jako miłość prawdy, żądza wiedzy, ogarniającéj wszystkie działy poznania. Na tym stopniu ciekawość skierowuje się do wszystkich zagadnień życia i myślenia — a uczucie rozumowe rozwiniętém jest w całéj pełni.

6. Uczucie estetyczne stanowi ten rodzaj przyjemności, jakiéj doznajemy z powodu tego, co jest pięknem, harmonijném, udatném, tak w naturze, jako i w sztuce. Przeciwném mu uczuciem jest przykrość, jaką nam sprawia brzydota, dysharmonia i t. d.

Uczuć estetycznych doznajemy za pośrednictwem dwóch wyższych zmysłów: słuchu i wzroku. Źródłem ich są wogóle przedmioty zewnętrzne, mające pewne cechy lub własności. Takiemi są np. barwy, linie, ruchy, kształty i t. d. Charakterystyczną cechą uczuć estetycznych jest to, że są czyste, t. j. wolne od wszelkiéj przymieszki przykrości, nie zawierają w sobie żadnego stosunku pomiędzy podmiotem a przedmiotem, czyli że są bezinteresowne. Dla tego naraz wiele osób może używać rozkoszy estetycznych, jakie w nich budzi jeden i ten sam przedmiot.

W uczuciu estetycznèm dają się wykryć trzy czynniki: zmysłowy, do którego należą barwy, linie, dźwięki; postrzegawczy, przedstawiający ugrupowanie pierwiastków zmysłowych, i nareszcie kojarzący, czyli idealay, stanowiący to, co nazywamy jednością kompozycyi.

Do uczuć estetycznych zaliczamy także szczytność i komizm. Szczytność oznacza wogóle wszystko to, co jest nadzwyczajnèm, w szczególności zaś to, co się odznacza ogromem pod względem czasu i przestrzeni. W uczuciu szczytności zawiera się pewna doza uczucia grozy i strachu. Komiczne oznacza właściwie to, co jest mierne, zwyczajne i błahe w odniesieniu do rzeczy poważnych. Uczucia komicznego doznajemy właśnie z powodu przejścia nagłego i niespodziewanego od rzeczy poważnych do zwykłych, od groźnych do błahych. Jest to więc, ściśle rzeczy biorąc, uczucie kontrastu; objawia się ono na zewnątrz śmiechem, który jest zjawiskiem czysto fizyologicznèm.

Uczucie estetyczne, będąc wrodzone, odziedziczone po przodkach, objawia się instynktowo jako pociąg, upodobanie do pewnych rzeczy, które my nazywamy pięknemi. Świadomèm staje się ono dopiero późniéj, w miarę, jak czynności rozumowe wykształcą się i skojarzą z uczuciem.

Podstawą uczucia estetycznego świadomego stają się wtedy sądy estetyczne, które polegają na porównywaniu przedmiotów i na wykrywaniu przyczyn piękna.

Jakie są warunki piękna i co mamy uważać za bezwzględny jego wzór—trudno na to odpowiedzieć. Stare przysłowie powiada: *De gustibus non est disputandum.* Jakoż w upodobaniach liczne spostrzegamy różnice, tak między ludźmi pojedynczymi, jak i między narodami. Uczucie więc piękna jest rzeczą względną i gdybyśmy pragnęli wykryć taki wzór piękna, któryby był uznany przez wszystkie narody i jednostki, — musielibyśmy chyba szukać go drogą porównania i zestawiania ze sobą tego, co w różnych stronach świata uznaje się za piękne. W każdym razie, nie troszcząc się o taki ideał piękna, możemy się ograniczyć na określeniu tego, co nazywamy dobrym, zdrowym smakiem. Dobrym smakiem nazywamy to, co się zgadza ze zdrową naturą, przystosowaną do swego otoczenia. Ani małych nóg Chinek, ani zbyt ściniętych kibici naszych kobiet, nie można zaliczyć do objawów dobrego smaku, ponieważ zostają w sprzeczności z warunkami życia normalnego.

Uczucie estetyczne bywa biernèm, gdy się zadawalnia tylko kontemplacyą i rozważaniem rzeczy pięknych, — tudzież czynnèm,

które objawia się wytwarzaniem dzieł sztuki. Oba te rodzaje uczuć estetycznych napotykamy u dzieci już w najwcześniejszéj dobie ich życia.

Sztuki piękne powszechnie dziś sprowadzają do dwóch kategoryi, a mianowicie: wzrokowych i słuchowych. Do pierwszych należą: architektura, rzeźba i malarstwo; do drugich poezya i muzyka. Jest jeszcze inny podział: na sztuki naśladowcze, do których należą: rzeźba, malarstwo i poezya; na sztuki twórcze, do których zaliczają muzykę i architekturę.

Uczucia rozwijają się stopniowo, objawiając się naprzód jako uczucie piękna zmysłowego, czyli zamiłowanie do barw, linii, dźwięków; następnie jako uczucie piękna postrzegawczego, ogarniającego kształty, zestawienie kolorów, dźwięków, a następnie jako uczucie piękna idealnego, które szuka swego zadowolenia w jedności kompozycyi, oraz w myślach i wzruszeniach, jakie ta kompozycya nastręcza.

7. Uczucie moralne jest równoznaczne uczuciu powinności, przestrzeganiu zasad i przepisów moralności, miłości i cnoty i t. d. Uczucie moralne powstaje drogą obserwowania i zastanawiania się nad postępowaniem ludzkiém, objawia się zaś pochwałą czynów dobrych i naganą złych. Charakterystyczne cechy uczucia moralnego są następujące:

a) Jest ono uczuciem towarzyskiém czyli społecznéni, — naturalném bowiem źródłem jego są stosunki ludzkie i wymagania życia społecznego.

b) Odznacza się ono charakterem przymusu wewnętrznego. Zasady moralności spełniamy bez względu, czy przynoszą nam jaką korzyść lub szkodę. Spełniamy je dla nich samych, jako coś, od czego uchylić się nie możemy.

c) Charakter jego jest czysto praktyczny. Ostateczném jego zadaniem jest wogóle dobro, czyli pożytek, bądź indywidualny, bądź zbiorowy. Uczucie moralne objawia się w różnych formach. Innéni jest ono jako pochwała lub nagana czynów cudzych, — a innéni jako wewnętrzne zadowolenie lub niezadowolenie z własnego postępowania. Od tych zaś form różni się znowu uwielbienie i cześć dla poświęceń i bohaterskich czynów, tudzież oburzenie i zgroza na widok niegodziwości i nikczemności.

W czuciu moralném należy rozróżniać stronę instynktową od rozumowéj. Pierwsza polega na odczuwaniu tego, co jest złém lub dobrém; druga — na zdaniu sobie sprawy z tego, jakie są warunki dobrych czynów i jakie są ich cechy charakterystyczne. Strona rozumowa rozwija się drogą osobistego doświadczenia i wykształcenia.

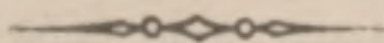
Objawy moralności u różnych narodów są różne i to, co u jednego uważa się za cnotę — to u innych często bywa poczytane za występek. Niemniéj jednakże trzeba przyznać, że są pewne zasady, które w każdém społeczeństwie, bez względu na stopień jego rozwoju, bywają powszechnie szanowane. Do takich należy: nie zabijaj, nie kradnij.... Zasady te są naturalném następstwem wymagań życia społecznego wogóle. Co się tyczy pochodzenia uczucia moralnego, rozmaicie rzecz tę pojmowano i pojmują dotąd. Powszechnie atoli zgadzają się dziś na to, że uczucie moralne nie jest prostém lecz złożoném i że w zarodzie dostaje się spadkiem po naszych przodkach, jako odziedziczone doświadczenie wieków.

Głównym czynnikiem uczucia moralnego jest egoizm. W interesie osobnika leży, żeby był dobrym, w ten bowiem sposób unika kary, a zapewnia sobie nagrodę. W dalszym ciągu występuje czynnik nowy, którym jest sympatya. Człowiek z natury jest istotą towarzyską; w postępowaniu więc swojém kieruje się nie samym tylko egoizmem, lecz i sympatyą dla bliźnich. Pod wpływem jéj człowiek stara się postępować dobrze, nie dla uniknienia kary lub zyskania nagrody—ale głównie dla tego, żeby się podobać osobom kochanym i zjednać dla siebie ich miłość.

Uczucie moralne rozwija się najprzód pod wpływem władzy i bądź to rodzicielskiéj, bądź społecznéj i prawodawczéj. Władza nakazując, co ma być robioném, a bardziéj jeszcze wzbraniając pewnych czynów,—uczy i utrwala pojęcie tego, co ma być uważane za złe, a co za dobre. Następnie pod wpływem życia koleżeńskiego i towarzyskiego. Współzawodnictwo i opinia publiczna mimowolnie zmuszają ludzi do zwracania uwagi na własne swe czyny i do oceniania ich podług pewnéj miary. W ten sposób wytwarza się sumienie, które, jak wszelka inna czynność umysłowa, rozwija się i utrwala, z jednéj strony przez wprawę czyli doświadczenie, z drugiéj—przez kształcenie rozumu.

Z uczuciem moralném łączy się ściśle uczucie religijne, które je uświęca. Podstawą uczucia religijnego jest przedewszystkiém strach i uwielbienie dla istoty niepojętéj, która rządzi światem i życiem ludzkiém, i od któréj czujemy się zależnymi.

Władysław Kozłowski.





SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

IV.

Obrona.

12-go stawili się wedle terminu obaj obrońcy przed zebranym w komplecie sądem (1).

Nim jednakże rozpoczęli rzecz swoję, wytknął instygator Zestelińskiemu, że nie ma prawa występowania w charakterze obrońcy. Zgłosił się był bowiem do Tańskiego niejaki Stanisław Wierusz Kowalski z doniesieniem, że adwokat ten z powodu zabójstwa dokonanego w Piotrkowie, w czasie sądów trybunału piotrkowskiego na Wieruszu Kowalskim, krewnym jego, dekretem tegoż trybunału został skazany na dwa lata i trzy miesiące wieży,—lecz wyrokowi temu zadość nie uczynił. Jest przeto infamisem, a taki stawać przed sądem nie może w obronie drugiego.

Zesteliński wyraził zdziwienie, że spotyka się z taką inwektywą z téj strony, która go sama powołała do zastępowania marszałka w jego procesie. Co do samego zarzutu twierdzi, że wedle konstytucyi z r. 1662 o zabójstwach przypadkowych, uważa się za zwolnionego od wszelkich kar kryminalnych.

Przecinając ten spór, postanawia król w porozumieuiu z senatem i delegatami poselskimi utrzymać Zestelińskiego przy obowiązku obrońcy w bieżącej sprawie, poczém ostatni niezwłocznie do rzeczy przystępuje (2). Sprzeciwia się on stanowczo całemu oskarżeniu. De-

(1) Relacye z tego posiedzenia mamy znowu w druku: „Processus iudiciarius" str. 49—5. Prócz tego niektórych szczegółów dostarczył Dyar. większy, k. 92—3.

(2) Proc. iud. str. 49—56.

lacyą uważa za bezpodstawną i niesłuszną, zarzuty za nieuzasadnione i krzywdzące, bo obciążające dobre imię niczem nie splamionego obywatela. I przechodzi pojedyncze punkta pozwu, zbijając każdy z nich z osobna.

Zarzucono głównie marszałkowi, że dążył do obalenia tronu i w tym celu starał się pozyskać dla siebie wojsko, popierał konfederacyą i usiłował wzmocnić ją nowemi siłami, skłaniając posłuszne i wierne chorągwie do odstępstwa od króla. Są to twierdzenia, z gruntu fałszywe. Całe życie Lubomirskiego świadczy jasno i dobitnie, że pracował on zawsze nie na zgubę, lecz około podniesienia i wzmocnienia królewskiego tronu; wystarczy wskazać na zasługi jego w czasie wojny szwedzkiéj i moskiewskiéj.—Powiedziano, że marszałek nie tylko nie ganił rokoszu wojska, lecz owszem, związek wspierał pieniądzem. Zarzut pierwszy nie ma żadnych znamion zbrodni; co do drugiego, sądzi, że nawet dopuścić go nie można, bo gdyby oskarżony rzeczywiście myślał pieniądzem dopomagać armii, nie starczyłby cały jego majątek, aby obdarować 50.000 ludzi. Przyznaje, że rozdał między wojskiem 15.000 złotych, ale nie w innéj myśli, jak aby rzeczpospolitę od plagi związku uwolnić. W ogóle cała działalność Lubomirskiego w ostatnich latach zwrócona była ku temu, aby w armii przywrócić spokój i porządek, aby wzburzone umysły przejednać i przywieść do posłuszeństwa królowi. Dowodzić tego mają listy wielu senatorów, w których starania marszałka w tym kierunku należyte znalazły uznanie, list z 7 września 1661, w którym mu sam monarcha dzieło uspokojenia armii powierza (*sic*!), nawet listy samegoż Świderskiego i pisma od wojska do delegatów we Lwowie pisane, które już w sądzie czytane były. Niepojętém się wydaje Zestelińskiemu, jak można posądzać o przyjazne z konfederacyą stosunki człowieka, który wojsku był nienawistny. Dość przypomnieć, że listy, wysłane przez Lubomirskiego do obozu przez Stanisława Jordana, nie zostały przyjęte, a i jego samego nie chciało dopuścić do siebie żołnierstwo, kiedy osobiście jechał do armii w poselstwie, i z upoważnieniem od króla. A w obec tego faktu, iż jawna nieprzyjaźń dzieliła marszałka od związku, tracą podstawę i przypuszczenia jakoby on to był głównym autorem owych zamieszek na sejmie r. 1662, jakoby za jego sprawą i popędem związkowi dopuścić się mieli teroryzmu na senatorach i izbie poselskiéj. A zresztą, jeśliby nawet prawdą było, że wojsko mimo to wszystko obrało Lubomirskiego swoim protektorem, to czyż jest w tém co zbrodniczego, skoro ta protekcya nie mogła się w czém innéin objawić, jak w staraniach o przebaczenie i amnestyą dla konfederacyi u króla i rzeczypospolitéj.

Co do owych listów przesyłanych rzekomo tajemnie dyrektorowi związku, to jest-to zarzut płonny i nieważny; instygator żadnego z tych listów w ręku nie miał i nie może twierdzić, żeby w nich było zawarte coś, coby zmierzało ku szkodzie i zaburzeniu królestwa. Nie może zaprzeczyć Zesteliński, że Lubomirski pismem odręcznem opublikował tajemnicę rady senatorskiéj. Ale przed kimże? Nie przed cudzoziemcami, ani wrogami rzpltéj lecz przed obywatelami nieskazitelnéj czci i sławy. Jednę kopię takowego przysłał nawet do pierwszego dygnitarza państwa, prymasa.

Ale już stanowczo uderzy w oczy cała bezzasadność oskarżenia, jeżeli się zważy, jakich użyto w niém świadectw. Pomija obrońca zupełnie list anonima, bo w żadnym sądzie nie mają żadnego znaczenia pisma bezimienne; jakąż jednak prawomocność mają wszystkie inne zeznania? Przytaczano w propozycyi listy ludzi rozmaitego stanu i zawołania. Lecz czyli można im dawać wiarę? Sprawa ze świadkiem Bartnickim, który się dawał przekupywać i z obu stron zyski ciągnął, dowodzi, że nie starczyło tu samo złożenie zeznania, lecz że trzeba było żądać na takowe przysięgi Obrońca konstatuje że żaden z listów i dokumentów, przytoczonych przez instygatora, nie został zaprzysiężony.

Równie krzywdzące i niesłuszne, jak poprzednie, są i dalsze zarzuty, poczynione marszałkowi. Jak mógł instygator kłaść na karb złéj woli i nieposłuszeństwa Lubomirskiemu okoliczność, że nie brał on udziału w ostatniéj wyprawie moskiewskiéj? List wojewody krak. hetmana w. kor., pisany do marszałka, dowodzi, iż stało się to za wiedzą i wyraźną wolą króla. Cała historya o intrygach Lubomirskiego między piechotą królewską nie została poparta żadném prawnie dozwoloném świadectwem. Zeznanie jakiegoś apostaty i plebejusza Chojeckiego, i to wymuszone torturami, nie może służyć za dowód przeciw marszałkowi. Szlachcic nie może być przez nikogo przekonany o zbrodnię, jak tylko przez dwóch świadków stanu szlacheckiego. Przeciw zeznaniu tego oszczercy krwi nieszlachetnéj wniósł nawet Żaboklicki, chorąży bydgoski, protestacyą, która została publikowana na jednym z sejmików partykularnych. A co do owéj wysyłki mnicha Żmijewskiego na Litwę, celem zbadania usposobienia szlachty i armii, do tego miał on najzupełniejsze prawo, jako pierwszy urzędnik rzeczypospolitéj. Nie miał daléj żadnéj podstawy instygator nagabywać marszałka o to, że nosi tytuł książęcy. Zasługi dały mu do tego prawo, a nikt mu tego prawa zaprzeczyć nie śmie, a tém mniéj zarzucać, że leży w tém jakiś zamiar wyniesienia się ponad równość szlachecką. Jeśli listy, które Lubomirski otrzymywał od książąt zagranicznych mają obciążać oskarżonego, to

niechże delator okaże, czy było w nich co zbrodniczego; nie znając ich, nie może się niemi posługiwać w dowodzeniu. Co do zeznania wreszcie starosty sochaczewskiego o owéj pomocy, przygotowywanéj dla cesarza przeciw Turkom, wiadomość o niéj powziął starosta z próżnéj pogłoski i to od drugiéj jeszcze osoby przejętéj. Na tak chwiejnéj podstawie nie godzi się opierać tak krzywdzącego zarzutu. Wiedziony przekonaniem o zupełnéj niewinności marszałka wnosi ostatecznie obrońca, aby ze względu na to, iż oskarżenie całe jest bezpodstawne, uwolniono Lubomirskiego z pod zarzutów mu poczynionych i przypuszczono do przysięgi oczyszczającéj w myśl konstytucyi „de viro bonae famae.“

Krótko, ale gwałtownie przemówił po Zestelińskim drugi obrońca, Andrzej Mniszech (1).

Zgadza się on na wszystkie argumenta swego poprzednika: sądzi, że wystarczą one zupełnie i że po nich nie wiele jest do powiedzenia. Gdzież bowiem słuszność, gdzie prawa, gdzie sprawiedliwość, jeżeli dobremu imieniu i życiu senatora zagrażać mogą zatratą i zgubą świadectwa osób, czci i wiary pozbawionych, niegodnych infamisów, jeżeli listy i pisma niesprawdzone, domysły i pogłoski mogą zgotować hańbę i potępienie niewinnemu obywatelowi! Bo jakież są świadectwa? Przyjęto je i zebrano zupełnie prywatnie, nie przestrzegając żadnych formalności prawnych, nie postarawszy się nawet o stwierdzenie zeznań za pomocą przysięgi. A jacyż świadkowie? Byli konfederaci, którzy ważyli się niedawno pomiatać majestatem królewskim i prawami rzeczypospolitéj, na których sumieniu ciąży tyle wykroczeń, mogąż teraz stawać przed sądem i zeznawać, jakby ludzie nieskazitelnéj cnoty, nienagannego życia? Czyli to wszystko, z czém tak długo wywodził się instygator, można uważać za dowody pewne, niezbite, wystarczające dla uzasadnienia tych wszystkich zarzutów? Jeśliby przedłożono jakie listy własnoręczne oskarżonego i jego podpisem opatrzone, jeśliby w tych listach znaleziono poszlaki zbrodni stanu itp., takie świadectwo uznałby każdy za dostateczne; wówczas sprawa marszałka mogłaby być całkiem słusznie i prawnie wytoczona przed tym sądem. Lecz tego wszystkiego niema. Same podejrzenia i insynuacye: i instygator nie waha się niemi nagabywać i zaczepiać obywatela, zamierzając się na jego honor i życie! Czyjaż niewinność będzie zabezpieczona od napaści, jeśli wystarczy zgromadzić cudze listy i bezpodstawne pogłoski, aby na nich oprzeć oskarżenie! Chociaż pozwany—konkluduje Mniszech, czysty w swojém sumieniu, mógłby bez skrupułu złożyć przysięgę, jak-to propo-

(1) Proc. iud. str. 56—7.

nował poprzedni obrońca,—on, Mniszech, oświadcza, że marszałek przez dostawionych świadków wiarogodnych płonności zarzutów dowiedzie i niewinność swoję okaże światu: prosi przeto w imieniu swego klienta, aby przyzwolono na wywód skrutynium, przekonany, że w tak doniosłéj sprawie sąd dobrodziejstwa tego oskarżonemu nie odmówi.

Ponieważ mowy znowu przewlokły się do szóstéj wieczór, przeto król, nie powołując do repliki instygatora, powstał i odłożył ciąg dalszy sesyi do dnia następnego (1).

V.

Replika Instygatora.

13-go o godzinie dziewiątéj przystąpił Tański z porządku do odpowiedzi adwokatom pozwanego marszałka (2).

Uważa on obronę za nazbyt pobieżną i słabą, aby potrzebował wysilać się na nowe argumenta. Obadwaj bowiem adwokaci nie odpowiedzieli na wiele zarzutów pierwszéj wagi, pominąwszy je głębokiém milczeniem. Wychodzili oni bowiem nie właściwie z téj zasady, że mają odpowiadać tylko na to, co zawarte w pozwie, nie na propozycyą. Propozycya była tylko rozwinięciem pozwu; należała jéj się tém samém również szczegółowa odpowiedź.

Obrońca Zesteliński powoływał się na zasługi Lubomirskiego w wyprawie szwedzkiéj. Nie wydają się one instygatorowi tak doniosłemi i świetnemi, aby miały zaćmiewać wszelkie przewinienia marszałka; zresztą wiadomo to z historyi, uczą przykłady takich ludzi, jak Manlius, Spurius Cassius i Wallenstein, że właśnie zbytek sławy i zasług powiódł ich do działań zbrodniczych i uczynił groźnymi ojczyźnie. Mówiono wiele w obronie o wierności i posłuszeństwie Lubomirskiego. Co o tych rzekomych przymiotach oskarżonego sądzić należy, dostatecznie pouczyć się można z owego paszkwilu, który niewątpliwie (zdaniem instygatora) wyszedł z pod pióra marszałka. „Nie może nikt, najgłupszy nawet"—wyraża się ten wierny obywatel, „zaprzeczyć w tém rozumu przodków naszych, że poddani, a nie monarchowie mieli zawsze broń w swych rękach." „Bo nie łatwém by było podporządkować królów Rzeczypospolitéj, gdyby ją królowie uciskali." W wyrażeniach tych widzi oskarżyciel widoczny zamiar uchybienia majestatowi królewskiemu. Marszałek nie do

(1) Dyar. wlęk. k. 93.
(2) Proc. lud. str. 58—71.

czego innego dążył przez takie pisma, jak do ubezwładnienia króla, do pozbawienia go obrony, do obalenia tronu. Nie ma też w oczach instygatora żadnéj wartości i podstawy całe owe tłómaczenie stosunków Lubomirskiego z armią przez dążność nie ku utrzymaniu, lecz rozwiązaniu związku. W jakim celu te 15.000 złotych posłał oskarżony do obozu, to każdemu wiadomo: nie aby przejednać żołnierzy dla króla, lecz dać im środki do dalszego utrzymania się w konfederacyi. Jeśli Lubomirski pracował rzeczywiście nad tém, aby jak najwięcéj chorągwi skłonić do odstępstwa od rokoszan, to niechże wykaże z nich choć jednę, która rzeczywiście za jego staraniem i zasługą wróciła do posłuszeństwa! Przedstawiał, co prawda, marszałek królowi, że z łatwością potrafiłby przymusić żołnierstwo do pokory, gdyby mu przydzielono do pomocy kilka oddziałów piechoty królewskiéj. Ale rada ta i propozycya kryła w sobie,—bije to w oczy—tylko wielki podstęp i intrygę, zmierzającą do obalenia tronu. Prosił bowiem Lubomirski o piechotę nie dlaczego innego, jak aby obrać króla ze wszelkich środków obrony i nowemi oddziałami wzmocnić konfederacyą. I pokazało się też wkrótce jawnie, jakie to dobre chęci miał ten „wierny“ senator. Kiedy posłano od dworu pośredników celem pozyskania Korfa, pułkownika wojska związkowego, wówczas Piestrzecki i Wojakowski, właśnie ślepe narzędzia marszałka, przez swoję interwencyą zniweczyli te układy i wymusili na Korfie przysięgę, że nie będzie więcéj próbował zdradzić związku odstępstwem. Podobnież, kiedy radzono w senacie, aby z pięciu miljonów dłużnych wypłacić żołnierzom dwa miliony natychmiast, pod warunkiem, że się związek rozejdzie, żądał Lubomirski dodatku zastrzeżenia, iż jeśliby w oznaczonym czasie wypłata reszty nie nastąpiła, wojsko może się skonfederować ponownie. O cóż mu chodziło w tém zastrzeżeniu, jak nie o to, ażeby sobie zarezerwować sposobność do nowych zawichrzeń, gdyby w istocie rzeczpospolita nie była w stanie zadośćuczynić zobowiązaniom? Kiedy za sprawą Lubomirskiego obiegały wieści po Koronie i Litwie o bliskim przyjeździe d'Enghien'a z armią francuską i szwedzką, zapytano marszałka na zjeździe lwowskim, skąd ma o tém wiadomości. Odpowiedział, że może tylko prywatnie rzecz tę wyjaśnić. I wyjaśnił prywatnie tyle, że otrzymał w tym przedmiocie listy bezimienne i że mu takowe przysłał pod sekretem Bogusław Radziwiłł. Tymczasem Radziwiłł, zapytany przez kasztelana wileńskiego, czy rzeczywiście poczuwa się do tych doniesień, stanowczo temu zaprzeczył. Były to więc insynuacye, umyślnie ukartowane przez marszałka na szkodę tronu.

W dalszym toku przemowy staje instygator w obronie prawomocności listów, użytych w dowodzeniu. Zeznania pisemne są stą-

tutem dozwolone. Obrońcy pomiatają niemi, a nie umieli żadnemu z nich dowieść nieautentyczności. A zresztą—sądzi oskarżyciel, nawet gdyby wszystkie pisma, przezeń przytoczone, pominięte zostały, to wystarczyłyby zupełnie zeznania ustne, poczynione przez świadków w obec sądu, aby potępić Lubomirskiego. Bo już sam ten czyn, którego nie mógł się wyprzéć oskarżony, gdyż popełnił go z wiedzą całéj rzpltéj, a to opuszczenie króla w czasie wyprawy moskiewskiéj, kiedy obowiązkiem jego, jako hetmana, było przodować, a nie wykręcać się i cofać, dostatecznie obciąża Lubomirskiego, zwłaszcza, że jego kunktatorstwo sprawiło, iż znaczna część armii porzuciła obóz królewski w ostatniéj chwili.

Obrońcy żądają usunięcia z rzędu dowodów zeznania Chojeckiego, jakotéż pism anonimowych. Otóż i jedno i drugie żądanie jest nieuzasadnione. Zeznania Chojeckiego nie można unieważnić, gdyż twierdził on przy inkwizycyi, że jest szlachcicem. A choćby był plebejuszem, to statut z r. 1588 dopuszcza nawet świadków ze stanu nieszlacheckiego w sprawach o zbrodnię obrazy majestatu.— Co do owego paszkwilu anonimowego, to — zdaniem instygatora — już sam sposób pisania, styl i forma, nie mówiąc o treści, wskazują, że nikt inny, tylko marszałek był jego autorem.

Obrońcy nie mogą zrozumiéć, na jakiéj podstawie poczyniono Lubomirskiemu zarzuty z tego, iż wywiadywał się o usposobieniu Litwy i wojska za pośrednictwem swoich ludzi. Miał on niby do tego prawo, jako urzędnik rzpltéj.—Jeśli chciał pozwany badać czyjeś usposobienie, to niechby użył swych sił i środków po temu w wyprawie moskiewskiéj przeciw nieprzyjaciołom na korzyść królewskiéj armii: ale w czasie wojny rozpuszczać szpiegów po własnéj ojczyźnie, pod pozorem zasięgania informacyi urzędowych zamiary dworu zdradzać, podsycać podejrzenia, to znaczy tyle, co zmierzać do wywołania wojny domowéj!

Bezpodstawném podobało się nazwać obrońcom także zeznanie starosty sochaczewskiego o stosunkach Lubomirskiego z cesarzem, o wymianie wojsk, o wzajemnéj pomocy w potrzebie. A czyż i ten fakt wyda im się argumentem, niczego nie dowodzącym, że Lubomirski wysyłał sekretarza swego, Włocha, do cesarza z doniesieniem, że król przyzwolił hordzie dwudziestu tysięcy Tatarów na wolny pochód przez rzpltę na Szląsk i Morawy? Temu faktowi nie zaprzeczą, bo go sam poseł cesarski stwierdził wnet potém, domagając się zarządzenia środków przeciw temu niebezpieczeństwu.

Po tym rozbiorze szczegółowym argumentów strony przeciwnéj, zbiera instygator raz jeszcze wszystkie zarzuty, przypomina ważniejsze świadectwa i dowody, upierając się przy ich prawomocności.

Zgadza się mimo to na żądanie obrońców, aby zarządzone zostało śledztwo, ale z warunkiem: o tyle tylko, o ile wobec przedłożonych już dokumentów i samegoż oskarżenia uzna takowe komisya w tym celu wydelegowana za stosowne i potrzebne. Ponieważ zaś wobec takiego doboru dowodów, jakim w propozycyi się posłużono, wydaje mu się zupełnie zbędném dalsze śledztwo,—przeto uważa za wystarczające i żąda, aby tylko te świadectwa pisemne i ustne, które już przedłożył, zostały zatwierdzone przysięgami. — Przypomina, że w pozwie termin stawiennictwa przed sądem dla oskarżonego wyznaczony był na dzień szósty po otwarciu sejmu, t. j. na drugi grudnia; a ponieważ do wywodu skrutynium zwyczaj prawny przepisuje przeciąg czasu dwutygodniowy od dnia wywołania sprawy, przeto wnosi, aby wychodząc z owéj daty 2-go grudnia, podanéj w pozwie i wliczając do niéj piętnaście dni przypisanych, wyznaczono termin ostateczny dla wywodu skrutynium na dzień 17 grudnia.

Po ponownéj odpowiedzi Zestelińskiego i głuchego Mniszcha, „który głosem wielkim wrzeszczał, jako świtaster, rozumiejąc, że go nie słyszą“ (1), nastąpiła dłuższa narada komisyi sądowéj. Żądanie obrońców zostało uwzględnione, ale w takiéj formie, jak je zmodyfikował instygator. Przyzwolono na wywód skrutynium, ale w terminie ograniczonym do dnia 17-go grudnia, zastrzeżono przytém stronie skarżącéj prawo przeprowadzenia również skrutynium ze swojéj strony. Do wysłuchania wywodów i przysiąg świadków mianowana została komisya, złożona z dziewięciu członków sądu: pięciu senatorów i trzech delegatów poselkich. Rzecz ma się odbyć w kancelaryi sądu ziemskiego warszawskiego (2).

VI.

Wywód skrutynium.

Instygatorowi tak spieszno było z zakończeniem sprawy Lubomirskiego, że już zrana 17 grudnia, jako w dniu oznaczonym poprzednią uchwałą sądu do wywodu skrutynium, wystąpił z żądaniem (poleciwszy poprzednio woźnemu wywołać obie strony), aby pozwanego marszałka odsądzono od dobrodziejstwa mu przyznanego, ponieważ dotychczas skorzystać z niego nie uznał za stosowne. I zamierzał już wnieść na nieobecnego kondemnatę, kiedy przed sądem zjawił się niejaki Władysław Łuszczewski i oświadczył, że jeśli zo-

(1) Dyar. wlęk. k. 93. — (2) Proc. lud, str. 72—3.

stanie wydana, areszt na nią położy. Instygator odpowiedział mu, że kondemnaty tego rodzaju aresztować nie można. Łuszczewski obstawał jednak przy swojém, utrzymując, że Lubomirski świadków swoich przed nadejściem nocy dostawi: a termin przecież dopiero z zachodem słońca upływa!

W obec tego oświadczenia odstąpił instygator od kondemnowania; zwłaszcza, że sąd sam przyznał, iż oskarżonemu istotnie przysłuża prawo korzystania z zastrzeżonego mu dobrodziejstwa aż do zachodu słońca. Skoro jednakże marszałek skrutynium swego po ten czas nie wywiedzie, zostanie od rzeczonéj łaski na przyszłość bezwzględnie odsądzony. Zastrzeżono zarazem ponownie prawo takiegoż wywodu stronie skarżącéj, również w tymże samym terminie, z tym dodatkiem, że jeżeliby świadkowie stron obu dnia jednego (t. j. 17-go) wysłuchani być nie mogli, w takim razie dla wybadania reszty czas przedłużony zostanie do dnia następnego (1).

Wieczorem więc (tegoż samego dnia) zebrała się komisya rzeczona w kancelaryi sądu ziemskiego (2).

Jeszcze przed oficyalném rozpoczęciem obrad zjawił się w sali zebrania Jan Paprocki, podczaszy przemyski, i prywatnie, imieniem marszałka, podał do wiadomości, iż dla krótkości czasu i zbyt wielkiego oddalenia ani sam pozwany, ani jego świadkowie stawić się nie będą mogli. Delegaci przenieśli się następnie do osobnéj sali i zarządzili tajne posiedzenie. Woźnemu wedle zwyczaju kazano wywołać strony. Na wezwanie to stawiła się jedynie strona skarżąca; ze strony pozwanego nikt się nie pojawił.

Hieronim Dunin, delator koronny, dopuszczony został do przysięgi na propozycyą, którą złożył wedle odczytanéj mu roty. Przystąpiono następnie do przesłuchania i wybadania świadków, dostawionych przez oskarżyciela, a mianowicie Krzysztofa Żegockiego, podkomorzego halickiego, Marcina Oborskiego, starosty sochaczewskiego, Macieja Danowskiego, cześnika wizneńskiego, Franciszka Wysockiego, podczaszego, Kaspra Kozyrskiego, łowczego sochaczewskich, Jerzego Bałabana, rotmistrza chorągwi konnéj królewskiéj, Samuela Świderskiego, byłego marszałka konfederacyi, Krzysztofa Oszczepalskiego, kierownika kancelaryi związkowéj, Stanisława Jordana, Stanisława Bartnickiego, posła ziemi zakroczymskiéj, Hieronima Ołtarzewskiego i Kazimierza Cychrowskiego, towarzyszów wojskowych. Wszyscy wymienieni zeznania swoje pisemne i ustne jeszcze raz powtórzyli, a następnie uroczystą przysięgą zatwierdzili.

---

(1) Proc. lud. str. 78—9. — Dyar. więk. k. 94.

(2) Sprawozdanie urzęd. z posiedzenia téj komisyi w „Proc. lud.“ str. 80—1.

Dokumenta tego wywodu złożone zostały do aktów sądu ziemskiego warszawskiego. Po przesłuchaniu świadków ze strony instygatora polecono jeszcze trzy razy i nad zwyczaj prawny po raz czwarty zawezwać oskarżonego do tejże saméj sprawy.

W témże samém miejscu oczekiwała komisya jeszcze i dnia następnego skrutynium marszałkowego: nie stawił się jednak nikt ani w jednym, ani w drugim terminie. Do wydania kontumacyi w kancelaryi ziemskiéj nie dopuścił wice-instygator koronny: z dalszém więc postępowaniem odniosła się komisya do sądu sejmowego.

Zachowanie się bierne Lubomirskiego cieszyło, ale i zastanawiało wielce stronników francuskich. Czemu nie skorzystał z dobrodziejstwa o które prosił przez obrońców? Co się z nim dzieje? Jakie są jego zamiary? Zapytywano z niepokojem w pałacu.

Na pierwsze pytanie odpowiedź była łatwa: marszałek potrzebował zwłoki, czasu do namysłu, a o obronie swojéj nawet nie myślał. Co do drugiego, niepewność usunęły świeże wiadomości: Lubomirski opuścił właśnie 17-go późną nocą zamek janowiecki w otoczeniu 700—800 ludzi i cofnął się w krakowskie, podążywszy w kierunku drugiéj rezydencyi swojéj, ku Łańcutowi (1). Ale trzeciego pytania nikt nie umiał rozwiązać; nikt nie wiedział na pewno, z jakiemi się nosi planami i zamiarami skryty, podstępny magnat...

Rozmaicie rozprawiano o tém na dworze. Jedni przypuszczali, że marszałek uda się na Ukrainę, aby armię do jawnego rokoszu podburzyć,—drudzy, że zostanie w Krakowie, obwaruje się na zamku i tam będzie czekać pomocy cesarskiéj, inni wreszcie, że niewinności swéj myśli dochodzić w trybunale kor. i wniesie doń zażalenie nieważności przeciw wyrokowi sądu sejmowego (2). Lecz były to wszystko naturalnie domysły. Pewna zagadkowość i tajemniczość, jaka otaczała marszałka od chwili, kiedy zerwawszy ze wszystkimi nieledwie senatorami, mało komu udzielal się i zwierzał, sprawiła, że królowa coraz bardziéj poddawała się obawom i zwątpieniu w szczęśliwe zakończenie całéj sprawy. Trapiło ją dziwne jakieś przeczucie nieszczęścia. Im więcéj zbliżał się kres jéj całorocznych zabiegów, tém usilniéj pragnęla jakby oddalić od siebie stanowczą chwilę, a nawet do niéj nie dopuścić, jeżeliby można....

19 grudnia omawiano sprawę Lubomirskiego raz jeszcze w ściślejszém kółku, złożoném z króla, królowéj i de Lumbres'a. Marya Ludwika nalegała koniecznie za złagodzenie wyroku: utrzymywała,

(1) T. Luk. XII. k. 192. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 18 Décem. 1664.— Dyar. Gol. str. 1594.—Kochow. Ann. Cl. III, 158. — Gaz. de France: Wars. 22 Dec. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 192. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 18 Décem. 1664.

że wystarczy odjąć marszałkowi hetmaństwo i starostwo krakowskie, nie skazując go na infamią i utratę życia. Wyrok nazbyt surowy może stronników Lubomirskiego tak rozjątrzyć, że się postarają o zerwanie sejmu, aby tym sposobem nie dopuścić do zaspokojenia armii. W takim razie wypadłoby zwołać drugi sejm jak najprędzéj; a nim do niego przyjdzie, trzeba będzie znowu takie same poczynić wydatki, jak na obecny. Na to już nie starczą jéj fundusze. Zresztą i ten drugi sejm mogą także zerwać ciż sami malkontenci..... A cóż dopiero, jeśli upadek marszałka wywoła współczucie u szlachty, jeśli cesarz i elektor przyślą sprzymierzeńcowi wojska na pomoc, aby rozniecił w rzpltéj wojnę domową? Straciła ona otuchę w dobre powodzenie sprawy wobec faktu, że i najbliźsi jéj stronnicy zamiast się trzymać razem, coraz nowe wynajdują okazye do niezgody między sobą i zwady.... (1).

Kością niezgody między panami były spodziewane wakanse po Lubomirskim. Czarniecki ubiega się o hetmaństwo polne koronne, Branicki o marszałkostwo wielkie, Sobieski o jedno i drugie. Ambitny chorąży szczególniéj niemałe podnosi pretensye. Królowa się wahała: ani Czarniecki, ani Sobieski nie wydawał się jéj stosownym na hetmana; co do marszałkostwa též trudno jéj było się zdecydować, mając do wyboru dwóch tak zasłużonych i przywiązanych do tronu przyjaciół. Musiały zajść między współzawodnikami niemiłe zatargi. Szczególniéj Sobieskiemu się nie wiodło. Były chwile, że czuł się tak rozżalonym, iż chciał wszystko porzucić.... „Przyjdzie mi jak najprędzéj opuścić sejm — pisze do ukochanéj Marysieńki, natenczas jeszcze wojewodziny sandomirskiéj (2) — a tam się udać, gdzie już oczy poniosą, bo już ledwie w głowę nie zajdę od ustawicznych kłótni, i które już do tych przyszły terminów, że mnie podobno wiecznéj nabawią niełaski....“ — Branicki, zdaje się, główną był przyczyną tego rozdwojenia. Nie szczędził on rozmaitych intryg i zabiegów, aby postawić na swojém (3).

Nie dziwota, że w tym powszechnym rozstroju upadła królowa na duchu. Ale Kazimierz okazał większą daleko stałość charakteru. Skoro sprawa Lubomirskiego raz wytoczona została i doszła już do takiego stadyum, w jakiém się znajduje, już jéj cofać nie można. Nie ma ani mowy o jakiémś połowicznem zakończeniu tego procesu.

---

(1) T. Luk. XII, k. 194: De Lumbres à M. de Lionne. Varsovie. 19 Décem. 1664. Tamże, XII, k. 142 — 3: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 18 Décem. 1664.

(2) Kluczycki, Pisma do w. i spr. J. Sob. (T. I, Cz. I, str. 236—7, Nr. 61): List do Maryi Kazimiry Zamojskiéj. D. 27 grudnia 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 194. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 19 Décem. 1664.

Jedynie zguba marszałka zupełna może umocnić powagę korony i spokój państwu przywrócić. De Lumbres utrzymywał przytém, że użycie przemocy ze strony partyi przeciwnéj byłoby nawet z jednéj strony korzystne: bo uprawniłoby i partyą dworską do środków gwałtownych, do przyprowadzenia przemocą sprawy elekcyi do skutku (1).

I stało się po woli króla. 19-go odbyła się tajna narada znamienitszych senatorów w pokoju marmurowym, na któréj uchwalono, że 22-go sąd przystąpi do ostatecznego rozstrzygnięcia procesu (2).

VII.

Decyzya sądu w sprawie Lubomirskiego.

We wtorek, 22 grudnia, o godzinie 11 przed południem (3) zebrał się sąd sejmowy z stanowczym zamiarem zakończenia procesu marszałkowego. Senat powiedział sobie: dziś koniecznie, choćby i noc przesiedzieć! Postanowiono nie rozchodzić się, póki rzecz nie zostanie załatwiona (4).

Pierwszy głos zabrał instygator i zdał sprawę z czynności komisyi do skrutynium (5). Powiadomił zgromadzonych, że strona pozwana do wywodu się nie stawiła, mimo, że nawet kilka dni po terminie do 22-go oczekiwano na oskarżonego i jego świadków. Natomiast nie omieszkał delator, opierając się na odnośném zastrzeżeniu sądu, poprzeć zarzutów, poczynionych w pozwie i w propozycyi przez wiarogodnych świadków, którzy zeznania swoje powtórzyli i zaprzysięgli. Wobec tego, że pozwany z dobrodziejstwa mu przyznanego nie skorzystał, wnosi instygator, aby na przyszłość odsądzono go od téj łaski i dopuszczono do odczytania skrutynium, wywiedzionego przez delatora (6).

Potém przemówił obrońca Zesteliński (7). Usiłował on usprawiedliwić Lubomirskiego, utrzymując, iż niepodobna było klientowi jego, oddalonemu na kilkadziesiąt mil od Warszawy w tak krótkim terminie zebrać i dostawić świadków, że nawet wiadomość o odnośném rozporządzeniu dojść go nie mogła w tym czasie. Ponieważ w sprawach tak ważnych nigdy zwłoka nie jest za długą, zwłaszcza, kiedy sądowi przewodniczy sam król, którego łaska nie ma żadnych granic i terminów, przeto uprasza, aby przyzwolono na ponowne

---

(1) T. Luk. k. 195. De L. à de L. etc. u. s. — (2) Dyar. więk. k. 95. — (3) Dyar. więk. k. 98. — (4) Gaz. de France: de Warsovie, 29 Décembre 1664. — (5) Proc. iud. str. 83—4. — (6) Proc. iud. ibid. — (7) Proc. iud. str. 84.

skrutynium i wyznaczono czas wystarczający do przeprowadzenia takowego. — Wniosek ten popiera i drugi obrońca, Andrzéj Mniszech (1), kładąc również nacisk na ważność sprawy. Powołuje się na zwyczaj prawny, jako w procesach takich nigdy mniéj, niż dwa tygodnie nie przeznaczano oskarżonemu dla przygotowania wywodu obrony. Tém więcéj skłonnym do ustępstw powinien być sąd w téj sprawie, gdzie przecież idzie o honor i życie pozwanego.

Instygator w odpowiedzi dał (2) przedewszystkiém wyraz zdziwieniu, że obrońcy nie użyli argumentów, z któremi występują obecnie wtedy, kiedy był czas na to właściwy, to jest kiedy wniosek zarządzenia skrytynium postawili. Czemuż wówczas nie sprzeciwili się ograniczeniu terminu, czemu czas wyznaczony nie wydawał się im za krótki? Teraz dopiero, po niewczasie, usiłują oni wyprosić nowe ustępstwa wbrew konstytucyi, która mówi, iż „tego rodzaju sprawa bezwarunkowo przewlekaną być nie może przez instygatora, tak, aby podczas jednego i tego samego sejmu załatwiona została.“ Zresztą—sądzi on—gdyby Lubomirski miał zamiar przeprowadzić dowód swéj niewinności, postarałby się o środki potrzebne, o świadków wiarogodnych, nie czekając zawezwania i terminu i byłby ich miał w pogotowiu nawet przed rozpoczęciem sądów. Na świadkach by mu nie zbrakło i teraz w ostatniéj chwili, gdyby sprawa jego była czysta. Marszałek miał z tyloma ludźmi stosunki, z senatorami, szlachtą, wojskiem całém: wszyscy ci jego znajomi są teraz obecni w Warszawie. Czemuż ich nie użył na swoję obronę? Nie inny cel ma to wszystko, zdaniem instygatora, jak aby rzecz całą obejść, przewlec postępowanie sądowe, a nawet, jeśli się uda, sprawę zupełnie z pod obrad usunąć. Idzie Lubomirskiemu o zerwanie sejmu, o podejście sprawiedliwości! Przytacza oskarżyciel kilka ustępów z tajnéj instrukcyi jego na sejmiki na dowód, że takie względy kierowały istotnie pozwanym. A więc przez wzgląd na całość sejmu nie godzi się dłużéj przewlekać téj sprawy! Instygator wnosi ponownie, aby dopuszczono delatora do publikacyi skrutynium, a następnie niezwłocznie przystąpiono do powzięcia ostatecznéj uchwały takiéj, jakiéj prawo i sprawiedliwość wymagać będzie.

Obrońcy przemówili raz jeszcze, upierając się przy swojém. Zesteliński usiłował osłabić ważność skrutynium, podnosząc znowu ową historyą z Bartnickim, któremu wiary nikt nie da, skoro obu stronom naraz przysługiwał się wręcz przeciwnemi zeznaniami. — Odczytano potém na jego żądanie pisma dwóch świadków: Łosia, stolnika płockiego i drugiego Aleksandra Łosia, którzy odwoływali to, co mówili

(1) Proc. lud. ib. u. s. — (2) Proc. lud. str. 85—7.

przed Oborskim, starostą sochaczewskim. Dopuszczono wreszcie do głosu i Bartnickiego, który „się usprawiedliwiał, że jeżeli traktował ze stroną przeciwną, to za wiedzą króla“ (1).

Na tém zamknięto dyskusyą. Rozpoczęło się teraz czytanie skrutynium przeciw marszałkowi (było tego około ośmnaście arkuszy) (2); a kiedy je skończono, król kazał rozdać wota senatorom. Głosujących było pięćdziesięciu trzech (3): każdy z nich osobno przemawiał. Szczególniéj „bardzo godnie i uczenie mówili księża biskupi: kanclerz, chełmiński i warmiński, dziejami obcymi, ojczystymi swojéj wspierając mowy.“ Ten ostatni „począwszy ledwo nie *a Boleslao Chrobry*, wyliczał wszystkich, którzy byli twórcami rozruchów, niewdzięcznością płacili panom swoim....“ „Siłaby pisać, jako była ta mowa wyborna, lubo godziny blisko trwała. Wszystkie do téj sprawy należące szczegóły ważne dość wywiódł obszernie; nareszcie zakończył: *convincatur*“ (4). Zdanie uczonego biskupa poparło trzydziestu czterech innych senatorów, tak, że razem z wnioskodawcą trzydziestu pięciu na pięćdziesięciu trzech głosujących było za tém, aby pozwany przekonany został o zbrodnie, zawarte w oskarżeniu (5).

Pojawiły się jeszcze dwa inne zdania. Jednego z nich bronił najgorliwiéj biskup krakowski, a to, aby dozwolono Lubomirskiemu oczyścić się od zarzutów przez przysięgę. Za Trzebickim stało jeszcze dwóch biskupów i sześciu senatorów (6).

Biskup kujawski również z dwoma biskupami i sześciu senatorami popierał trzecie zdanie: aby marszałka pozbawić tylko urzędów i dóbr koronnych, a zostawić go przy życiu, czci i dobrach dziedzicznych (7).

Noc już zapadła, kiedy zakończyły się wota. Stanowcza większość trzydziestu pięciu przeciw ośmnastu przemawiała za zupełném potępieniem marszałka. Na téj podstawie zapadła uchwała (8), iż strona skarżąca, a mianowicie delator uprawniony jest do przekonania pozwanego o winę za dostawieniem sześciu wiarogodnych świadków, którzy wraz z nim samym delacyą wedle przypisanéj roty w przeciągu tygodnia obowiązani będą zaprzysiąc. Termin do ogłoszenia wyroku wyznaczono na dzień drugi po uroczystości świętych Młodzianków. Zastrzeżono wreszcie, że jakkolwiek wyrok wypad-

(1) Dyar. więk. k. 96. — (2) Dyar więk. u. s.

(3) Gaz. de France: de Warsovie, le 5 Janvier 1665.

(4) Dyar. więk k. 96.

(5) T. Luk. XII, k. 197. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 25 Décemb. 1664.— Gaz. de France: De Warsovie, 29 Décem. 1664. — Ibid. de Warsovie, 5 Janvier 1665.

(6) i (7) T. Luk. i Gaz. de France, ibid. u. s.

(8) Proc. iud. str. 87—9.

nie, sprawa niniejsza nie ujmie w niczém dobréj czci, sławy i powagi znamienitemu domowi Lubomirskich, zasłużonemu około ojczyzny, lecz jedynie saméj osoby pozwanego dotyczéć będzie. — W dwa dni potém ogłoszono tę uchwałę publicznie (1).

Nadspodziewanie pomyślny rezultat głosowania niemałe wywołał zadowolenie u dworu. Marya Ludwika nie posiadała się z radości (2). Ksiądz kanclerz tryumfował. „Czegoż się mamy obawiać?— miał się on wówczas wyrazić (3) — nawet sam szatan nie zdoła już przeszkodzić, kogo nam się spodoba wybrać na króla!“ Ale w duszy królowéj radość ta wnet przyćmiona została ciągle wznawiającemi się obawami. Do czego téż nie porwie się marszałek na wieść o takim wyniku sądu? Do czego nie popchnie go gniew, zawiść i żądza zemsty niepohamowana? Ciągle trzeba się było liczyć z niepewną przyszłością. Dlatego i w téj chwili, kiedy jeden jeszcze tylko akt formalny, przysięga delatora, dzieliła sprawę całą od epilogu, kiedy mienie, cześć i życie marszałka leżało nie ledwie w rękach stronnictwa dworskiego, Marya Ludwika nie przestaje się wahać, nie przestaje szukać jakiéjś innéj drogi wyjścia, byle tylko uniknąć ryzykownego kroku, byle wyrokiem surowym, bezwzględnym nie zerwać wszystkich mostów za sobą, nie pozbawić się nadziei, że przecież kiedyś ten wróg nieprzebłagany stanie się jéj stronnikiem i sprzymierzeńcem. Więc ciągle jeszcze odświeża dawne projekta: na prośbę krewnych Lubomirskiego nakłania króla, żeby zwlekał z zakończeniem sądów i zyskuje tyle, iż zaprzysiężenie wyroku odłożone zostało do 29 grudnia. Żywi nadzieję, że marszałek przyjmie nareszcie warunki, które poprzednio odrzucał i zgodzi się pod grozą wyroku na wszystko, czego odeń zażądają.

Ale król i stronnicy Francyi, jak dawniéj, tak i teraz ani wiedzieć o tém nie chcieli. Cofać się w przededniu publikacyi wyroku byłoby błędem nie do darowania, byłoby śmiesznością. Przeciwnie, trzeba raczéj korzystać z dobréj sposobności: ubezwładnić przeciwnika zupełnie. Wyrok śmierci, jeśli zapadnie, skłoni Lubomirskiego do ucieczki z kraju, a tego tylko wszystkim było potrzeba. Nikt nie myślał o pozbawieniu życia oskarżonego; chciano go usunąć, wydalić z rzeczypospolitéj, bo z nieobecnością jego — każdy w to wierzył— powróci spokój i porządek. On jeden był tym złym duchem, który wszystko mącił, mieszał i burzył.... (4).

---

(1) Dyar. więk. k. 97.
(2) T. Luk. XII, k. 197. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 25 Décem. 1664.
(3) Koch. Ann. Pol. str. 157.
(4) T. Luk. XII, k. 197. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 25 Décem. 1664.

VIII.

Wyrok.

Przerachowali się bardzo ci optymiści, którzy tryumfowali przedwcześnie, sądząc, że sprawa marszałka już załatwiona. Bo oto wtedy, kiedy się najmniéj tego spodziewano, spadła na nich gromem wieść o nowéj intrydze i zamachu, zamierzonym na prawomocność wyroku. Właśnie podczas świąt Bożego Narodzenia doniesiono królowi, że zapamiętałym przyjaciołom marszałka udało się pozyskać delatora. Byłoby to klęską stanowczą dla dworu. Delator miał wyrok umocować przysięgą: gdyby jéj odmówił, cała sprawa zostałaby unieważniona. A wieści sprawdziły się zupełnie: interesowany rzeczywiście uwziął się nie przysięgać. „Wolę z Kotowskim albo Niewiarowskim na plac wyniść,"—mówił (1), „aniż to uczynić!"

Na dworze uderzono na alarm. „Teologów, Jezuitów zwodzono w święta, księdza Piekarskiego, księdza Schönhoffa, księdza Solla spowiednika J. kr. Mci,—perswadowali, że to może uczynić bez wyrzutów sumienia" (2). Pan Hieronim z Wielkiego Skrzynna Dunin stał się nagle ważną bardzo osobą. Wszyscy około niego się kręcili: cały dwór się niepokoił, trwożył—z powodu niego. Sam król zaprosił go do siebie na rozmowę: obiecał mu wypłacić 10.000 liwrów gotówką i przeznaczył pensyę 4.000 (3). „I tak się resolwował" nareszcie pan delator ze skrupułów sumienia. Wszyscy odetchnęli.

Ledwie nastał 29-ty grudnia, natychmiast sprowadzono Dunina do kancelaryi ziemskiéj warszawskiéj wraz ze świadkami szlacheckiego stanu. Było ich sześciu, a to: Wojciech Lubański z województwa rawskiego, Władysław Romanowski z wzdtwa bełzkiego, Zygmunt Ostaszewski z wdztwa mazowieckiego, ziemi łomżyńskiéj, Kazimierz Sypniewski z wdztwa brzeskiego, Andrzej Badowski z wdztwa rawskiego i Jakób Jeziorkowski z wdztwa mazowieckiego, ziemi warszawskiéj. Po ich przybyciu przystąpił woźny niezwłocznie do obwołania sprawy i znowu trzy razy wedle przepisu i po raz czwarty jeszcze wezwał stronę pozwaną. Nikt się nie stawił.

Wtedy złożył delator dwa palce na krucyfiks i powtórzył za woźnym uroczystą rotę przysięgi:

---

(1) Dyar. więk. k. 98. (Kotowski, Niewiarowski byli to zbrodniarze, skazani na śmierć za zabójstwo Gąsiewskiego. Egzekucya na nich odbyć się miała 5 stycznia).

(2) Dyar. więk. k. 98.

(3) T. Luk. XIII, k. 3—4. De Lumbres à Louis XIV, Varsov. 1 Janv. 1665

„Jako pozwany w sprawie obecnéj marszałek w. i hetman polny kor. winien jest wzdanych mu w pozwie zarzutów i karom kryminalnym podlega, — tak niech mi Bóg i ten krzyż święty dopomoże!“

A po nim i świadkowie, każdy z osobna, złożyli tę samą przysięgę (1).

Senat tymczasem z delegatami i królem czekał już zgromadzony w izbie sądowéj. Skoro więc doniesiono instygatorowi o spełnionym już akcie zaprzysiężenia, niezwłocznie przystąpił Branicki do publikacyi wyroku. Uważano, że marszałek nadw. niepomiernie się śpieszył (2)... Może się obawiał, że i teraz jeszcze fatum przyniesie jakąś nową przeszkodę.

„Ponieważ w sprawie obecnéj“—brzmiał wyrok, „delator Dunin przysięgą osobiście złożoną wedle roty, w poprzednim dekrecie wyrażonéj, z sześciu świadkami sobie równymi przed sądem ziemskim warszawskim pozwanego Jerzego Lubomirskiego, byłego marszałka w. i hetmana polnego koronnego przekonał o winę, jak to sąd ziemski warszawski do obecnego sądu królewskiego podał, przeto na tego to, winnym uznanego, J. kr. Mość z senatorami i delegatami postanowić raczył kary kryminalne, a to skazując go *na utratę czci i życia i konfiskatę wszystkich dóbr*.

„Daléj dekretem niniejszym przez marszałka nadw. kor. ogłasza i wiadomém czyni, że tenże skazany odtąd z królestwa pol. i W. X. lit., jakotéż z krajów do niego należących wywołany zostaje (proscriptus), a z nim i wszyscy jego współwinowajcy i ci, którzyby mu udzielili pomocy lub gdziekolwiek w królestwie i krajach do Rzptéj przynależnych takowego okrywali, albo z powodu niego niepokoje wzniecać albo téż gwałt zadawać któremu z mieszkańców Korony i W. X. lit. usiłowali, karze infamii, utracie życia i konfiskacie dóbr wszystkich podlegną, jak nie mniéj banicyi.

„Następnie wszystkie dobra skazanego ruchome i nieruchome (nie tykając całości pretensyi kościoła, wierzycieli i zapisów) przyznaje i powierza skarbowi, do wolnego rozporządzenia J. kr. Mci, godności zaś i urzędy wszystkie, które skazany poprzednio posiadał, jako wakujące ogłasza i do nowego rozdawnictwa przeznacza.“

Na końcu znajdowało się rozporządzenie do starostów i urzędów grodowych, aby wyrok ten wszędzie do wiadomości ogółu podany został (3).

Dnia 3-go stycznia (1665) wydany został z kancelaryi królewskiéj osobny uniwersał, w którym główne motywa i treść powyższe-

(1) Proc. iud. str. 89—90.—(2) Dyar. więk. k. 98.
(3) Proc. iud. str. 90—1.

go wyroku powtórzone znajdujemy (1). Równocześnie wysłano Francuza Briona i Persa Bonaubika z lekkiemi chorągwiami do dóbr Lubomirskiego celem egzekucyi wyroku. Tutaj mieli się oni, wedle Kochowskiego, dopuścić wielu nadużyć, a nawet podobno zabić szlachcica, Mikołaja Linowskiego, zawiadowcę dóbr klucza Janowieckiego (2). Ale wysłańcy ci nie zastali już skazanego magnata na zamku...

Jeszcze 17 grudnia, jak wiemy—wyjechał był Lubomirski z Janowca w 600 czy 700 koni. Gdzie dążył, co zamierzał z sobą zrobić, nikt zrazu nie wiedział. Z końcem grudnia doszły do Warszawy listy jego pisane do prymasa, biskupa krakowskiego, hetmana w. kor. i wielu innych senatorów, datowane z Bytomia, d. 19 grudnia (3). Lubomirski znajdował się już zatém za granicą, na Szląsku. Wkrótce przybyły téż stamtąd bliższe wiadomości. W kilkaset koni miał on opuścić granice ojczyzny. Przybywszy do Wrocławia, zostawił rycerstwo swoje na przedmieściu, które téż pożegnawszy pana, wróciło do Polski (4). Książe zaś w pięćdziesiąt ludzi wjechał do miasta. Czekał go już tutaj Jerzy hr. Schafgotsch namiestnik Szląska, który wygnańca przyjął z wielkiemi honorami w imieniu cesarza (5). Donoszono późniéj, że Leopold wyznaczyć miał przybyszowi na utrzymanie dobra księstwa Trenczyńskiego, leżące u granic Polski (6). Z Wrocławia podążył Lubomirski do Nissy (7) i tutaj stale już przebywał, robiąc od czasu do czasu wycieczki po kraju. 3-go stycznia widziano go znowu we Wrocławiu; 6-go wyjechał stamtąd, jak się domyślano do Wiednia (8). Cel téj podróży był jednak, zdaje się, inny, bo w kilka dni potém znajdujemy go w Głogowie (9). Odbywa się tu narada z hr. Kinsky'm, posłem cesarskim (10). W drugiéj połowie stycznia bawi on znowu w Nissie, wyprawiwszy syna i sekretarza swego do cesarza (11).

---

(1) „Uniwersał w tejże sprawie (J. Lub.) Jana Kazimierza, króla polskiego. Dan w Warszawie d. 3 stycznia r. 1665." Kopia w ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 285—6.

(2) Koch. Ann. Pol. Clim. III, str. 157.

(3) T. Luk. XIII, k. 3. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 2 Janv. 1665.

(4) Dyar. Gol. str. 1594.

(5) Koch. Ann. Pol. str. 158.—(6) Gaz. de France: De Wars. 19 Janv. 1665.

(7) T. Luk. XIII, k. 3. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 2 Janv. 1665.

(8) Gaz. de France: De Breslaw, 11 Janv. 1665.—T. Luk. XIII, k. 9: De Lumbres à Louis XIV, Varsovie. 8 Janv. 1665.

(9) T. Luk. XIII, k. 12. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 9 Janv. 1665.

(10) T. Luk. XIII, k. 18. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 15 Janv. 1665.

(11) Gaz. de France: De Warsovie, le 26 Janvier 1665.

Nie będziemy kreślić stanu duszy tego człowieka w pierwszych dniach po otrzymaniu wyroku. Przechodzi to już granice, jakie na razie zakreśliliśmy sobie w temacie.

Ostatnim aktem Lubomirskiego w tym pamiętnym roku jest wspomniany już wyżéj list do prymasa Leszczyńskiego. Skazaniec, banita, protestuje uroczyście przeciw wyrokowi, którym go obciążono, rzekomo, niesłusznie. Oburzenie, gniew i nienawiść, długo krępowane innemi względami, zrywają teraz wszystkie tamy i spływają burzliwym strumieniem. Czuć w tym gwałtownym, namiętnym tonie już nie wiernego, uległego obywatela, jakim się dotąd wystawiał Lubomirski, lecz przyszłego rokoszanina i mściciela (1). List ten do prymasa jest zarazem przedsłannikiem znanego manifestu jawnéj niewinności, a manifest przedsłannikiem rokoszu.

Tymczasem w Warszawie nie dobrze się działo.

Widzieliśmy, że obrady sejmu już od początku wlokły się ciężko i leniwie. Liczba posłów coraz bardziéj malała, coraz króciéj trwały posiedzenia. Tylko mała jeszcze garstka utrzymywała się

---

(1) Patrz: „Copia listu do Xcia Imci Xdza Arcybiskupa Gnieźnieńskiego od JEMci Pana Marszałka W. kor. Dat. z Bytomia, d. 19 Decembris, 1664.“ Jeden odpis w ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 282—3; drugi w ręk. t. bibl. 317, k. 42—3; trzeci w ręk. 236, k. 179—80. „Spodziewałem się, że sejm *tandem* ten“—pisze były marszałek,—„miał być *medela,* że senatu i Izby poselskiéj powaga miała mi królestwo IMść *placare*. Ale kiedy miasto uleczenia ostatnia na mię nastąpiła *saevities* i *oppressio*, kiedy Województwa partykularnymi za mną poselstwy, kiedy senat i Izba instancyami swemi (??) nic *non profecerunt*, kiedy prośby, supliki i uniżoności moje miejsca nie znalazły, kiedy po wyjściu posła i potém kilku innych z Izby i zanieslonéj przeciw sejmowi protestacyi *contra consuetudinem et iura et rationem formamque status* téj Rzptéj sąd na mnie tak niesprawiedliwy formować poczęto, przez który honorowi, substancyi i zdrowiu memu *ultimum iniectum discrimen*, kiedy deputaci do sądu *non iuxta ritum,* ale *clanculum, obstante contra electionem* ich *contradictione*, przed skończeniem *rationum senatus consultorum*, już po zerwaniu przez protestacyą poselską sejmu, obrani i sprawa *illegitime* w noc kilka godzin przywołana, kiedy propozycya, wymyślnych fałszów, krzywd, nieprawd, *aculeorum* pełna, *impudenti* Instygatora *ore criminalissime* na mnie indukowana, kiedy nadto wszystko *remedium extremum* to jest powagi instancyi WMci WMP. prymacyalnéj *pondus* ubłagania Państwa i zatamowania tak niesprawiedliwego sądu nic *non profuit*:—cóż już *reliquum* być mogło, coby albo ja przydać do mojéj uniżoności i cierpliwości mogłem albo w czymbym jakąkolwiek *mei et patriae status* dźwignienia nadzieję pokładać mogłem. „Widząc zatém *gravescentem* przeciw sobie *oppressionem et certissimum pro virtutibus exitium*, widząc, że się nic na prawo, nic na sprawiedliwość, nic na żadną *possibilis* Pana *placationis* nadzieję spuszczać nie mogę, do tego mi przychodzi, że takie bezprawie, tak niesłychana niesprawiedliwość *expulit* mnie z Ojczyzny i przymusiła zdrowie i honor *extra patrios* unosić *fines*!“...... „Zaczym manifestuję się przed Bogiem i przed światem, że *vim patior*i.....“

w izbie. Lecz i to nieliczne koło obecnych poczęło się nareszcie niecierpliwić. Drugiego stycznia nasłał do nich król kilku senatorów, aby ich skłonić do porządnego kończenia sejmu. Nie wiele to pomogło (1). Następnego dnia nowe powstały spory o to, czy żądać przedłużenia sejmu, czy też żegnać króla (2). Siódmego wychodził termin sześciu tygodni, którego nie można było przekraczać, chyba gdyby na to powszechna była zgoda: a o tém nie było ani mowy. Gdy nadszedł dzień fatalny (7-my stycznia), w izbie znowu kilka godzin się swarzono, czy sejm przedłużyć, czy limitować, czy też rozerwać, zważywszy, że przeciw ważności jego kilka zaniesiono protestów. Wśród długotrwającéj nad tą kwestyą dyskusyi, właśnie kiedy Prażmowski mowę swoję zakończył, wystąpił poseł halicki Telefus i nie uprosiwszy sobie głosu, począł przemawiać. Przerwał mu marszałek, zwracając uwagę, że nie na niego, lecz na prymasa przychodzi koléj. Ale kiedy prymas powiedział swoje, p. Telefus nie dostał znowu głosu, lecz ks. biskup krakowski. Wówczas zniecierpliwiony poseł halicki „z furyą“ wyszedł z izby z protestacyą. Gniński udawał, jakoby nie uważał jego nieobecności i po mowie Trzebickiego dał głos Telefusowi. Powiedziano mu, że ten poseł opuścił salę, założywszy „*veto*.“ Wówczas oświadczył kanclerz, że dotąd nie miano sejmu za rozerwany: lecz w obec protestu posła halickiego, uczynionego przed sejmem w komplecie tj. po połączeniu senatu z izbą, obrady muszą ustać. Marszałkowi dozwolono żegnać króla.

Nastąpiła więc mowa pożegnalna Gnińskiego, na którą odpowiedział Prażmowski. Potém rozpoczęła się ceremonia całowania ręki królewskiéj (3).

Tymczasem wrócił Telefus do izby. Zamierzał on, jak twierdzi de Lumbres, wyjaśnić, że nie chciał zrywać sejmu, lecz przypomnieć jedynie, iż takowy już dawno, jeszcze w grudniu faktycznie zerwany został. Ale już było zapóżno (4).

Kiedy w sali pożegnalnéj na niefortunnego posła halickiego przyszła koléj ucałowania ręki króla, miał mu Jan Kazimierz powiedzieć: „Mógłbym Wam umknąć ręki za taki wasz postępek; ale uznawajcie dobroć moję, że nie jestem tak zły, jako wy jesteście na nas i na dobro téj Ojczyzny zawzięci!“ (5).

Na tém się sejm zakończył. Zerwanie obrad nie było naturalnie czynem odosobnionym Telefusa, lecz sprawką partyi byłego mar-

(1) Dyar. więk. k. 99.—(2) Dyar. więk. k. 100.
(3) Dyar. Gol. str. 1597. Dyar. więk. k. 101.
(4) T. Luk. XIII, k. 11. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 9 Janv. 1665.
(5) Dyar. więk. k. 100.

szałka w. kor. Poseł ten był w tym wypadku tylko narzędziem starosty halickiego Potockiego, syna w. hetmana, a szwagra i wiernego stronnika Lubomirskiego (1).

Taki epilog nie był zresztą wcale niespodzianką dla dworu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że na tém dziś czy jutro skończyć się musi. Chodzilo tylko o to, aby podczas sądów utrzymywać pozór całości sejmu, bo inaczéj wyrok na Lubomirskiego nie mógłby zapaść prawomocnie (2). Osiągnięto cel ostatni: a w obec tego sukcesu reszta była dla stronnictwa francuskiego na razie dość obojętną.

We wszystkich wstąpiła otucha. W pałacu cieszono się i tryumfowano, cała stolica się bawiła... Z upadkiem marszałka jakby jakiś ciężar wszystkim zsunął się z piersi. Zdawało się, że widmo niezgody znikło wraz z tym ambitnym magnatem niepowrotnie. Jakiś dowcipniś pożegnał banitę długim łacińskim nagrobkiem, jakby chcąc nim odgrodzić na zawsze powrót do kraju krzewicielowi niesnasek i buntów (3)...

Napis ten grobowy, szyderstwa, ale i gorzkiéj prawdy pełen, pokrył jednak, niestety, człowieka żywego, z piersią, zajętą jadem zawiści i żądzą zemsty... „La morte civile“ nie była dlań kresem życia publicznego.

---

(1) T. Luk. XIII, k. 11, etc. u. s. (2) T. Luk. T. XIII, etc. u. s.

(3) Por. ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 314—15. „Nagrobek Panu Lubomirskiemu, jeszcze żywemu:

Georgius Lubomirski
Comes in Wiśnicz, Supremus Regni Poloniae
Mareschalcus
Eiusdem Campidux,
Cracoviensis, Olstinensis praefectus
Illustris olim Palatini Cracoviensis
Magni Senatoris
et ducissae Ostrogiensis filius
Sacri quoque Romani imperii princeps.
Hi sunt tituli, haec nomina
generis et fortunae
Non tam propria, quam paterna virtute
et meritis partae.
Quod in illis ultimum nec in aequali et libera
Republica nullum
Fastus tamen illius et ambitiones
Super concives suos ingens testimonium
Quae recte dixerit LECTOR
Vivum simulachrum superbiae et ambitionis
Exactum compendium.
Addo plura:

Zeszedł, co prawda, ze świata Lubomirski, jako bohater konfederacyi tyszowieckiéj i laureat z wyprawy cudnowskiéj, ale na to tylko, aby zmartwychpowstać, jako wichrzyciel, rokoszanin i jawny wróg ojczyzny...

Dzień 29 grudnia, w którym ogłoszono ostateczny na marszałka wyrok, był zarazem ostatnim dniem tryumfów królowéj. Rok 1665 i 6 ty miał zniweczyć wszystko, co przygotował i stworzył rok 1664-ty...

Hic est, si quando fuit, Maiestatis Insidiator et Calumniator, Bonorum Ecclesiae et Reipublicae p. Poloniam Vastator, Libertatis eversor, Aequalitatis osor, confederati exercitus Autor, haereticorum Fautor et Promotor, diffidentiarum populi ad Principem Inventor et motor, veritatis Hostis, fraudum et mendaciorum Magister

Prothaeus alter
Nunquam corde et facie idem, pluribus humanus
vix ulli sincerus
Futurus aliquando Reipublicae tyrannus et oppressor,
ni artes suas, quibus molitur mature provideat.
Crine ruber, ingenio vafer et corpore imbellis.
Cui ingrato civi et Mareschalco Regni aliisque
titulis citissime exuto Illustribus et Illustris
generis indigno
hoc sit monumentum.

Wiktor Czermak.





HENRYK GEORGE.

(„Postęp i Nędza", przełożyła z 28 wydania amerykańskiego M. D. Poznań 1885)

I.

George należał do grona nielicznych szczęśliwców, jakby przeczących przysłowiu, że jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. Z wyjątkiem garstki ludzi ścisłéj wiedzy, oraz rzeszy landlordów Wielkiéj Brytanii i krezusów Nowego Świata, przypadł on w pierwszéj chwili do gustu przedstawicielom najodmienniejszych warstw i najróżnorodniejszych interesów społecznych; jeśli zarzucano mu co, to tylko zbytnią krańcowość. Atoli dzisiaj, przynajmniéj w krajach bardziéj ekonomicznie rozwiniętych, stanowisko tego myśliciela zostało wyjaśnione; zauważono, że teoretycznemi swemi wywodami zgoła nie zasłużył i nie zasługuje on na te oskarżenia i krzyki, które nań się posypały z powodu jego agitacyi, mającéj na celu upaństwowienie renty gruntowéj; przekonano się, że jeżeli chce on reformować świat, czyni to w ramkach ligi irlandzkiéj i wolnéj konkurencyi, t. j. nie wybiega myślą po za obecny ustrój. Zresztą by wykazać, jak o nim sądzi świadoma swych tendencyi Europa, niech wolno nam będzie zacytować słowa Ryszarda Reutera, przed kilkoma zaledwie miesiącami (1) wypowiedziane z powodu „Kwestyi społecznych" (najnowsze dzieło George'a): „Na polu polityczno-społecznem, nakształ ziejących jadem paszczęk hydry, zagrażają Niem-

(1) A więc wtedy, kiedy stanowisko George'a zupełnie się już wyświetliło i gdy spostrzeżono, że jego żądania nie wybiegają po za postulaty, przed wieloma laty wystawione przez Spencera (w „Statyce społecznéj"), świeżo wypowiedziane przez Darwinowego współzawodnika, naturalistę Wallace'a, i od dwóch lat wygłaszane przez ministra Chamberlaina.

com trzy kierunki. Socyalna demokracya, która lubo już porzuciła brutalne dawnego komunizmu ideały, nie zaprzestała przecież dążyć do przeistoczenia państwa w prosty warsztat, gdzie zaniknąć musi wolność i indywidualizm; absolutyzm biurokratyczny, niedbający o interesy ludu; wreszcie manczesteryzm, który zarówno społeczeństwu jak jednostce podrzędną wyznacza rolę i gardłuje za niekrępowaniem ruchu społecznego, nawet kiedy to pociąga za sobą powszechną niedolę... Henryk George *stoi na gruncie pozytywnego chrystyanizmu.* Życzymy zatém, aby dzieła jego jak najszerszy w Niemczech znalazły pokup; wszystkie warstwy i klasy mogą się odeń dowiedzieć, że istnieje pono jeszcze inna droga, wolna od zabójczych wyziewów wymienionych powyżéj hydr.“

Pierwotną swą wziętość zawdzięcza ekonomista amerykański temu gorącemu, szczeremu, pełnemu współczucia dla niedoli ludzkiéj słowu, w jakie przyoblekł swe teorye; rozgłos zaś jego datuje się od wyjścia dzieła „Postęp i Nędza“, które wkrótce obiegło cały świat stary i nowy, a obecnie zawitało też do nas w polskim przekładzie. Autor w dziele tém z „nowego“, „oryginalnego“, jak powiadają sprawozdawcy, punktu widzenia uderza na ekonomią polityczną, a raczéj na angielskich jéj przedstawicieli; z powodu bowiem nieznajomości odnośnych języków, nie mógł się on zapoznać z ekonomistami francuskimi i niemieckimi. Zresztą, jak to wnioskować możemy z treści całego dzieła, znajomość też angielskich ekonomistów jest również u George'a nader niedostateczną, — ogranicza się ona jedynie do klasycznéj ekonomii (1). Fakty te oczywiście nie mogą zbyt pochlebnie świadczyć o naukowém uzdolnieniu naszego autora. Nie przeszkadza mu to atoli czynić liczne zarzuty *całéj* ekonomii politycznéj, do czego się bierze jako rodowity Yankes, w sposób poniekąd nieznany w ugrzecznionym Starym świecie. Cala ekonomia przedstawia dlań jedynie zbiorowisko niewolniczych naśladowców Adama Smitha. Postępują oni, „przeskakując tam, gdzie on przeskoczył i potykając się tam, gdzie on się potknął“ (str. 103). Wszyscy też „wpadli w tę samę jamę.“ Mianowicie. „ekonomia polityczna nie tłómaczy dotąd upartego istnienia nędzy w obec zwiększającego się dostatku w sposób zgodny z głęboko zakorzenionemi poglądami większości ludzi; nie zdołała ona zająć takiego stanowiska w pojęciach ogółu, które każda prawda, jakkolwiek nieprzyjemna, zdobyć by potrafiła; przeciwnie, pomimo stuletnich badań najbystrzejszych i najpotężniejszyh myślicieli, dziś jest ona pogar-

---

(1) Najwybitniejszymi przedstawicielami tego kierunku, oprócz A. Smitha, są Rikardo i Mill.

dzaną zarówno przez mężów stanu, jak i przez ogół i uważaną przez ludzi oświeconych i myślących za pseudo-naukę, w któréj nic stałego niema i być nie może"! (str. 10). Niestety! gdyby nasz ekonomista lepiéj poznajomił się choćby z angielską literaturą ekonomiczną, dowiedziałby się o istnieniu całéj szkoły (ekonomiści ruchu chartystowskiego, Edmonds, Thompson i in.), stawiającéj te same co i on pytania, a rozwiązującéj je inaczéj od klasyków.

Nie zupełnie wszelako zwątpił on w ekonomią. Że nauka ta straciła kredyt, jest to, jego zdaniem, nie tyle jéj winą, ile winą badaczy. Wykazanie tym ostatnim błędu, a odzyskanie dla tamtéj dobrego imienia, oto cel, jaki między innemi założył sobie George. Przedewszystkiém zaś dąży on do odszukania „dotychczas jeszcze niewykrytego" prawa: „Postaram się zbadać prawo, które łączy nierozerwalnym węzłem nędzę z postępem i narost nędzy z nagromadzaniem bogactw." W tym celu postanawia nie szczędzić ani sił, ani pracy. „Nie cofnę się przed żadnym wnioskiem, nie zdecyduję żadnéj kwestyi bez dowodów, będę szedł za prawdą bez względu na to, dokąd mnie ona zaprowadzi" (str. 10) — powiada on o samym sobie w przedmowie i dotrzymuje słowa. Bo zaprawdę, nie cofnął się przed żadnym teoretycznym wnioskiem i praktyczném jego zastosowaniem; żadna powaga naukowa nie powstrzymała biegu jego myśli i na żadne zawady nie baczy on w swych postulatach, co wszystko wszakże nie czyni jeszcze jego wniosków i żądań czémś nowém lub krańcowém. „Oryginalność" jego i „krańcowość" są czysto podmiotowéj natury; jest to „oryginalność" samouczka, któremu zdaje się, że odkrył jakieś nowe prawa, wówczas, kiedy odgrzebuje dawno zapomniane rzeczy. W parze z tém idzie jego logika, żywiołowa, nieokrzesana, nadto zupełny brak szerszych i systematycznych studyów, wreszcie jedna wielka wada: nigdy nie probuje stanąć on na stanowisku swego przeciwnika i nie stara się zgłębić treści pojęć, któremi się tenże posługuje.

II.

Dla zbadania podstaw obecnego ustroju społecznego, Carey i jego szkoła stwarzają różne, nieuprawnione i niewłaściwe sytuacye ekonomiczne, wyprowadzając na scenę Robinsonów, Piętaszków, samotników ze stepów amerykańskich i inne wyjątkowe, lub nieznane chwili obecnéj postaci. Inni znowu kategoryami chwili obecnéj darzą przeszłe wieki ludzkości: Rousseau każe pierwotnemu człowiekowi zawierać umowę społeczną, Spencer robi zeń indywidualistę w najszerszém tego słowa znaczeniu, a w ślady angielskiego my-

śliciela podąża też nasz autor. „W każdém rozumowaniu ekonomicznéni należy przedewszystkiém wziąć pod uwagę, że najwięcéj rozwinięte społeczeństwo jest jedynie wypracowanym obrazem swego pierwowzoru (1) i że prawa, tak widocznie kierujące ludźmi, gdy stosunki są pierwotne, nie zmieniają się, lecz ukrywają tylko głębiéj w obec stosunków zawilszych, spowodowanych wprowadzeniem podziału pracy i zastosowaniem skomplikowanych narzędzi i złożonéj techniki“ (str. 17). A na czém zasadza się ów „pierwowzór“ społeczny? Oto „w najprostszym ustroju społecznym każdy człowiek łowi ryby na *własną* potrzebę i kopie robaki na przynętę“ (str. 18). Dalsze „wypracowanie“ tego pierwowzoru polega na tém, że „skoro tylko *uwidocznią się* korzyści podziału pracy, jeden szuka przynęty, drugi idzie z wędką na ryby“ (str. 18), t. j. zamieniają oni nawzajem wytwory swéj pracy. A zatém: najwięcéj rozwinięte społeczeństwo jest jedynie „wypracowanym obrazem swego pierwowzoru“; tu, w „wypracowanym obrazie“ istnieje podział pracy, tam, w „pierwowzorze“ takowego nie ma. Jak gdyby istniało kiedykolwiek społeczeństwo bez podziału pracy! Samo pojęcie „społeczeństwo“ wyklucza podobnego rodzaju założenie; weźmy najdziksze naszego globu plemiona, wszędzie już przynajmniéj w zarodku spotkamy podział pracy. Również, lubo nowsze, oparte na bezpośredniém badaniu ludów pierwotnych studya zadają kłam téj teoryi, jakoby w najprostszym ustroju społecznym człowiek pracował „na własną potrzebę“, nie będziemy przecież dotykali się téj kwestyi; dajmy na to, że autor nasz ma słuszność i że pierwotne społeczeństwo zaprawdę takiém było, jak je on maluje (2). Natomiast przystąpimy do pytania: w jaki sposób, podług autora, z tych pierwotnych wytworzyły

(1) George wyraża się inaczéj: „najwięcéj rozwinięte społeczeństwo jest jedynie bardziéj sztuczną mięszaniną społeczeństwa w jego postaci pierwotnéj.“ Wogóle polskie tłómaczenie bardzo często spacza myśl autora.

(2) Zkąd wzięła się u naszego ekonomisty myśl, jakoby „bardziéj rozwinięte społeczeństwa były jedynie wypracowanym obrazem swego pierwowzoru“? Odpowiedzi na to szukać należy w stosunkach, w jakich wzrastał ten myśliciel. Mianowicie spędził swe życie w Kalifornii i tutaj przebywał w tych chwilach, kiedy gorączka złota pchała wszelkiego rodzaju awanturników do tego nowego Eldorado. Ludność Kalifornii była podówczas istną mieszaniną różnorakich ludzi, niezwiązanych żadną, krom Lynchu, instytucyą. Mieszanina ta jednak była wydzieliną obecnego ustroju społecznego, a tłumy, które zalewały wtedy Kalifornią, wyłonione zostały przez społeczeństwa cywilizowane, w ich krwi tkwiły wszystkie popędy Starego świata lub jego córy: nadatlantyckich stanów Ameryki północnéj. Nie dziw więc, że z téj mieszaniny powstałe z biegiem czasu społeczeństwo kalifornijskie posiadło wszystkie prawne, ekonomiczne i t. d. instytucye, które cechują społeczeństwo cywilizowane. Oto geneza socyologicznych poglądów George'a. Wyjątkowy rozwój stał się dlań powszechnym, lokalny—ogólnym.

się późniejsze formy społeczne? Oto: „uwidoczniały się korzyści podziału pracy“, t. j. rozwój społeczny szedł zależnie od woli człowieka, który świadomie pielęgnował i rozwijał podział pracy. Czyż w saméj rzeczy tak było?

Bynajmniéj! Społeczeństwo, a więc podział pracy, formy własności, rodziny, pojęcia moralne i t. d. powstawały tak samo jak z pierwotnéj mgławicy wyłaniał się obecny systemat słoneczny, a z pierwszych organizmów cały świat organiczny, t. j. w sposób naturalny, żywiołowy, nieświadomy. Wszystkie stosunki społeczne w bezustannym znajdują się ruchu, przybierają ciągle coraz nowe formy. Dzień dzisiejszy jest tutaj, jak wszędzie, tylko jedném z ogniw nieustającéj ani na chwilę ewolucyi, przejściem od wczoraj do jutra, odmienném od tego, jako téż tamtego, acz z niemi związaném nicią genetycznego związku. Dzisiaj zowie się ustrojem feudalnym, wczoraj nosiło nazwę marki, jutro będzie ustrojem kapitalistycznym. Ludzkość w swéj ewolucyi przedstawia kolejny szereg odrębnych formacyi; w łonie każdéj z tych formacyi powstają nowe siły wytwórcze, którym zbyt ciasno w istniejących pętach społecznych i które téż z biegiem czasu wytwarzają nowe formy produkcyi i własności, nowe urządzenia polityczne, prawne, moralne i t. d. Ale wytwórczość wciąż wzrasta, znów jéj zaciasno w powijakach nowéj formacyi i t. d. (1). Jedném słowem, mamy do czynienia z bezustanną zmianą ustrojów społecznych, a rozwój ludzkości pod tym względem przypomina bieg rzeki. Rzeka płynie w kierunku najmniejszego oporu, ludzkość postępuje za rozwojem sił wytwórczych. Co tłómacząc na podmiotowy język George'a, możemy wraz z nim powiedzieć: zasada, że „człowiek stara się zaspokoić swoje pragnienia najmniejszą sumą usiłowań“, kieruje rozwojem ludzkości. Podmiotowość jednak ta ma swą ujemną stronę, twierdzi bowiem, jakoby

---

(1) Tak np. wśród pierwotnego ustroju feudalnego i pod tegoż opieką wzrastają w miastach nowe siły wytwórcze (rzemiosło, handel). Doszedłszy do pewnego stopnia rozwoju, uczuwają one, że ustrój feudalny, jego instytucye prawne i forma własności, jego prawa polityczne są zbyt dla nich niedogodne. Rozpoczyna się walka miast z feudalizmem, zapełniająca kilka wieków średniowiecznéj Europy. Walka kończy się tryumfem miast, a zwycięskie siły wytwórcze odlewają się w właściwe sobie warunki produkcyi i wymiany, wytwarzają nowe stosunki prawne i polityczne i nową Europie nadają postać. Tak powstał ustrój cechowo-feudalny. Ale nie minęło kilku wieków, a pod działaniem tkwiących w ustroju cechowym tendencyi, powstają nowe siły wytwórcze (drobiazgowy podział pracy i uproszczenie czynności, pozwalające na wynalezienie i zastosowanie automatycznie działających maszyn), którym znowu zaciasno w pętach cechowych. Potrzeba im wolności handlu i swobody procederu. Znowu nowa walka, któréj szermierze zowią się Quesnay, Petty, Smith. Nowe siły wytwórcze tryumfują, powstaje na gruzach cechów wielki i niczém nieskrępowany przemysł nowoczesny.

człowiek był świadomym („stara się“ — powiada George) kierownikiem ewolucyi sił wytwórczych, wówczas, gdy stanowił on raczéj nieświadomy tego rozwoju atom, unoszony tak samo jak krople wody przez prąd rzeki.

Ale jedna formacya ekonomiczna nie odrazu zwala drugą, ani też nowe siły wytwórcze nie w jednéj chwili przekształcają stare społeczeństwo stosownie do swych wymagań. Proces taki odbywa się powoli. Często jedna formacya ekonomiczna—przestarzała—długo jeszcze istnieje obok i wraz z inną—nową, przenika ją i powstrzymuje, zaciemnia, lub przekształca jéj tendencye. Tak w Rosyi obok kapitalizmu napotykamy peryodycznie dzielącą grunta „obszczynę“: tak samo u nas, obok wielkiéj widzimy małą produkcyą, obok przedsiębiorstw, opartych na pracy najemnéj, warsztaty drobnego rzemieślnika i chudobę włościańską. Każda z takich formacyi posiada właściwe sobie, specyficzne tendencye i kategorye. Ekonomista powinien o tém pamiętać; badając prawa ekonomiczne nie powinien mieszać faz tak różnych acz obok siebie istniejących. Musi je z osobna rozpatrywać, a zbadawszy je i zanalizowawszy, może dopiero wtenczas zadać sobie pytanie: jak oddziaływają one wzajemnie na siebie i jak zmieniają swe tendencye jedna pod wpływem drugiéj. Ekonomista tedy musi stać na gruncie historyczno-ewolucyjnym; pamiętać, że badane przezeń kategorye są względne, czasowe, miejscowe. George powiada: „Chociaż w ekonomii politycznéj nie możemy tak, jak w dziedzinie innych nauk sprawdzać naszych teoryi przy pomocy sztucznie wytworzonych kombinacyi i warunków, niemniéj jednak możemy przedstawić dowody równie przekonywające, porównywając społeczeństwa w *różnych* znajdujące się warunkach, lub też rozdzielając i zestawiając, dodając i wykluczając siły i czynniki, których działanie jest nam znaném“ (str. 9). Tak, ale musimy przytém zachować nadzwyczajną ostrożność, albowiem z jednéj strony studyów nad pewnym ustrojem ekonomicznym (np. obecnym) nie możemy zastąpić studyami nad jakimś innym (np. gospodarstwem odludka Robinsona, jak to lubi czynić Bastiat), z drugiéj zaś nie mamy prawa zjawisk, właściwych pewnej formacyi, wyjaśniać za pomocą spostrzeżeń zaczerpniętych skądinąd (jak to czyni nasz autor). Użycie w ekonomii metody porównawczéj („porównywanie społeczeństw, znajdujących się w różnych warunkach“) tylko poniekąd jest uprawnione i tych samych, co w biologii dostarcza rezultatów, t. j. nie daje ono pojęcia o strukturze oddzielnego zwierzęcia, lub formacyi ekonomicznéj, lecz dostarcza uogólnienia, odnoszące się do całego szeregu organizmów (np. kręgowców), lub też formacyi ekonomicznych (opartych np. na produkcyi towarów). Tak samo, łą-

cząc i wykluczając różne czynniki i siły, nie mamy prawa odrywać ich od właściwéj sfery ekonomicznéj i przesadzać je w obcą.

O tém wszystkiém George nie ma najmniejszego pojęcia. Braknie mu pod nogami wszelkiego gruntu historycznego, o czém przekonamy się niejednokrotnie.

Po tych przedwstępnych uwagach przejdźmy do rozbioru poglądów George'a na pojęcie kapitału—téj kategoryi, stanowiącéj charakterystyczną cechę obecnie panującego w Europie ustroju ekonomicznego. Twierdzenie, że dotychczasowa ekonomia nie pojęła téj kategoryi, stanowi podstawę wszystkich wywodów naszego autora.

Co to jest kapitał? Dla nas posiada on *ściśle określone historyczne* znaczenie. Weźmy jakiegokolwiek przemysłowca; zakłada on przedsiębiorstwo, jak wiadomo, nie w celu wytwarzania przedmiotów na własny użytek, lecz na sprzedaż, dla zysku. Fundusze (czy to bezpośrednio pod postacią pieniędzy, czy téż jako maszyny, budowle, surowy materyał) potrzebne do prowadzenia takiego procederu, zowiemy kapitałem. Zgodnie z tém określeniem, funkcyą kapitału stanowi produkcya na sprzedaż; jego celem—otrzymanie ztąd zysków i wchłonienie ich w siebie, powiększenie tedy własnych rozmiarów, nie troszczy się on zatém zgoła o zadowolnienie potrzeb społecznych (o ile ztąd nie spodziewa się zysków) lub o dostarczenie zarobku najmicie. Dochód, zysk—oto jedyny jego cel. A więc naszém zdaniem narzędzia, materyał i t. d. dopiero wtedy stają się kapitałem, kiedy dzięki samemu posiadaniu, bez żadnego innego tytułu i pracy (?) posiadacza poczynają dawać mu dochód. Określamy przeto kapitał nie ze względu na jego składowe części, lecz na jego funkcye i warunki, przy których on istnieje. Ten sam przedmiot wśród pewnych warunków jest kapitałem, w innych zaś nie; jeżeli np. posiadam fortepian na swój własny użytek, nie jest on kapitałem, lecz staje się nim kiedy zacznę go wynajmować, czyli jak powiada Mill: „różnica między kapitałem a zwykłém bogactwem zależy nie od jakości majątku, lecz od zamiarów kapitalisty, od jego zdecydowania się, jak ma użyć swego majątku.“ Z naszém określeniem w ogólnych zarysach zgadzają się określenia ekonomii klasycznéj. „Kapitał — powiada A. Smith—jest to ta część majątku, z któréj każdy oczekuje dochodu.“ „Każda rzecz cenna, krom samego człowieka, rzecz, któréj użytkowanie daje nam przyrost pieniędzy lub zysk“ — tak określa Perry. Ale, aby czynić nakłady majątku, wyłącznie w celu otrzymania stąd zysku, do tego potrzeba urzeczywistnienia całego szeregu warunków historycznych.

Tak tedy ekonomiści klasycy, lubo nieświadomie, stanęli na gruncie historycznym. Ich określenie posiada wartość tylko w pew-

nych granicach historycznych. Nie podoba się to jednak autorowi „Postępu i Nędzy"; chce on bowiem zbudować wiedzę ekonomiczną, któraby była niezależną od czasu i miejsca. „Trzymając się go (określenia Milla), najbardziéj wszechstronnemu badaczowi trudno byłoby orzec, co w danym czasie i w danym kraju było, lub nie było kapitałem" (str. 28)—woła zrozpaczony George. Lecz zobaczmy, co nasz ekonomista rozumie przez „kapitał." Z pojęcia kapitału należy wykluczyć wszystko to, co jest ziemią lub pracą" (str. 25). Przeciwstawia on zatém „grunt" (tj. „wszystkie siły i dary natury") kapitałowi (1), lecz nie zadawalnia się tém, gdyż na każdym kroku dostrzega, że np. pewien przedmiot to jest, to znowu nie jest kapitałem. Daje przeto bardziéj ścisłą definicyą kapitału: „pieniądze, zużytkowane do interesu, lub na spekulacyą są kapitałem; pieniądze zaś obracane na wydatki domowe lub osobiste nim nie są,... kapitałem byłyby konie i powóz dorożkarza, lecz wykwintny powóz, utrzymywany dla przyjemności nie byłby nim" (str. 29). Różnice między kapitałem, a zwykłém bogactwem „zależą nie na własnościach przedmiotów, lub ich przeznaczeniu, lecz na tém czy przedmioty owe znajdują się w ręku spożywcy, czy téż nie. Przedmioty bogactwa, które same w sobie lub w przetworze przeznaczone są do wymiany, są kapitałem, przedmioty będące już w ręku spożywcy przestają być nim" (str. 30). Kapitał jest to „bogactwo w drodze wymiany (*wealth in course of exchange*), a pod wymianą rozumiemy nie tylko przechodzenie przedmiotu z rąk do rąk, lecz i przemiany przedmiotów, powiększenie ich użyteczności, wynikające z działania twórczych i przekształcających sił przyrody" (str. 30).

Kiedyśmy załatwili się już z pojęciem kapitału, możemy przystąpić do pytania, dlaczego płaca robocza, pomimo wzrostu wytwórczości pracy, dąży do *minimum*, zapewniającego robotnikowi jedynie niezbędne utrzymanie. Ekonomia (klasyczna) objaśnia to jak następuje: płaca robotnika określa się przez stosunek ilości robotników do wysokości kapitału przeznaczonego na zapłacenie pracy; ponieważ zaś wzrost liczby robotników z natury rzeczy podąża za wzrostem kapitału, a następnie bierze nad nim górę, przeto powyższy sto-

(1) Tak samo fizyokraci przeciwstawiali kapitałowi ziemię. W ogóle George nadzwyczaj przypomina tę szkołę, jak to jeszcze nieraz się przekonamy. Pod względem więc naukowym książka naszego autora jest cofnięciem się wstecz o całe blizko stulecie. Takie przeciwstawienie gruntu kapitałowi było uprawnione w czasach feudalizmu, kiedy wolny i ruchomy majątek kupców, posiadający już wszystkie cechy dzisiejszego kapitału, na każdym kroku przeciwstawiał się nieruchomym posiadłościom „baronów." Ale dziś, kiedy ziemia jest również „bogactwem w drodze wymiany," że użyjemy słów naszego ekonomisty, czyż można tak odgraniczać jednę kategoryą od drugiéj.

sunek, a tém samém płaca pozostają bez zmiany. Na to nasz autor odpowiada w ten sposób: „jeżeli wysokość płacy roboczéj zależy od stosunku pomiędzy ilością robotników, szukających zatrudnienia, a ilością kapitału, przeznaczonego na wynagrodzenie pracy, to względne powiększenie się lub zmniejszenie jednego czynnika musi z konieczności sprowadzić względny wzrost lub upadek drugiego. A zatém, kapitał zapasowy musi być większym, jeżeli cena pracy jest wyższą, i na odwrót obniżenie zapłaty robotnika musi być w związku ze zmniejszeniem się kapitału. Lecz kapitał, przeznaczony na zapłacenie pracy, jest kapitałem, szukającym ciągle stałego umieszczenia: ogólna przeto wysokość stopy procentowéj może być miarą jego większéj, lub mniejszéj ilości. Jeżeli więc jest prawdą, że norma płacy roboczéj zależy od stosunku pomiędzy ilością robotników żądających pracy i kapitałem przeznaczonym do zapłacenia tejże pracy, to wyższa cena pracy (która jest dowodem stosunkowo małéj ilości robotników) powinna pociągać za sobą niską stopę procentową (co będzie znów dowodem zwiększania się zapasowego kapitału) i naodwrót skąpa zapłata robotnika powinna współistnieć z podwyższeniem stopy procentowéj. W rzeczywistości jednak dzieje się wprost odwrotnie... Czyż nie rzuca się nam w oczy, że gdy procent jest wyższy, wtedy i cena robotnika jest wyższą, i na odwrót? Czyż nie jest prawdą, że ogólne podniesienie lub zniżenie płacy roboczéj pociąga za sobą wzrost, lub upadek stopy procentowéj?“ (str. 12—13). Na dowód przytacza George dzieje Kaliforni: kiedy płaca równała się 5 dol. dziennie, wtenczas zwykły procent bankowy wynosił 24% rocznie, obecnie płaca na 2—2½ dol., a procent spadł do 10—12%; następnie zaś wskazuje on na ten ogólnie znany fakt, że podczas „dobrych czasów“ płaca jako téż stopa procentowa stoją wyżéj, opadają zaś obiedwie w „złych okresach.“ Wszystko to przeczy twierdzeniu, jakoby płaca miała zależéć od stosunku między liczbą robotników, a zasobem kapitału. Błędnym tedy będzie ten pewnik, z którego ono powstało, mianowicie, że płaca jest uiszczaną z kapitału, zanim zostanie ukończonym wytwór odpowiednéj pracy. Temu ostatniemu twierdzeniu, jednemu z zasadniczych poglądów ekonomii klasycznéj, ekonomista amerykański przeciwstawia co następuje: „Zarobek pokrywa się nie z kapitału, lecz z owocu pracy, za którą pobiera się zapłatę“ (str. 15). Z tego źródła mają pochodzić wszystkie błędy ekonomii (1). Prawdziwości tego ostatniego swego twierdze-

---

(1) Mianowicie: że przy niskiéj płacy roboczéj więcéj robotników otrzymać może zajęcie; że wysokość zysku jest w odwrotnym stosunku do wysokości zarobku i zależy od kosztów utrzymania robotnika; że wzrost kapitału wpływa na wzrost przemysłu;

nia o pochodzeniu płacy (czy też „zarobku," jak chce polski tłómacz) dowodzi George przykładami praktycznemi. W Ameryce np. panuje zwyczaj, że załoga okrętów, udających się na połów wielorybów, nie otrzymuje stałej zapłaty, lecz tak zwaną „stawkę" tj. pewną część połowu: kiedy więc okręt zawita z powrotem, „ładunek jego zawiera nietylko zarobek całej załogi, lecz również zyski właścicieli i zwrot kosztów za zapasy zużyte pod czas drogi. Czyż nie jest jasném, że ten zarobek załogi jest częścią wytworów pracy i nie pochodzi z kapitału" (str. 34). Pewne stowarzyszenie akcyjne z San Francisco wyséła ludzi do zbierania jaj, a następnie po ukończeniu sprzętu płaci im gotówką. „Czyż pieniądze nie przedstawiają tutaj jaj, że sprzedaży których zostały otrzymane? i czyż taki zarobek nie jest zarówno wytworem pracy, jakby nim były jaja, zebrane przez kogoś na własną korzyść, bez pośrednictwa kapitalisty" (str. 35)? Temi i wieloma podobnemi przykładami stara się George dowieść, że „praca zawsze poprzedza zarobek" (czemu nigdy nie przeczyła ekonomia klasyczna) i że płaca nie z kapitału, lecz z owocu pracy się pokrywa. Podług niego, robotnik pracodawcy daje pracę, a w zamian otrzymuje pewną część owocu tejże, nie uszczupla tedy kapitału. Wprawdzie przedsiębiorca wypłaca w gotówce, atoli za to wziął wytwór (1). Jednem słowem „wypłata zarobku każe przypuszczać zawsze uprzednie wydatkowanie pracy. Lecz co może zawierać w sobie owo wydatkowanie pracy przy produkcyi? Nic innego jak tylko wytworzenie się bogactwa, które staje się kapitałem dopiero wtedy, gdy jest wymienione, lub użyte do dalszego wytwarzania. A zatém kapitał, wynagradzający robotników, każe przypuszczać wytworzenie innego kapitału przez tę właśnie pracę, za którą wypłacamy zarobek. Co się więc tyczy kapitalisty, który osiąga zwykle zyski, zarobek wypłacony przez niego jest jedynie zwróceniem robotnikowi pewnéj części kapitału, otrzymanéj dzięki pracy tegoż. Robotnik zaś pobierając zarobek, otrzymuje tylko część kapitału, wytworzonego przez swą pracę" (str. 37).

że musi istniéć zapasowy kapitał na nabycie pracy, zanim praca do działania przystąpi, że wzrost kapitału rozwija lub jest w stanie rozwinąć nową gałąź przemysłu, i t. d. (str. 16).

(1) A jeżeli przedsiębiorca nie wyprzeda tych towarów? jeżeli za nie nigdy nie otrzyma należności?—fakty tego rodzaju są obecnie na porządku dziennym. Wszak podług obliczeń, 20% całego obecnego wytworu Anglii ginie podczas kryzysów, lubo za nie robotnik otrzymał już płacę. Wszak Anglia dotrzymuje na rynku powszechnym placu jedynie tylko dzięki kredytowaniu swym kundmanom, a któż poręczy za ich wypłacalność?

Oto pierwsze „wielkie“ odkrycie George'a: płaca pokrywa się nie z kapitału, lecz z owocu pracy, za którą się pobiera zapłatę. Niestety jednak, odkrycie to (1), mające zwalić cały gmach ekonomii klasycznéj, jest po prostu śmiesznem *qui pro quo*. Zaiste, dajmy na to, że niejaki X zamierza założyć fabrykę kotłów parowych. Dla prowadzenia procederu potrzebuje posiadać fundusze na kupno maszyn, surowcu, wybudowanie, lub wynajęcie budynków, nareszcie pewną ilość pieniędzy na opłacenie robotników. Ogół tych funduszów stanowi kapitał naszego przedsiębiorcy. Wypłaca on, przypuśćmy zapłatę co tydzień, wytwór zaś wykończa się dopiero po miesiącu; przez miesiąc więc czasu musi on zaspakajać robotników ze swego kapitału, a dopiero po tym czasie może sprzedać wyrobione kotły (pytanie jeszcze, czy znajdzie nabywców). Wprawdzie, po tygodniu itd. posiada on większą wartość niż na początku procederu, lecz to nie zmienia postaci rzeczy, zawsze bowiem musi pokrywać zapłatę z poprzednio nagromadzonego kapitału. Weźmy zresztą przykłady samego George'a. Przedsiębiorcy wysełają okręty na połów wielorybów; podczas wyprawy dają strawę majtkom. Załoga po wyprawie powraca do domu i w zapłacie otrzymuje pewną część przywiezionego wytworu. Zanim go więc dostarczyła, utrzymywała się z zasobu kapitalisty, z jego kapitału. Jeżeli nasz autor twierdzi, że „zapłata zarobku każe przypuszczać uprzednie wydatkowanie pracy,“ to my od siebie dodamy, że jeszcze zgoła nie każe ona przypuszczać uprzedniéj sprzedaży wytworu pracy. Rzecz ma się tak: przedsiębiorca najmuje robotników, zabiera wytwór ich pracy, a wypłaca im zarobek, równający się jedynie pewnéj części téj wartości, która zawartą jest w wytworze. Atoli zarobek pokrywa się nie z wartości wytworu, lecz z zakładowego kapitału (ten kapitał jest owocem uprzedniéj pracy, lecz nie téj, która pobiera zapłatę). Powód błędu ze strony ekonomisty amerykańskiego tkwi w tém, że pomieszał on z sobą dwie różne rzeczy: bogactwo, z którém wszczynamy produkcyę (kapitał zakładowy) z bogactwem, które otrzymujemy z procederu.

Dla George'a fałszem jest, aby „musiał istnieć zapasowy kapitał zanim płaca do działania przystąpi“, lub aby „wzrost kapitału wpływał na wzrost przemysłu.“ Rzeczywiście, twierdzenia te nie stosują się do pionierów i osadników dalekiego Zachodu Ameryki północnéj, ani też do Robinsonów lub innych ulubieńców ekonomii amerykańskiéj, lecz dla wielkiego przemysłu (a nawet i dla średnie-

(1) Zresztą nie nowe; już Ramsay twierdził coś podobnego.

go) Europy stanowią one fakt niezaprzeczalny. Dowodzić tego nie potrzebuję, samo życie wskazuje na to na każdym kroku.

III.

Ekonomia klasyczna jest ekonomią fatalistyczną; przypada ona na ten okres kapitalizmu, kiedy wybijał się on dopiero z powijaków i pęt cechowo-feudalnych, kiedy nie wlókł jeszcze rezerwy głodnych najmitów i nie zasmakował w kryzysach. W swéj teoretycznéj walce ze „starym porządkiem“ dzieli ona wszystkie instytucye społeczne na „sztuczne“ lub „naturalne.“ Oczywiście, projektowane przez nią i bronione instytucye są naturalnemi, są to „prawa człowieka“, jak powiada francuska „deklaracya,“ są to—jak znowu powiada ekonomia—„niezależne od czasu prawa przyrodzone, wieczne, które zawsze rządzić będą społeczeństwem.“ Ale z pośród tych instytucyi „naturalnych“ poczynała już wtedy wychylać głowę przeraźliwa zmora proletaryatu (czyli raczéj, właściwy ustrojowi cechowo-feudalnemu pauperyzm poczynał przybierać nowe, dotąd nieznane kształty i rozmiary, pojedynczy włóczęga „staréj swawolnicy Anglii“ wytwarzać zaczynał „armią głodnych najmitów“). Do jakich instytucyi zaliczyć pauperyzm? Czy jest to twór „naturalny,“ kategorya wieczna, „żelazna,“ nieubłagana? czy to też „sztuczna,“ wynik nie „praw przyrodzonych“, lecz stosunków społecznych? W obec takiego pytania, ekonomia klasyczna dwie posiadała drogi wyjścia: albo ogłosić pauperyzm za wynik prawa „żelaznego,“ „naturalnego,“ albo też za winnego obwołać kapitalizm. Oczywista, że wybrała pierwszą i przez usta Malthusa obwieściła światu nowe „żelazne“ prawo: ludzkość rozmnaża się w stosunku geometrycznym jak: 1, 2, 4, 8, 16... wówczas kiedy środki pożywienia wzrastają arytmetycznie: 1, 2, 3, 4, 5... Nędza tedy jest zjawiskiem naturalném, nieubłaganém. Z prawa tego, (które acz nie ściśle i falszywie, formułuje przecież, zdaniem mojém istniejące i właściwe pewnéj fazie ewolucyi ekonomicznéj stosunki społeczne) uczyniła ona prawo wieczne, niezmienne. Za jego pomocą objaśnia równoległy z „postępem“ (tj. rozwojem kapitalizmu) rozwój nędzy społecznéj. W swém dziele „Postęp i Nędza,“ George wykazuje (i te stronice stanowią bezwarunkowo najlepsze ustępy jego książki), że pauperyzm tkwi nie w czynnikach, wskazywanych przez Malthusa, lecz jest tworem zupełnie odmiennych warunków.

Mianowicie, ekonomista amerykański poszukuje źródła nędzy w tych warunkach, które utrudniają człowiekowi dostęp do ziemi, tj. do „tych wszystkich materyi, sił i korzyści, które natura daje darmo

człowiekowi.“ Wskutek tego, że „ziemia“ w prywatném znajduje się posiadaniu, na dolę kapitału i pracy dostaje się zaledwie to, co im pozostawić raczy renta gruntowa, tj. część, pobierana z plonów przez właściciela gruntów. „Wytworzone w każdym kraju dobra zostają podzielone w ten sposób na dwie części linią, którą możemy nazwać linią renty gruntowéj.“ Linię tę określa nasz autor zgodnie z Rikardowską teoryą jak następuje: renta z pewnego kawałka gruntu równa się różnicy między wydajnością jego a najgorszego z pośród uprawianych gruntów (przypuszczając, że wszystkie kawałki gruntu są jednakich rozmiarów i równy pochłaniają wydatek pracy i kapitału). W miarę tego jak ludzkość podejmuje uprawę coraz gorszéj roli, obniża się linia renty gruntowéj, renta zatém wzrasta, a tém samém zmniejsza się część, pobierana przez kapitał i pracę po społu. Wszystko zaś wśród postępu ludzkości zmierza ku takiemu obniżeniu jakościowéj skali gruntów: ludność np. wzrasta i żąda większéj ilości pokarmu, opału itd.,—należy się zatém brać do uprawy gorszych gruntów; rozwój nauki, techniki itp. zwiększając wytwórczość pracy i pozwalając na lepsze i obfitsze zaspakajanie potrzeb, zradza wśród ludzkości nowe, lub podnosi dawne wymagania,—dla zadowolnienia czego znowu potrzeba nowych „darów przyrody,“ a więc znowu trzeba obniżyć skalę linii gruntowéj, itd., itd. Zaczém znowu wzrasta renta gruntowa, i w ogóle pochłania wszystkie plony cywilizacyi. Kapitał pracuje, technika zwiększa wytwórczość pracy stokroć lub więcéj razy, koleje żelazne łączą dalekie okolice, nauka kiełzna dzikie siły natury, wzrastają miasta, a praca upada pod brzemieniem wysiłków—lecz cóż? oto wszystkie owoce techniki, nauki, pracy pożera renta gruntowa. Ona to kapitał pozbawia zysków, pracę spycha w przepaść nędzy i pauperyzmu, skutkiem czego robotnik musi poprzestać na płacy, zapewniającéj mu jedynie niezbędne utrzymanie; ona to monopolizuje wszystkie plony cywilizacyi, wszystkie owoce postępu. Stanowi to drugie „wielkie“ odkrycie George'a. W monopolu gruntów należy szukać źródła wszystkich nieszczęść społecznych, tu leży rdzeń nędzy i pauperyzmu (1).

Taką jest podług ekonomisty amerykańskiego geneza pauperyzmu, a tém samém tego też zjawiska, że wraz z postępem wzrasta nędza. Stanowi to nić przewodnią wszystkich wywodów naszego autora i służy za punkt oparcia jego postulatów działalności praktycznéj. Wychodząc z powyższego, żąda on upaństwowienia renty gruntowéj (lecz nie gruntów i rolnéj produkcyi, jak to mylnie wielu

---

(1) Coś podobnego temu „odkryciu“ George'a odkryli już utopijni ekonomiści angielscy z przeszłego stulecia.

mu przypisuje). Jednėm słowem, nędza podług naszego autora wynika z wytwarzających rentę przywilejów i wyłącznie z takowych.

Jak widzimy, autor „Postępu i Nędzy“ przyjmuje Rikardowską teoryą renty gruntowėj, z pewnemi atoli zastrzeżeniami. Mianowicie „wzrost ludności rzadko a prawdopodobnie nigdy nie zmniejsza przyrostu produktu w porównaniu do dodatkowych wkładów pracy, lecz wprost przeciwnie, w większości wypadków w wysokim stopniu go podnosi“ (str. 154). Rikardo, Malthus i klasycy odmiennego są zdania.

W pierwszém swém odkryciu George zakwestyonował antagonizm między pracą a kapitałem, lubo go jeszcze nie zwalczył; w drugiém odsłonił sprzeczność interesów, istniejącą między rentą gruntową z jednėj, a kapitałem i pracą z drugiėj strony. Przejdziemy teraz do trzeciego „odkrycia“, mianowicie jakoby procenty (1), pobierane przez kapitał, stwarzała natura.

Autor „Postępu i Nędzy“ odróżnia trzy rodzaje produkcyi: „*przystosowywanie* czyli zmianę kształtów, lub miejsca wytworów naturalnych tak, by się stały zdatnemi do zaspokojenia wymagań człowieka. *Powiększanie* lub zużytkowanie twórczych sił przyrody, np. hodowlą roślin lub zwierząt. *Wymiana* lub zużytkowanie, w celu dodania do ogólnej sumy bogactwa wyższėj potęgi sił przyrodzonych, zależnych od miejscowości lub potęgi sił ludzkich, zależnych od położenia, zajęcia, lub charakteru osobistego“ (str. 122). W pierwszym razie człowiek przy pomocy kapitału zmienia jedynie kształty lub miejsce różnych wytworów. Młynarz np. zamienia zboże na mąkę, a furman ją przewozi do składów lub piekarni. Żadna nowa wartość nie została tu stworzoną, lecz jedynie wartość już istniejąca przyjęła inną formę. Inaczėj przy hodowli, t. j. w drugiego rodzaju produkcyi: „Lecz ogół bogactwa nie składa się wyłącznie z takich przedmiotów jak héble, tarcice, lub pieniądze, a wytwarzanie nie ogranicza się jedynie na przekształcaniu martwych tworów przyrody. Prawda, iż mój zasób pieniężny nie powiększy się, gdy go odłożę. Lecz przypuśćmy, że zaoszczędzę pewną ilość wina. Po upływie roku wartość jego zwiększy się, gdyż wino stanie się smaczniejszém, t. j. gatunek jego polepszy się. Albo też przypuśćmy, że korzystając ze sprzyjających warunków, zaprowadzę pasiekę; w końcu roku będę posiadał większą ilość rojów i w dodatku zrobiony przez pszczoły miód... Czynnikiem w tych razach, powiększającym zasób, jest coś

---

(1) „Procentem“ zowie nasz autor *wszelki* dochód z kapitału. Można nawet rzec, że „procent“ ten poniekąd odpowiada „rencie“ Rodbertusa, a „wartości dodatkowėj“ Marxa.

zupełnie różnego od pracy i odrębnego od niéj, jakkolwiek dla zużytkowania go wymaganą jest praca; czynnikiem tym jest działalność przyrody, zasada wzrostu i odtwarzania, cechująca wszelkie postaci tego tajemniczego zjawiska, które zowiemy życiem“ (str. 118 — 119). Mamy więc tu przyrost wartości bez pracy ludzkiéj, który bywa niejednakowym dla różnych hodowli (innym jest np. w rolnictwie, a innym w ogrodnictwie, hodowli pszczół i t. d.), co więcéj różnym też jest dla téj saméj gałęzi rozpatrywanego gatunku produkcyi w odmiennych miejscowościach. To wprowadza nas w dziedzinę trzeciego rodzaju produkcyi, w sferę wymiany. „W jedném miejscu np. dana ilość pracy zapewni 200 jednostek pożywienia roślinnego lub 100 jednostek pożywienia zwierzęcego. W innem miejscu warunki są wprost przeciwne i ta sama ilość pracy wytworzy 100 jednostek pożywienia roślinnego, lub 200 zwierzęcego. W pierwszéj miejscowości względna wartość pożywienia roślinnego odnosi się do wartości pożywienia zwierzęcego jak dwa do jednego, w drugiéj zaś jak jeden do dwóch; a przypuściwszy, że wymagane są jednakowe ilości pożywienia obu gatunków, ta sama praca wytworzy w obu razach 150 jednostek każdego gatunku. Lecz jeżeli mieszkańcy pierwszéj miejscowości zajmą się wyłącznie wytwarzaniem pożywienia roślinnego, mieszkańcy zaś drugiéj — wyłącznie wytwarzaniem pożywienia zwierzęcego i zamienią następnie wytwory swe w ilościach żądanych, będą oni w stanie wytworzyć przy téj saméj pracy 200 jednostek każdego pożywienia po potrąceniu strat i kosztów wymiany, tak, że wytwory wycofane z użytku i przeznaczone do wymiany przyniosą przybytek w każdéj miejscowości“ (str. 120).

Taką jest teorya wartości naszego amerykańskiego ekonomisty. Oryginalną, t. j. niezależnie wysnutą przez swego twórcę być ona może, lecz zgoła nie jest nową. Stanowi ona własność fizyokratów i wraz z niemi w Europie zstąpiła przed stuleciem do grobu.

Przyjmując teoryą Rikardowską, George musi też przyjąć podścielisko téj teoryi, mianowicie że wartość wytworów gruntu (to jest „wszystkich tych sił, korzyści i materyi, które przyroda daje darmo człowiekowi“, innemi słowy, tych twórczych czynników, które działają przy „powiększaniu“) określa się wartością tych, które pochodzą z gruntów najgorszego gatunku. Tak więc wartość pszenicy normować się będzie produkcyą pszenicy na glebie ostatniéj klasy, miodu zaś — hodowlą pszczół w najniedogodniejszych warunkach. Dajmy na to, że korzec pszenicy kosztuje 8 rs., a jego produkcya na gruntach najgorszego gatunku pochłania 6 rs. kosztów — wtenczas „stworzona przez przyrodę“ na każdym korcu wartość będzie równała się dwom rublom, które spływają jako „procent“ do kieszeni

kapitalisty. Lepsze pola od gorszych różnią się jedynie większą wydajnością sprzętu. Weźmy np. dwa jednakiéj wielkości pola, z których jedno, należące do ostatniéj kategoryi gruntów, daje dziesięć, a drugie lepsze piętnaście korcy sprzętu, lubo koszta produkcyi (w koszta te włączamy już siłę roboczą) te same. Obliczając na zasadzie powyższego koszta te, otrzymamy, że z kawałka gruntu wynoszą one rubli 60. W ten więc sposób z kawałka gruntu najgorszego gatunku otrzymujemy 10 rubli procentu; wartość zaś „stworzona przez siły przyrody“ na drugim z rozpatrywanych kawałków gruntu wynosi rubli 120, mniéj koszta produkcyi (równe jak wiadomo 60 rublom), ztąd 20 rubli zabiera jako procent kapitalista, resztę zaś jako rentę gruntową właściciel ziemski.

Tak tedy widzimy, na zasadzie teoryi autora „Postępu i Nędzy“, procent kapitalisty i renta właściciela ziemskiego jednako powstają ze „stworzonéj przez siły przyrody“ wartości. Co do procentów, sam on to przyznaje: „procent pochodzi z możności wzrastania, jaką nadają kapitałowi twórcze siły przyrody i analogiczna z niemi w skutkach swych zdolność wymiany“ (str. 123). Z tego punktu nasz autor krytykuje historycznéj sławy przykład Bastiata. Wilhelm pożycza od Jakóba hébel, lecz przemysł stolarski żadnéj nowéj nie stwarza wartości (stanowi on bowiem zwykłe „przystosowywanie“), a jedynie zwraca koszta produkcyi—pożyczenie więc hébla nie może być źródłem procentu; ekonomista amerykański zamiast hébla cytuje cielę. Wilhelm zatém pożycza to cielę, a ono wyrasta, staje się krową i t. d. — przyroda stwarza tu nową wartość, nie będąc niczyjéj pracy owocem, a tylko podarunkiem szczodréj naszéj rodzicielki. Jakób więc ma prawo żądać od Wilhelma, aby oddał mu pewną część tego podarunku—i oto geneza pobieranych przez kapitał „procentów.“ Atoli, lubo względem procentów George wypowiada się jasno, nie czyni tego wszakże odnośnie do renty gruntowéj. Zkąd się ona wzięła, napróżno pytaliśmy się o to jego książki. Wychodząc z założeń naszego ekonomisty, dowiedliśmy, że renta gruntowa zarówno jak procenty są tworem hojnéj natury, geneza ich jest jednakową. Tém bardziéj przeto powinna nas dziwić postawa autora „Postępu i Nędzy.“ „Procent jest rzeczą naturalną a nie dowolnie umówioną; jest on następstwem praw ogólnych, którym podlega społeczeństwo, a nie szczególnych ustrojów społecznych. Jest zatém sprawiedliwym“ (str. 123). Zupełnie inaczéj zaś zapatruje się on na rentę gruntową. Zkąd taka podwójna miarka? Odpowiedzi na to należy pono szukać nie w naukowych założeniach naszego autora, ale w jego indywidualnych sympatyach i antypatyach.

Procenty więc są tworem matki-przyrody, lecz jest ona tak szczodrą i łaskawą jedynie dla *niektórych* gałęzi produkcyi, mianowicie dla tych, wśród których działają „twórcze siły.“ Wskutek tego na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że kapitał nie we wszystkich, lecz tylko dla niektórych gałęzi przemysłu procentuje. Było tak niegdyś: „Początkowo (co za szkoda, że autor nie określił bliżéj miejsca i czasu!) wszystkie korzyści pochodzące z użytkowania przypadają w udziale pracy, korzyści zaś pochodzące z przybytku — kapitałowi.“ Obecnie jednak minęły te błogie i pono nigdy na globie ziemskim nieistniejące czasy. Mianowicie „ponieważ podział pracy i zamienność bogactwa spowodowywują istnienie wspólnéj miary wszelkich korzyści przynajmniéj o tyle, o ile gałęzie wytwarzania łączą się z sobą, to z czasem — korzyści, wynikające z jednéj gałęzi muszą być niejako zrównoważone przez korzyści, wynikające z innych gałęzi wytwarzania; nikt bowiem nie zechce włożyć swego kapitału i pracy w jedną gałąź wytwarzania, jeżeli włożenie ich w którąkolwiek z innych gałęzi mogłoby zapewnić mu większy dochód.“ Które-to wyrównanie ostatecznie doprowadza do tego, że procenty, pobierane przez kapitał w różnych produkcyach, w prostym do rozmiarów kapitału znajdują się stosunku. Tych samych rozmiarów kapitał będzie dawał tę samę sumę procentów, bez względu czy włożonym będzie w „przystosowywanie“, czy też użytym do „hodowli.“

Idźmy jednak daléj. Weźmy dwa połączone z sobą zbiorowiska wody, w obu woda na tym samym stać będzie poziomie, a zatém skoro zmniejszymy jéj ilość w jednéni, poziom jéj w drugiém również opadnie. Taki sam stosunek ma istniéć, podług George'a, między rozmiarami zarobku a zysków. „Naturalnie nie mówimy tego o szczególnych zarobkach lub o szczególnym procencie, ale o ogólnéj normie zysków i ogólnéj stopie procentu“ (str. 131). Procenty posiadają pewne naturalne granice: maximum równa się całemu plonowi z przedsiębiorstwa, minimum zaś zeru. Wśród tych kresów waha się „linia procentów.“ „Ta normalna wysokość procentu, która leży pomiędzy koniecznéni maximum i koniecznéni minimum dochodu od kapitału, musi być taką, aby zważywszy wszystkie warunki (jak np. zabezpieczenie, chęć nagromadzenia i t. d.) wynagrodzenie kapitału było równém wynagrodzeniu pracy, t. j. aby dawało równie ponętny rezultat za uczynione usiłowania, jak i za poniesione poświęcenie“ (str. 130.—Gdzież znaleść wspólną skalę dla wysiłków kapitału i pracy?). „Musi istnieć jakiś punkt, przy którym, lub raczéj około którego stopa procentu dąży do ustalenia się; gdyż w braku takiéj równowagi praca nie zgodziłaby się korzystać z kapitału (jak gdyby od wolnego najmity zależało sprzedawanie swéj siły!), a ka-

pitał nie oddawałby się na usługi pracy“ (jak gdyby nie o zysk chodziło kapitałowi!) str. 130. „Po określeniu tego stosunku staje się oczywistém, że procent i zarobek muszą podnosić się i spadać jednocześnie i że procent nie może się powiększyć bez wzrostu zarobku, ani téż zarobek nie może się zmniejszyć bez straty procentu. Gdyż jak tylko zarobek spada, procent musi spaść w tym samym stosunku, bo inaczéj byłoby korzystniejszém zamienić pracę na kapitał niż zastosować ją bezpośrednio; podobnież gdy procent się obniża, zarobek musi spaść w tym samym stosunku, gdyż inaczéj tamowanym by był wzrost kapitału“ (str. 131). Jeżeli się nie mylimy, całe to rozumowanie zmierza ku temu, aby wykazać, że praca dowolnie może przeobrażać się w kapitał, robotnik zaś w kapitalistę. A więc niech przedsiębiorca manczesterski lub z Birminghamu liczy się z wymaganiami swych robotników, bo inaczéj zgromadzą oni kapitał i nadto rywalizować poczną ze swym dawnym pryncypałem! Lecz dość żartów. Właściwe ustrojowi cechowemu i jeszcze dzisiaj, zwłaszcza w koloniach przejawiające się sporadycznie zjawisko podniósł nasz ekonomista do poziomu objawu ogólnego!

Rozpatrując bezwzględną wielkość zarobku, widzimy tu ciągłą tendencyą do osiągnięcia pewnéj równowagi. „Na ujednostajnienie to wpływa znacznie zrównanie cen, gdy ludzie pracują sami dla siebie; ta sama dążność ujednostajnienia objawia się również pomiędzy tymi, co pracują dla siebie, a tymi, co pracują dla innych“ (str. 134). Jeżeli wolny najmita otrzymywać będzie mniéj od samodzielnego wytwórcy, wtenczas zaprzestanie sprzedawać swą siłę roboczą i założy na własną rękę warsztat; jeżeli będzie zarabiał więcéj, wtedy samodzielni wytwórcy zstąpią do szeregów najmickich, obniżając płacę do poziomu zarobku z samodzielnego rzemiosła. Takie są prawa, określające płacę. W saméj rzeczy spotykamy je w pewnych fazach ekonomicznego rozwoju kolonii, lecz nie wśród obecnych warunków, w jakich pogrążoną jest Europa. Tutaj, acz przejście od drobnego samodzielnego rzemiosła (włościanin, rzemieślnik) do stanowiska najmity jest nader łatwem, przecież odwrotny ruch dla całéj masy najmitów jest niemożliwym. Płacę wtedy określają inne warunki, sprowadzające ją do poziomu niezbędnego utrzymania, co ostatecznie przyznaje téż autor „Postępu i Nędzy“.

Oto w najogólniejszych zarysach teorya wartości i podziału, jak ją znajdujemy w „Postępie i Nędzy“; jéj podstawę stanowi twierdzenie, jakoby w pewnych produkcyach siły przyrody wytwarzały wartość. Autor nasz pomieszał tu z sobą dwie różne rzeczy: wartość użytkową a zamienną. Siły przyrody uczestniczą przy wytwarzaniu wszelkiego wytworu, lecz wpływają tylko na wartość użytko-

wą. Wartość zaś, o jakiéj rozprawia ekonomista amerykański, jest to wartość zamienna, t. j. stosunek natury społecznéj. Przyroda nie odgrywa tu żadnéj roli (? *Red.*). Wartość zamienną określa wydatek pracy ludzkiéj, spoczywający w wytworze. Wydatek ten — że w tém miejscu powołamy się na Supińskiego —mierzy się czasem roboczym, niezbędnym przy istniejących warunkach do wytworzenia nowéj sztuki tego samego przedmiotu. Robotnik wytwarza produkt, a część jego wartości, która pozostała po odtrąceniu narzędzi, materyałów i płacy, idzie do rąk chlebodawcy, a ztąd dzieli się wśród społeczeństwa pod różnemi nazwami (procenty, zyski, dywidendy, renty, podatki i t. d.). Raz stanąwszy na takiém stanowisku, z łatwością możemy wyjaśnić ten fakt, czemu zarobek wzrasta lub zmniejsza się równolegle z wzrostem lub spadaniem stopy procentowéj. Wilhelm pożycza od Jakóba pewien fundusz i najmuje Józefa, który dlań wytwarza. Po zaspokojeniu Józefa, zwrocie kosztów produkcyi i t. d., Wilhelmowi pozostaje się pewna suma, z któréj Jakóbowi wypłaca procenty, zatrzymując resztę jako zysk. Dajmy na to, że z różnych powodów (nowe rynki i t. d.) na produkty Wilhelma nastąpiło większe niż dotąd zapotrzebowanie, Wilhelm więc rozszerza swe przedsiębiorstwo, co téż czynią i inni przedsiębiorcy. Zapotrzebowanie kapitału i pracy się wzmaga, a z tém wzrasta stopa procentowa i zarobek. Jakób wyższą otrzymuje stopę procentową, Józef pobiera większą płacę, a Wilhelm sprzedaje więcéj wytworów. Odwrotnie znowu dzieje się, kiedy nastąpią „złe“ czasy. Zjawisko więc, polegające na tém, że wraz z stopą procentową wzrasta lub spada zarobek, objaśniamy tém, że przedsiębiorca nie zawsze prowadzi proceder za swe własne fundusze — co znowu każe domyślać się jednoczesnego istnienia dwóch społecznych postaci: kapitalisty-wierzyciela i przedsiębiorcy-dłużnika. Odpowiednio do tego przeciwstawiają się dwie kategorye dochodu: procent (Zins) i zysk (Gewinn). Nasz autor połączył je w jedno. Oto całe objaśnienie faktu, który w oczach naszego autora niepomiernie wyrósł. I tu więc spotykamy się z pewném *qui pro quo.*

IV.

Skończyliśmy. Rozbierając ekonomiczne teorye George'a, ograniczyliśmy się do najważniejszych punktów; trzymaliśmy się zaś najgłówniejszego jego dzieła: „Postępu i Nędzy.“ Inne dzieła, np. „Kwestye społeczne“, „Upaństwowienie gruntów“ są tylko wyrazem praktycznych jego żądań lub téż rozbiorem oddzielnych zjawisk (amerykańskiego) życia ekonomicznego.

Jak widzimy całą swą teoryą oparł nasz autor na trzech następujących twierdzeniach:

1. Ekonomia polityczna nie odróżnia należycie „ziemi“ od „kapitału“ i błędnie określa funkcye kapitału, twierdząc, jakoby zarobek pokrywał się nie z owoców pracy, lecz z kapitału.

2. Procenty wytwarza przyroda, a zatém nie pochodzą one z pracy robotnika. Wskutek czego nie może być mowy o jakichkolwiek między pracą a kapitałem antagonizmach.

3. Natomiast istnieje antagonizm między rentą gruntową z jednéj, a kapitałem i pracą z drugiéj strony. Z postępem renta wzrasta i wszystkie plony cywilizacyi na swą wyłączną zagarnia korzyść, zradzając tym sposobem nędzę. Prawa Malthusa, za pomocą których dotychczasowa ekonomia objaśniała równoległy postępowi wzrost nędzy, są tylko przywidzeniem.

Ostatnie twierdzenie stanowi też odpowiedź na postawione tuż na wstępie do „Postępu i Nędzy“ pytanie: czemu równolegle z postępem wzmaga się nędza. Upatrując źródło wszelkiéj niedoli w istnieniu renty gruntowéj, ekonomista amerykański żąda jéj zniesienia, czyli raczéj upaństwowienia (co jednak nie pociąga za sobą zniesienia prywatnéj własności samego gruntu). Jest to jedyne praktyczne żądanie naszego autora, stanowiące całą treść jego działalności.

Na trzy powyższe tezy odpowiadamy jak następuje:

1. Autor „Postępu i Nędzy“ pomieszał dwie całkiem różne rzeczy, mianowicie bogactwo wytwarzane przez robotnika, a bogactwo, za które przedsiębiorca prowadzi interes. Zarobek najmity pokrywa się nie z owocu jego pracy, lecz z funduszów zapasowych, lubo jest on jedynie spłatą, równoznacznikiem pewnéj części tego „owocu pracy.“ Cała polemika, wymierzona w rozbieraném dziele przeciw ekonomistom—jest nieuzasadnioną. Nareszcie, w obecnych warunkach ekonomicznych niema téj przepaści, jaka ma niby istnieć między kapitałem a ziemią.

2. Przyroda nie wytwarza ani źdźbła (?) wartości zamiennéj, acz stwarza ona wartość użytkową. Pierwsza ta wartość jest tworem społecznym i jako taka różni się od ostatniéj, będącéj jedynie wyrazem stosunku człowieka do przyrody, nie wyrażającéj atoli żadnego stosunku społecznego. Jedyną wartościo-twórczą siłą społeczną jest praca.

3. Podług naszego autora, renta — to jedyny kozioł ofiarny za wszystką nędzę na świecie. Wywnioskował on to na zasadzie dwóch pierwszych tez. A ponieważ okazały się one błędnemi, przeto upada sam przez się wyprowadzony z nich wniosek. Proponowane tedy

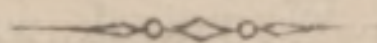
przez George'a środki „radykalne“ przybierają postać co najwyżéj półśrodków albo téż zupełnie chybiają celu.

Na zakończenie, jeszcze kilka słów powiemy o związku między poglądami naszego autora a jego otoczeniem. Dzieła jego świetną stanowią ilustracyą tego twierdzenia, że społeczne poglądy noszą na sobie piętno tych realnych warunków, wśród których wzrósł i umysłowo dojrzał ich twórca. (Oczywiście, rozszerzać się zbytnio nie będziemy).

Na wieść o znalezieniu złota w Kaliforni — a tu autor „Postępu i Nędzy“ spędził prawie całe swe dotychczasowe życie — całe tłumy żądnych złota awanturników rzuciły się do tego nowego Eldorado. Wkrótce powstało S. Francisco i inne miasta, a odludna ongi Kalifornia przybrała postać „oryginalnego“ kraju cywilizowanego. Przybywali tu ludzie bez grosza w kieszeni, wychodzili milionerami; człowiek, który gdzieś na pustkowiu przywłaszczył sobie kawał ziemi, budził się nazajutrz wśród gwaru miejskiego. Na jego gruntach wznosi się miasto, a on jako rentę z swego majątku otrzymuje bajeczne dochody. Wszyscy mu niosą część swego zysku: kupiec, przedsiębiorca, robotnik. W pierwszéj chwili rozkwitu miasta stanowi on najgłówniejszą i najwybitniejszą pijawkę społeczną. Nie tak rzecz ma się z przedsiębiorcami. Robotnicy ciągle ich porzucają, zmieniając swych pracodawców lub rzucając się w pogoń za złotem w dalsze zakątki Kaliforni. Kapitał poniekąd znajduje się na łasce robotnika, a nader często dzisiejszy robotnik staje się jutro przedsiębiorcą. Antagonizm między kapitałem a pracą ściera się i maleje, a za to do olbrzymich rozmiarów wyrasta antagonizm między posiadaczami z jednéj, a pozostałemi warstwami społecznemi z drugiéj strony. Oto geneza teoryi George'a, że nie kapitał dyktuje warunki pracy, ale na odwrót.

W ten sam sposób, krok za krokiem moglibyśmy prześledzić genezę innych poglądów ekonomisty amerykańskiego, a mianowicie, że tkwią one w zjawiskach, których areną była Kalifornia podczas pierwszych chwil swego historycznego debiutu. „Postęp i Nędza“ — to tylko sformułowanie ekonomicznych stosunków téj chwili — nic nadto. Nie można więc w dziele George'a szukać wyjaśnień dla ekonomicznego życia Europy.

Lud. Krz.





VOLAPÜK,

SZTUCZNY JĘZYK POWSZECHNY.

Oto jest znowu jedna z odwiecznych mrzonek ludzkich, która w cudotwórczym wieku XIX stać się może rzeczywistością i niezmierne usługi okazać ludzkości, usuwając do pewnego stopnia przynajmniéj, tę największą zawadę w stosunkach między narodami, jaką im stawia niezmierna rozmaitość języków, połączona z trudnością ich nauczenia się.

Wynalezienie i upowszechnienie wspólnego, konwencyonalnego języka międzynarodowego jest w zasadzie rzeczą równie możliwą, jak wprowadzenie powszechnéj międzynarodowéj monety i miary. Chodzi tu albowiem tylko o stronę praktyczną tego zadania, tj. ażeby nowowynaleziony język był dla każdego ze wszech miar łatwym do nauczenia się, pomimo zbyt rozmaitych właściwości fonetycznych i gramatycznych każdéj mowy rodowitéj; a następnie, ażeby po wykazaniu tych zalet, język ów potrafił zyskać sobie powszechne przyjęcie w stosunkach międzynarodowych.

Czy tym dwóm warunkom odpowiada niedawno wynaleziony Volapük? niech nam na to odpowiedzą właściwi znawcy i sędziowie w tych rzeczach, tj. lingwiści nasi. Czytelnicy zaś Ateneum i cały nasz ogół myślący byłby im tém wdzięczniejszy za światłe i umiejętne zdanie o tym ciekawym i doniosłym przedmiocie, że o Volapüku posłyszeliśmy bardzo niedawno i badzo niewiele, podczas gdy za granicą, jak mówią, tysiące ludzi ma się go uczyć na dobre.

Zanim tedy i nas ktoś o rzeczywistéj wartości i praktycznéj doniosłości téj nowinki nie raczy należycie objaśnić,—pozwalam sobie zająć, kto tego ciekawy, nieco obszerniejszą wiadomością o tym języku, świeżo zaczerpniętą z bardzo poważnego źródła.

O Volapük była mianowicie mowa na jedném z lipcowych posiedzeń Towarzystwa Antropologicznego Paryskiego. Przemawiał o tém p. *Kerckhoffs*, składając rzeczonemu Towarzystwu egzemplarz swéj wstępnéj prelekcyi (1), o tym nowym języku, który on począł wykładać w wyższéj szkole handlowéj w Paryżu. Oto są jego słowa: „Nie od dziś dopiero, bo już od w. XVII myślano i rozprawiano wiele o potrzebie i możności stworzenia języka powszechnego dla użytku w stosunkach międzynarodowych. Filozofowie raz po raz wynosili ten przedmiot jako wielki środek do ściślejszych związków i jedności między narodami i jako potężną dźwignię cywilizacyi; literaci zaś i poeci jednomyślnie niemal opierali się potrzebie takiego języka, a wielu lingwistów, w naszych czasach nawet, powątpiewało o saméj możności utworzenia takiego języka sztucznego, któryby posiadał istotną wartość praktyczną.

Pomysł ten jednak przyjął się mocno we Francyi w ostatnich latach. Ludzie bowiem praktyczni słusznie rozumowali, że w naszym wieku pary i elektryczności, gdy coraz to nowe potrzeby rodzą się codzień, wszelka niemożliwość wczorajsza, stawać się zwykła nazajutrz zdumiewającą rzeczywistością.

Zresztą nikt już nie myśli o utworzeniu i wprowadzeniu w użycie nowego jakiegoś języka, któryby na wzór greckiego w starożytności a łacińskiego w wiekach średnich, miał się stać organem powszechnym dla nauk i piśmiennictwa. Jest-to marzenie oddawna zaniechane! Jednakże, ponieważ dyplomacya posiada swój język powszechny i wspólny dla stosunków międzynarodowych, wolno jest przeto zapytać, ażali tak samo dla podróżników naszych i wielkich handlarzy nie byłoby korzystnie mieć swój wspólny środek do porozumiewania się nawzajem, środek prosty i praktyczny zarazem, któryby uczynił możliwemi stosunki bezpośrednie między wszystkiemi domami handlowemi tak w Europie, jak i w innych częściach świata.

Żeglarze przytém ze swojéj strony odnieśliby z tego korzyść nie mniejszą, mogąc porozumiewać się nawzajem bądź pośród morza, bądź w głównych portach Oceanu. Wprawdzie państwa morskie przyjęły już w tymże celu rodzaj podobnego języka powszechnego, za pomocą którego marynarze wszelkich krajów mogą porozumiewać się z sobą do pewnego stopnia; lecz jest-to język sygnałowy, służący do porozumiewania się na pełném morzu i na pewną odległość, lecz nieprzydatny zgoła do zwykłéj rozmowy lub korespondencyi.

---

(1) *La langue commerciale universelle.* Exposé de la question et grammaire. Paris. Librairie étrangère de H. Le Soudier.

Co się tyczy przyjęcia któregobądź z języków europejskich np. francuskiego, angielskiego, niemieckiego lub hiszpańskiego za powszechny język międzynarodowy,—to temu stają na przeszkodzie dwie ważne okoliczności: z jednéj strony współzawodnictwo międzynarodowe, a z drugiéj wielkie trudności swego rodzaju, wypływające z saméj nauki tychże języków.

Pierwsze próby utworzenia języka powszechnego sięgają aż do XVII wieku. Od tego to czasu jedni starali się uczynić zadość temu zadaniu przez wynalezienie języka sztucznego, wolnego od zwykłych trudności jakie się napotyka przy uczeniu się naszych języków żywych; inni znowu, i tych było najwięcéj, szukali jedynie wspólnego sposobu zrozumienia się nawzajem przez pismo i w tym celu wynajdywali znaki ideograficzne, tj. takie, za pomocą których wyrazy mające toż samo znaczenie w rozmaitych językach, były by oddane pewnym, znakiem wspólnym; tak np. jak to się dzieje z liczbami w naszym systemie numeracyjnym oraz z naszemi znakami algebraicznemi i geometrycznemi.

Wypadłoby nam tu za długo wyliczać wszystkie prace ogłoszone o tym ciekawym przedmiocie; dość przeto będzie wymienić same nazwiska Dekarta, Leibnitza, Bechera i Wilkinsa w wieku XVII; następnie Kalmara, Bergera, de Cornela, Vatera, de Marmieux, Budeta, Chambry i ks. Sicarda w XVIII wieku; daléj Näthera, Schmieda, Niethammera i Steina oraz Akademią nauk w Kopenhadze na początku wieku bieżącego; nakoniec z czasów najbliższych imiona Sinibalda de Mas, Parata, Paica, de Gablenza, Pizo, Bachmaiera, Sudre, Ochando, Holmara, Caumonta i Letelliera.

Prawdziwe skarby pomysłów i cierpliwości wyczerpano już nad tym przedmiotem, a jednak z 50 czy 60 języków powszechnych wynalezionych w ciągu ostatnich dwóch wieków, trudno byłoby wymienić choć jeden, któryby miał jakąś wartość praktyczną. Były to bowiem, albo układy pasigraficzne, zrozumiałe tylko w czytaniu, lub języki zaledwo przystępne dla samych umysłów wybranych i szczególniéj uzdolnionych, albo też po prostu był to ten lub ów język żyjący, mniéj lub więcéj zręcznie przekręcony *ad hoc*.

Owóż znalazł się nakoniec jeden polyglota współczesny, p. *Schleyer* z Konstancyi, zasłużony pisarz i lingwista zarazem, któremu udało się rozwiązać to trudne zadanie po 20 latach poświęconéj temu mozolnéj pracy.

Systemowi swemu nadał on nazwę *Volapük*, tj. *język powszechny* czyli *wszechświatowy* od wyrazów *pük* = język i *vol* = świat, co znaczy dosłownie: *język świata* całego.

Zapożyczając do ułożonego przez się języka pewnych składników charakterystycznych z rozmaitych języków europejskich, p. Schleyer utworzył z tego całość dobrze uporządkowaną, wielce logiczną i nadzwyczaj prostą.

Oto są niektóre zasadnicze prawidła, dające wyobrażenie o budowie gramatycznéj tego nowego języka:

Rzeczownik,—forma deklinacyi jedyna, bez przedimka.

N. *Dom* = dom
G. *Doma* = domu
D. *Dome* = domowi
Ac. *Domi* = dom

Liczba mnoga tworzy się przez dodanie *s: doms*, *domas*, *domes*, *domis*

Przymiotnik, zawsze bez odmiany tworzy się z rzeczownika przez dodanie końcówki *ik*—

nat = natura; *natik* = naturalny
sap = mądrość; *sapik* = mądry

Zaimek odmienia się tak samo jak rzeczownik:

ob — *obs* = ja — my
ol — *ols* = ty — wy
om— *oms*=on — oni.

Zaimek dzierżawczy tworzy się z poprzedzającego przybierając końcówkę przymiotnikową.

obik — *obsik* = mój — nasz
olik — *olsik* = twój — wasz
omik — *omsik* = jego — ich.

Czasownik w trybie bezokolicznym tworzy się z rzeczownika przez dodanie końcówki: *ön*

tik = myśl; *tikön* = myśléć.

Przez dodanie zaś zaimka do rzeczownika tworzy się czas teraźniejszy.

tikob — *tikobs* = myślę — myślimy
tikol — *tikols* = myślisz — myślicie
tikom — *tikoms* = myśli — myślą.

Wszystkie zaś inne czasy tworzą się z teraźniejszego, przez dodanie z przodu samogłosek: *ä*, *e*, *i*, *o*, *u*

Imperf.	*ä*	tikob.	myślałem
Praeter. perf.	*e*	tikob.	pomyślałem
Plusq. perf.	*i*	tikob.	myślałem był
Futurum 1	*o*	tikob.	będę myślał
Futurum 2	*u*	tikob.	pomyślę.

Pierwiastki wyrazów w Volapük zapożyczone zostały ze wszystkich języków, lecz przeważnie z romańskich i germańskich, a wśród tych najwięcéj z angielskiego.

Kilka przykładów wystarczy dla objaśnienia, jak sobie postępował w téj mierze p. Schleyer. Wyrazy z łacińskiego zapożyczone: *pop* = naród, *pos* = po, *sap* = mądrość, *stel* = gwiazda, *stim* = cześć; z angielskiego: *beg* = prośba, *fid* = żywność; *klin* = czystość, *mit* = mięso, *mun* = księżyc, *tim* czas; z niemieckiego: *bon* = bób, *fel* = pole, *nad* = igła, *nef* = siostrzeniec, *stof* = materya, *vun* = rana.

Chociaż pierwsze prace p. Schleyera o języku powszechnym nie sięgają po za r. 1881, jednakże Volapük liczy już tysiące zwolenników w rozmaitych krajach Europy; zawiązało się już 53 stowarzyszeń dla rozpowszechnienia tego języka nie tylko w Niemczech, lecz w Austryi także, oraz w Holandyi, Szwecyi, Anglii, a nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w Beyrucie w Syryi.

Wyszły téż liczne prace, służące do nauki Volapüku. P. Schleyer, jednocześnie z gramatyką tego języka wydał słownik Volapüko-niemiecki, zawierający około 13 tysięcy wyrazów, a oba te dzieła doczekały się już czwartego wydania. Krótkie gramatyczki tego języka ułożone zostały nie tylko po łacinie i we wszystkich językach europejskich. lecz także po chińsku a nawet po hotentocku w dyalekcie Hama. Przygotowują się téż i mają wyjść wkrótce słownik tego języka dla anglików, francuzów, włochów, hiszpanów i rosyan

Prócz tego istnieją już dwa pisma peryodyczne, wydawane w języku Volapük. jedno p. t. *Volapükabled* z tłomaczeniem obok a drugie *Volapükaklubs* w samym tylko Volapük.

Pierwszy zjazd zwolenników Volapüku odbył się tego roku w Friedrichshaven nad jeziorem Konstanckiém i zgromadził około 300 członków ze wszystkich krajów Europy. Następny zjazd będzie w Norymberdze w r. 1887. Nakoniec wielki kongres międzynarodowy delegatów ze wszystkich stowarzyszeń europejskich i z za oceanu ma się odbyć za lat cztery w Paryżu podczas wielkiéj wystawy powszechnéj."

Dr. J. K.





NOWA GWIAZDA.

Ostatniego dnia sierpnia roku ubiegłego astronom Hartwig w Dorpacie dostrzegł nową gwiazdę w mgławicy Andromedy. Wiadomość ta obeszła nietylko astronomów, ale rozgłoszona przez pisma, żywe wzbudziła zajęcie śród ogółu.

Zajęcie to tłómaczy się łatwo. Jeżeli bowiem przywykliśmy uważać prawidłowość za ogólną cechę wszelkich działań przyrody, to nigdzie jednak nie ujawnia się ona tak wyraźnie, nie odsłania się nam tak jasno, jak w przebiegu zjawisk niebieskich; niebo jest dla nas symbolem spokoju i stateczności, a wszelki „wypadek niebieski“ zrywa ten ład i niszczy harmonią. A śród wszystkich zjawisk wszechświata najwspanialszém może, najbardziéj uderzającém, jest właśnie zjawienie się nowéj gwiazdy, ukazanie się nowego słońca, wobec którego ziemia nasza nikłym zaledwie jest drobiazgiem.

Naprawdę, gwiazda sierpniowa tak potężnego wrażenia na umysły ogółu wywrzéć nie mogła, rozgłos swój zawdzięcza jedynie wieściom, przybywającym z obserwatoryów astronomicznych. W chwili największego swego blasku bowiem nowa ta gwiazda nie przewyższała światłem gwiazd 6—7 wielkości, należała tedy do najdrobniejszych zaledwie gwiazdek, dostępnych oku nieuzbrojonemu — i tę zresztą nieznaczną swą świetność zachowała niedługo. Dr. Jędrzejewicz w prywatnéj swéj dostrzegalni w Płońsku obserwował ją w dniu 1 i 2 września jako gwiazdę żółtawą 7 wielkości, wyróżniającą się silnie, mimo błyszczącego tła mgławicy, na którém wystąpiła; następnie blask jéj malał, — w połowie października zeszła już do wielkości 11—12, przyczém barwa jéj ulegała również przeobrażeniom. Z pomarańczowéj lub czerwonéj zamieniła się w połowie września na niebieskawą, następnie, według obserwacyi astronoma paryskiego Trouvelot'a stała się białą.

Gwiazdozbiór Andromedy, w obrębie której ukazała się nowa ta gwiazda, znajduje się na półkuli północnéj nieba, w sąsiedztwie znanego gwiazdobioru Kasyopei, między Pegazem a Perseuszem; znajdujemy tu wielki kwadrat, utworzony przez trzy gwiazdy drugiéj i jednę czwartéj wielkości; ku wschodowi trzy inne gwiazdy drugiéj wielkości tworzą wraz z poprzednim kwadratem figurę znacznie wprawdzie rozleglejszą, przedstawiającą pewne podobieństwo do Niedźwiedzicy Wielkiéj. Z siedmiu tych gwiazd trzy, wchodzące w skład kwadratu, należą do Pegaza, czwarta kwadratu z dwiema innemi do Andromedy, ostatnia zaś, najdaléj na wschód wysunięta, przypada już w Perseuszu,— jest to słynny Algol, o którym mówić nam w dalszym ciągu przyjdzie. Są to zresztą tylko najjaśniejsze gwiazdy tych konstelacyi,—Andromeda bowiem i Perseusz zawierają razem 191 gwiazd, widzialnych okiem nieuzbrojoném, z których 12 tylko jest jaśniejszych nad wielkość czwartą.

Otóż, gdy podczas nieba bardzo pogodnego przebiegamy wzrokiem przestrzeń pomiędzy temi gwiazdozbiorami a Kasyopeą, znajdujemy, w pobliżu gwiazdy 4 wielkości ν Andromedy, drobny obłoczek białawy, formy wydłużonéj, jakby zabłąkany urywek drogi mlecznéj. Jest to mgławica, znana pod nazwą mgławicy Andromedy, a w historyi nauki pamiętna ztąd, że była pierwszą mgławicą, która zwróciła na siebie uwagę astronomów. Odkrył ją dopiero w 1612 r. Szymon Marius przy pomocy lunety; astronomowie starożytni, zarówno jak i późniejsi, pomimo baczności swéj, nie zauważyli żadnéj mgławicy, jakkolwiek z olbrzymiéj ich ilości kilka, podobnie jak mgławica Andromeda, daje się ująć i okiem nieuzbrojoném. Na tle téj-to mgławicy zajaśniała nowa gwiazda; sąsiedztwo to wikła nieco kwestyą, zanim się jednak nad nią zastanowimy, rozejrzyjmy się najpierw w dziejach tych „gwiazd nowych."

Najdawniejszém zjawiskiem tego rodzaju, o którém doszła nas wieść wiarogodna, jest ukazanie się gwiazdy w r. 125 przed Chr. Wypadek ten wywarł nawet silny wpływ na rozwój astronomii; według świadectwa bowiem Pliniusza, skłonić to miało Hipparcha, którego nieledwie ojcem astronomii nazwać można, do spisania pierwszego katalogu gwiazd, a to w tym celu, aby następne pokolenia przekonać się mogły, czy nietylko nowe gwiazdy się tworzą, ale czy i dawne giną i czy posiadają one jaki ruch własny.

W wiekach średnich znajdujemy wzmianki o chwilowych gwiazdach u pisarzy chrześciańskich i arabskich, najobszerniejszy jednak ich wykaz zachowali nam Chińczycy, którzy z niezmordowaną wytrwałością notowali od dawnych czasów wszelkie niespodziane na niebie zjawiska. Możność korzystania z zebranych przez nich ma-

teryałów zawdzięczamy encyklopedyi Matuanlina, ułożonéj około 1300 r. po Chr.. a przełożonéj z chińskiego przez Edwarda Biota, syna znakomitego fizyka Jana Chrzciciela.

Zarówno wszakże europejskie jak i chińskie roczniki istotnéj korzyści nauce nie oddają z powodu niedokładnego oznaczenia położeń tych nowych brył niebieskich; niewiele ściśléj przechowano także i daty tych objawów, co utrudnia zestawienie różnych źródeł. Niebrak zresztą w tych wieściach i przesady średniowiecznéj; tak np. astronomowie arabscy z czasów kalifa Almamuna wspominają o gwieździe, która w pierwszéj połowie dziewiątego stulecia błyszczéć miała tak silnie, jak księżyc w czasie pierwszéj kwadry, a osobliwszą jeszcze jest wzmianka chińska o gwieździe w wieku szesnastym, tak wielkiéj jak słońce. W ogólności wszakże ukazywanie się gwiazd nowych jest zjawiskiem dosyć rzadkiém, bo z czasów przedteleskopowych według źródeł europejskich znamy tylko siedm takich dostatecznie pewnych przypadków, a doliczyć się ich można szesnastu, gdy dodamy do tego spisy chińskie.

Żadna wszakże z tych nowoutworzonych gwiazd nie pozostała na firmamencie; po pewnym czasie, po kilku miesiącach w ogólności każda gasła. Gasła wszakże może tylko dla oka nieuzbrojonego, teleskop pozwalałby zapewne dostrzegać ją dłużéj; była to może tylko drobna, rozpłomieniona na chwilę gwiazdka, która znów do skromnego swego blasku wróciła i dotąd na niebie miejsce swe zajmuje. Przy pomocy dzisiejszych, potężnych narzędzi możnaby było wątpliwość tę rozstrzygnąć, gdyby dawni obserwatorowie ściśléj oznaczali położenie ciał niebieskich. Gwiazdy bowiem drobne, poniżéj dziesiątéj wielkości, tak są obficie na niebie rozrzucone, że niepodobna rozstrzygnąć. czy słaba jakaś gwiazdka, któréj położenie różni się na niebie o kilka minut od miejsca, na którém ukazała się niegdyś pewna gwiazda, jest z nią identyczna, czy téż nie.

Pierwszy dokładny opis zjawiska nowéj gwiazdy zawdzięczamy najznakomitszemu obserwatorowi z czasów przedteleskopowych, Tychonowi Brahe. „Pewnego wieczora - opowiada ten astronom—gdy jak zwykle rozpatrywałem sklepienie niebieskie, którego widok tak mi jest znany, dostrzegłem z niewymowném zdumieniem, w pobliżu zenitu, w gwiazdozbiorze Kasyopei, gwiazdę promienistą, wielkości nadzwyczajnéj. Aby się przekonać, że nie ulegałem złudzeniu, i aby zebrać świadectwa innych osób, przywołałem robotników zajętych w méj pracowni, i pytałem ich, podobnie jak wszystkich przechodniów, czy widzą, zarówno jak ja, gwiazdę, która się nagle zjawiła. Dowiedziałem się późniéj, że w Niemczech woźnice i inne

osoby z ludu uprzedziły astronomów o wielkiém zjawisku na niebie, co dało powód do wznowienia zwykłych szyderstw z mężów nauki.“

Gwiazda ta ukazała się 11 listopada 1572 r.; nie miała ona zgoła wejrzenia komety, nie towarzyszył jéj ogon ani obłoczek żaden, pozostała zresztą nieruchoma na jedném miejscu nieba w ciągu siedemnastu miesięcy, przez które była widzianą. Była ona nadzwyczaj jasną, a blaskiem swym przewyższała Wegę, Syryusza i Jowisza w czasie najmniejszéj jego odległości od ziemi. Wedle słów Tychona można ją było porównać jedynie do Wenery w chwili najwyższego jéj blasku; była widzialną nawet w dzień, przy pełném świetle słoneczném. Wkrótce wszakże jasność jéj zaczęła się zmniejszać; w styczniu 1573 była już mniéj świetną aniżeli Jowisz; w kwietniu zeszła z pierwszéj do drugiéj wielkości, następnie malała szybko, a nakoniec znikła zupełnie w marcu 1574. Wraz z blaskiem ulegała zmianie jéj barwa; w ciągu dwu pierwszych miesięcy, w okresie najżywszego swego blasku była białą; następnie przeszła w żółtą, a późniéj w czerwoną. Tycho porównywał ją wtedy do Marsa i do Aldebarana. Na wiosnę 1573 odzyskała barwę białą i zachowała ją do końca. W nieznacznéj odległości jednéj minuty od miejsca oznaczonego przez Tychona odszukał d'Arrest czerwonawą gwiazdkę 10—11 wielkości; ze względów wszakże wyżéj przytoczonych niepodobna wyrzec z pewnością, czy jest to ów gość niebieski z 1572 r.

Jak Tycho, tak wkrótce potém i genialny jego towarzysz miał sposobność obserwowania nowéj gwiazdy w październiku 1604-tym w konstelacyi Wężownika. Gwiazda ta Keplera, lubo nietyle świetna, co porzednia, przewyższała jednak blaskiem wszystkie gwiazdy pierwszéj wielkości. W kwietniu roku następnego zeszła już do trzeciéj wielkości, a znikła w początkach r. 1608: żywych barw nie przedstawiała. Obecnie znajdujemy gwiazdkę 11 — 12 wielkości, odległą aż o trzy minuty od miejsca wskazanego przez Keplera, tak, że tu wątpliwość co do identyczności większa jest jeszcze, aniżeli w przypadku poprzednim.

W wieku siedmnastym zaszły trzy jeszcze podobne zdarzenia, gwiazdy te nowe nie przechodziły wszakże trzeciéj wielkości i ogólnéj uwagi nie zwróciły. Następnie przez półtorasta z górą lat nie dostrzeżono podobnego zakłócenia ładu niebieskiego, dopiero w roku 1848 wystąpiła gwiazdka szóstéj, a w 1860 siódméj wielkości. Ale najważniejszém tego rodzaju zjawiskiem w naszém stuleciu jest ukazanie się nowéj gwiazdy w pięknym gwiazdozbiorze Korony północnéj w maju 1866 r. Wynurzyła się ona nagle,—Schmidt bowiem zapewnia, że 12 maja przed godziną 10 wieczorem nie było w tém miejscu nawet gwiazdy 4 wielkości, a tegoż samego wieczora dostrzegło

ją pięciu przynajmniéj astronomów w Europie i Ameryce w blasku dorównywającym jasności najokazalszéj gwiazdy Korony, zwanéj *Perłą*, zatém drugiéj wielkości. Bladła szybko, już po dwu dniach zeszła do trzeciéj, po czterech do czwartéj wielkości, o około 20 maja ukryła się przed okiem nieuzbrojoném.

Ukazanie się téj gwiazdy pozostanie pamiętném w dziejach astronomii, nauczyła bowiem przekonywająco, jak trzeba rozumiéć to ukazywanie się nowych słońc. Gdyby wystąpiła w czasach dawnych, przedteleskopowych, trzeba by ją było uważać za igraszkę tajemniczéj siły tworzącéj, za utwór nowy, który z otchłani świata równie tajemniczo wystąpił, jak w niéj się rozwiał. Zjawiła się wszakże w czasach wysoko już posuniętéj znajomości nieba, w czasach, gdy posiadamy spisy nietylko gwiazd gołém okiem widzialnych, ale i drobniejszych, których istnienie pozostałoby na zawsze dla nas tajemniczém, gdyby wzrokowi nie przybył w pomoc teleskop. Na zasadzie tych spisów możemy dziś z wszelką pewnością powiedziéć, że nowa ta gwiazda zgoła nie była nową, była już bowiem zapisaną w wielkim katalogu Argelandra i błyszczała statecznie na niebie jako gwiazdka 9,5 wielkości, gołemu tedy oku niedostępna. Nie rozwiała się też w nicość, ale wróciła tylko do pierwotnego, skromnego swego stanu i jako gwiazdka dziewiątéj wielkości pozostaje daléj na swém miejscu. Nie byłoto więc słońce nowe, nieznaną jakąś siłą nagle do bytu powołane, ale tylko słońce na chwilę rozjaśnione, rozpłomienione.

Zjawisko takie powtórzyło się znów w r. 1876. Była to gwiazda w gwiazdozbiorze Łabędzia, która w chwili swego ukazania się, 24 listopada, była trzeciéj wielkości; w początkach 1877 była już dla oka nieuzbrojonego niedostępną, a obecnie widzianą być może jedynie przez najsilniejsze teleskopy.

I przed zabłyśnięciem swém chwilowém była niewątpliwie gwiazdką również drobną, niezaznaczoną w katalogach; najobszerniejszy bowiem spis Argelandra obejmuje jedynie gwiazdy 9-éj, a niewszystkie już 10-éj wielkości. Jakkolwiek przeto wypadek ten nie tak dobitnie, jak poprzedni, na sprawę zjawisk niebieskich rzuca światło, niemniéj wszakże nikt już dziś nie wątpi, żeułudne powstawanie gwiazd nowych polega jedynie na wzmaganiu się blasku gwiazdek, stale na niebie błyszczących.

Pozornie nowe przeto te gwiazdy zaliczyć wypada do kategoryi gwiazd zmiennych, to jest do tych gwiazd, które nie zachowują statecznie jednakiego blasku. Gwiazdy takie nie stanowią zgoła rzadkich, wyjątkowych na niebie zjawisk, a Gould sądzi nawet, że należałoby do nich zaliczyć przeważną ilość ciał niebieskich, chociaż u wielu

chwiejność światła bardzo jest nieznaczną, powolną, nieujętą. U niektórych jednak zmienność ta jest bardzo uderzającą.

Do najosobliwszych należy tak zwana „gwiazda cudowna Wieloryba“ (mira Ceti).W r. 1596 proboszcz Fabricius dostrzegł w gwiazdozbiorze tym gwiazdę drugiéj wielkości, któréj poprzednio nigdy nie widział, a któréj następnego roku nie mógł już odszukać; w kilkadziesiąt dopiero lat późniéj domyślono się, że gwiazda ta zmienia blask swój w sposób osobliwy, a po długich badaniach oznaczono okres jéj zmienności na 361 dni i 8 godzin. W ciągu tego okresu maleje przez trzy miesiące, schodząc z drugiéj do szóstéj wielkości, przez pięć miesięcy jest niewidzialną i znów przez trzy miesiące wzrasta z szóstéj do drugiéj wielkości,—niekiedy wszakże dochodzi jedynie do czwartéj wielkości. Przy najświetniejszym swym blasku jest żółtą; gdy słabnie, przybiera odcień czerwonawy.

Zgoła inaczéj okazuje się zmienną inna gwiazda, o któréj wspominaliśmy już wyżéj. mianowicie β Perseusza czyli Algol. W ogóle jest ona 2-éj wielkości, zachowując tę jasność przez dwa dni i 13 godzin, następnie słabnie zwolna i obniża w ciągu $3\frac{1}{2}$ godzin do 4 wielkości; w tym stanie pozostaje zaledwie przez 7 do 8 minut i znowu w ciągu $3\frac{1}{2}$ godzin wraca do pierwotnego blasku; cały ten okres trwa 2 dni 20 godzin 48 min. 55 sek.

Obie te gwiazdy, jak widzimy, różnią się w szczegółach objawów, jakie przedstawiają; w długim już obecnie spisie gwiazd zmiennych, a który dzięki bacznym obserwacyom wciąż wzrasta, rozmaitość ta jest bardzo znaczna. Gwiazdy, których okres zmienności obejmuje długi przeciąg czasu, stanowią jakby przejście do gwiazd nowych. Gwiazda 24 Cefeusza przebiega swe fazy ledwie w ciągu 73 lat.

Jako przykład takiego przejścia od gwiazd zmiennych do nowych, przytoczyć można gwiazdę η w Okręcie Argo na półkuli południowéj; w czasach dawniejszych różni astronomowie zwiedzający strony południowe notowali ją jaką gwiazdę czwartéj, drugiéj lub pierwszéj wielkości. Za pobytu J. Herschla w Ziemi Przylądkowéj świeciła pierwotnie jako gwiazda 1—2 wielkości, w 1837 wzmogła się tak dalece, że zaledwie dwie gwiazdy na całém niebie przewyższały ją swym blaskiem; następnie zbladła, ale w r. 1843 rozjaśniła się tak silnie, że dorównała niemal Syryuszowi. Od tego czasu słabła bezustannie, zeszła do 7 wielkości i ukryła się zupełnie przed wzrokiem nieuzbrojonym. Gdyby wypadek ten zaszedł za czasów przedteleskopowych, mielibyśmy legendę o gwieździe wygasłéj, podobnie jak za następnym przyrostem blasku mogłaby się stać znów gwiazdą nową.

Rozmaitość tych objawów tak jest znaczną, że dla ich wyjaśnienia niepodobna odwołać się do jednéj przyczyny; należy gwiazdy zmienne zestawić w pewne grupy, okazujące cechy wspólne, i dla każdéj z nich szukać tłómaczenia odrębnego.

Charakterystyczną zwłaszcza grupę stanowi sześć gwiazd, zmieniających blask swój w sposób podobny jak Algol: sama zmiana, to jest słabnięcie i przyrost światła, jakeśmy widzieli, ogranicza się tu do kilku godzin zaledwie, przez pozostały ciąg okresu gwiazda jest stateczną. Przebieg taki zmienności najlepiéj da się wytłómaczyć, gdy przyjmiemy, że do koła gwiazdy takiéj krąży ciemny towarzysz, zakrywający ją w stałych odstępach czasu i powodujący tym sposobem częściowe jéj zaćmienie. Rozumie się, że towarzysz ten ciemny, aby w takiéj od nas odległości powodować mógł zaćmienie gwiazdy, musiałby w stosunku do saméj gwiazdy posiadać wielkość bez porównania znaczniejszą, niż planety słoneczne względem swéj gwiazdy naczelnéj; przypuszczenie to wszakże tem łatwiéj się nasuwa, że wiemy, iż niektórym gwiazdom towarzyszą właśnie tego rodzaju olbrzymie satelity. Tak np. z Syryuszem związana jest ciemna gwiazda, przewidywana przez Bessla, obliczona przez Petersa, a dostrzeżona nakoniec przez Clarka w styczniu 1862 r.; bryła ta zresztą zupełnie ciemną nie jest, ale, przy masie dwa razy tylko mniejszéj, świeci 5.000 razy słabiéj, aniżeli gwiazda główna. Tego właśnie rodzaju mógłby być ów hypotetyczny towarzysz Algola, który, jak to wykazały rachunki Pickeringa, przy średnicy wyrównywającéj trzem czwartym średnicy gwiazdy głównéj, wywoływaćby mógł takie właśnie zmiany jasności, jakie nam obserwacya wykazuje.

Mogą téż zachodzić zaćmienia innego rodzaju. W niektórych gwiazdach zmiennych, w czasie najsłabszego ich blasku, dostrzeżono jakby osnuwającą je mgławicę; być przeto może, że przyczyną ich zmienności są roje meteoryczne, przebiegające w pobliżu owych gwiazd, a odpowiadające tym zbiorowiskom bryłek kosmicznych które w układzie naszym są źródłem gwiazd spadających.

Dla wyjaśnienia innych znów przypadków zmienności obmyślono hypotezę obrotu gwiazd niejednakowo ze wszech stron jasnych; gwiazda taka, obracając się dokoła osi, przedstawia nam już to ciemniejszą już jaśniejszą swą stronę. Tego rodzaju objawy znamy i w układzie słonecznym,—niektóre mianowicie księżyce Jowisza i Saturna okazują znaczne wzmaganie się i słabnięcie swego światła; w tym razie łatwo rzeczywiście nasuwa się przypuszczenie, że różne strony takiéj bryły posiadają rozmaitą zdolność odbijania światła,—co do gwiazd jednak własném świecących światłem, niejednostajność taką powierzchni trudniéj przychodzi pojąć.

Ponętniejszą wydać się nam tu może hypoteza plam rozwijających się na tych słońcach dalekich w mniéj lub więcéj statecznych odstępach czasu, podobnie jak na słońcu naszém. Epoce największéj obfitości plam odpowiadałaby najsłabsza jasność gwiazdy, a największy jéj blask przypadałby na chwilę najmniejszego ich rozwoju. Co do naszego słońca wprawdzie chwiejność ta światła jest tak nieznaczną, że nietylko dostrzedz jéj nie możemy, ale nawet wszystkie metody fotometryczne ująć jéj nie zdołały, nic jednak nie stoi na zawadzie przypuszczeniu, że na innych słońcach wywiązywanie się plam z silniejszém występuje natężeniem.

Za hypotezą plam przemawia ta okoliczność, że znaczna większość gwiazd zmiennych należy do typu gwiazd czerwonych; są to prawdopodobnie słońca zimniejsze, gdzie daléj może posuniętym został proces stygnięcia, objawiający się obfitszém występowaniem plam. Dostrzeżono téż, że przejście od najsłabszego do najsilniejszego blasku dokonywa się w ogólności prędzéj, aniżeli słabnięcie światła, a tenże sam szczegół przedstawia nam rozwój plam na słońcu; jest to więc argument, przemawiający za pewną wspólnością obu tych zjawisk. Wyobraźmy sobie słońce przeniesione na odległość choćby najbliższéj gwiazdy, a przedstawi się nam jako gwiazda niezbyt jasna, słabo zmienna, o okresie jedenastoletnim: wiadomo bowiem, że takiemu okresowi ulega przebieg rozwoju plam na słońcu. Przez dwa lub trzy lata są one większe i czętsze, następnie maleją i w sześć lub siedm lat dochodzą do swéj najmniejszości, poczém znów następuje ich przyrost, dokonywający się w czasie krótszym, tak że po upływie 11 $^1/_9$ lat po poprzedniéj wraca następna ich największość; gdyby więc słońce znalazło się w znacznéj od nas odległości i wydawało się nam gwiazdką zaledwie, okres rozwoju plam mógłby się wyrazić w okresie jéj zmienności, bylebyśmy uchwycić mogli drobne różnice jéj blasku. Prawdopodobnie téż dużo świeci gwiazd na niebie, na których rozwijające się plamy wywołują zmiany, ale tak nieznaczne, że ich dotąd dostrzedz nie zdołano.

Wszystkie te wszakże hypotezy nie mogą jeszcze wytłómaczyć nam zagadki tak nagłego i potężnego rozjaśnienia się gwiazdek słabych, że tworzą one objaw pozornego powstawania gwiazd nowych; ale i tu analogia do zjawisk, jakie nam słońce przedstawia, stanowić może pewną nić przewodnią. Nietylko bowiem plamy są objawem żywéj działalności rozpasanych żywiołów na téj olbrzymiéj bryle ognistéj, ale i protuberancye czyli wyskoki, niewątpliwie wybuchy warstw głębszych i gorętszych, rozjaśniające górne, ciemniejsze okolice nieba; wybuchy te słoneczne składają się przeważnie z płonącego wodoru i rozpalonych par żelaza. Wyobraźmy sobie na

dalekiéj, drobnéj, niedostępnéj gołemu oku gwieździe wybuch płonących substancyi, wybuch tak olbrzymi, że może rozpalić i rozjaśnić powierzchnię téj słabo świecącéj bryły, a będziemy mieli zjawisko gwiazdy nowéj. Olbrzymiemi tedy tylko rozmiarami góruje ono nad zwykłemi, znanemi nam objawami słonecznemi, a w miarę jak nikną ślady tego niepojętego zaburzenia, gwiazda blednie i wraca nakoniec do zwykłego, skromnego swego blasku.

Hypoteza ta nie jest zgoła czczym domysłem. Ukazanie się dwu ostatnich gwiazd nowych, o których mówiliśmy wyżéj, zaszło w tych już czasach, gdy spektroskop pozwala nam czytać w rozszczepionym promieniu ciała niebieskiego i o naturze jego bezpośrednie wnioski wysnuwać. Otóż Huggins rozpatrując światło gwiazdy 1866, dostrzegł na tle widma zwykłego, przeciętego liniami ciemnemi, kilka linii jasnych, stanowiących widmo płonącego wodoru; jest to skazówką niewątpliwą, że na gwieździe téj nastąpił wybuch tego gazu, który całą jéj powierzchnię rozjaśnił. Podobnież i widmo gwiazdy 1876 r. przedstawiało kilka linii jasnych, z których trzy niewątpliwie pochodziły od wodoru.

Jeżeli jednak do tego stopnia rozstrzygniętą została zagadka powstawania gwiazd nowych, to trudniéj zapewne zdać sobie sprawę z przyczyny, która nagle to rozjaśnienie bryły niebieskiéj sprowadza. Być może, że jak to sądzą niektórzy, mamy tu objaw uderzenia dwu światów, spadek planety na jéj słońce, w części lub zupełnie już wygasłe, a która wskutek tak niesłychanego wstrząśnięcia znowu je na chwilę rozpłomienia, do krótkotrwałego jeszcze życia powołuje. Hypotezę taką rozwinął niedawno Ritter, opierając się na zasadach teoryi mechanicznéj ciepła, nie mamy wszakże możności potwierdzenia wywodów jego i na tym punkcie zatrzymuje się nauka dzisiejsza.

Jeżeli jednak w powstawaniu gwiazd nowych nie dostrzegamy już dziś objawów nagłego tworzenia się światów, to nie uwłacza to wszakże zgoła wspaniałości olbrzymiego tego zjawiska, które umysł nasz grozą przejmuje. Wyobraźmy sobie planetę krążącą dokoła takiego słońca, które się nagle rozpłomienia tak dalece, że jasność jego i temperatura stokrotnie się wzmaga, jeżeli na planecie téj, jak na drobnéj naszéj ziemi, w całéj pełni kwitło życie organiczne, to jedna chwila tak niesłychanego podsycenia żaru sprowadzić musi nieuniknioną zagładę bytu. Zresztą i gwiazdy w szczuplejszym zakresie zmienne stanowią także słońca o nader niejednostajnéj temperaturze; a czy pod wpływem ich promieni życie rozwijać się i utrzymywać może, jest rzeczą więcéj niż wątpliwą. Nie każde z tych słońc olbrzymich, które się nam gwiazdkami tylko wydają, rozlewa

dokoła siebie tak dobroczynne światło i ciepło, jak nasza gwiazda dzienna. Nikt dziś zapewne utrzymywać nie będzie, aby nasza tylko ziemia była siedliskiem życia i działalności, ale podobnież twierdzić nie możemy, aby każda planeta była zamieszkałą, aby promieniami każdego słońca życie się karmiło.

Sprawa nowéj gwiazdy 1885 r. jest nieco zawilszą z tego względu, że ukazała się ona, jak wiemy, na tle mgławicy. Mgławica ta posiada jądro, przedstawiające znacznie wyższy stopień zagęszczenia aniżeli jéj otoczenie, stąd to rzucono domysł, że utworzenie się owéj gwiazdy pozostaje w bezpośrednim związku z samą mgławicą, że rozwinęła się ona kosztem owego jądra, że przed naszemi oczyma dokonało się skupienie rozproszonéj substancyi mgławicy w bryłę słoneczną. Badania jednak Trouvelota, Hasselberga i innych astronomów domysłu tego nie potwierdziły. Położenie bowiem gwiazdy nie schodzi się z miejscem, na którém przypada dawne zagęszczenie mgławicy, a gdy obecnie światło téj gwiazdy przygasło, mgławica odzyskała pierwotny swój wygląd; gwiazda nowa była od niéj zgoła niezależną. Zresztą i zarysy gwiazdy przedstawiają się wyraźnie odgraniczone, co by być nie mogło, gdyby wytworzyła się ona w obrębie masy mgławicy, albo téż po za nią; przyjąć przeto należy, że znajduje się ona względem nas w odległości mniejszéj, aniżeli mgławica Andromedy,— związek między niemi jest tylko optyczny, pozorny, a nie fizyczny, rzeczywisty; złudzenie pochodzi ztąd jedynie, że względem nas przypadają na jednéj linii widzenia.

I z innego jeszcze względu domysł o wytworzeniu się gwiazdy z téj mgławicy wydaje się zgoła błędnym. Według obecnego stanu naszych wiadomości, owe obłoczki jasne na niebie, którym nazwę mgławic nadajemy, podzielić wypada na dwie zgoła odrębne kategorye. Jedne stanowią zbiorowiska gwiazd tak drobnych, lub raczéj tak dalekich, że tworzą razem wrażenie obłoczków świetlnych; inne znów są mgławicami istotnemi, przedstawiając nagromadzenie materyi kosmicznéj, rozproszonéj, gazowéj, odpowiadającéj może substancyi kometarnéj. Otóż, mgławica Andromedy prawdopodobnie do pierwszéj należy kategoryi; mówimy prawdopobnie, najsilniejsze bowiem nawet teleskopy nie zdołały jéj wprawdzie na zbiorowisko gwiazd „rozwiązać“, ale światło jéj rozszczepione przez spektroskop tworzy widmo ciągłe, t. j. widmo właściwe gwiazdom; mgławice istotne wydają widma linijne, jakie otrzymujemy z gazów płonących. Prawdopodobnie zatém mgławica Andromedy stanowi zbiorowisko gwiazd, którego teleskop rozwiązać dotąd nie zdołał jedynie z powodu znacznéj jéj odległości; jeżeli zaś o skupianiu się mgławicy, o wytwarzaniu z jéj substancyi brył gwiaździstych mówi-

my, to tyczéć się może tylko mgławic właściwych, gazowych. Dla tego też i z tego punktu widzenia przypuszczenie związku nowéj gwiazdy z mgławicą Andromedy jest nieuzasadnione.

Widmo wreszcie téj gwiazdy badaném było przez Vogla, Konkolego i Hasselberga; nie zdolano tu dojrzéć owych smug jasnych, które w gwiazdach 1866 i 1876 r. zdradziły wybuch płonącego wodoru; nie przedstawia ono żadnych zgoła cech charakterystycznych, któreby pewne światło na naturę gwiazdy rzucić mogło. Przyczyna nagłego jéj rozjaśnienia pozostaje zagadkową.

Zresztą nie jest to ostatnia „gwiazda nowa“, która na horyzoncie zabłysła. Wieczorem 13-go grudnia r. z. p. Gore w Irlandyi dostrzegł w gwiazdozbiorze Oriona gwiazdkę czerwoną szóstéj wielkości, która nie była dotąd w żadnym katalogu wskazaną, i ona już zbladła, nie odsłoniwszy nam źródła nagłego podsycenia swego blasku.

Oba te pokrewne objawy, które w tak odległych okolicach nieba wystąpiły i o których wieść współcześnie nas doszła, nie zaszły zapewne współcześnie. Z tych dalekich przestrzeni promień światła, aby do nas doszedł potrzebuje całych dziesiątków, setek lat może, donosi on nam wiadomości o wypadkach dawno minionych.

Wypadki te świadczą o burzach i przewrotach, które w wszechświecie zachodzą. Z ograniczonego jedynie naszego stanowiska niebo symbolem spokoju nam się wydaje; a jeżeli budowę własnego naszego układu słonecznego za niezachwianą przywykliśmy uważać, to dla tego tylko, że obserwacye nasze obejmują niesłychanie krótki okres jego bytu.

Stanisław Kramsztyk.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Krok dalej, powieść przez Edwarda Lubowskiego, 3 tomy. Warsz. Nakład Maurycego Orgelbranda, 1885.

W roku 1874 wyszła w Warszawie dwutomowa powieść „Na pochyłości“, któréj autor nazwał się Bolejem Krutem. Powieść ta przedstawiała w nader ciemnych barwach stan majątków ziemskich w Galicyi pod względem zarówno ekonomicznym jak narodowościowym, kładąc szczególny nacisk na wdzieranie się żywiołu niemieckiego, a mianowicie pruskiego, do ziem czerwonoruskich dla wyparcia z nich żywiołu polskiego. Jakkolwiek kwestya w niéj poruszona nie była już wtedy nowością w powieściopisarstwie polskiém, obrobienie jéj atoli w utworze Boleja Kruta było tak wielostronne, a groza położenia odmalowana tak silnie, że rzecz ta obudziła w swoim czasie żywe zajęcie, a jéj autorowi przyznano talent i publicystyczny i powieściopisarski.

Po latach dziesięciu p. Edward Lubowski, który, jak się okazało, był prawdziwym twórcą „Na pochyłości“, podjął temat ten nanowo i napisał powieść „Krok daléj.“

Gdy się tytuł téj powieści zestawi z nagłówkiem poprzedniéj, to się oczekuje kroku daléj na pochyłości wiodącéj kraj ku ruinie. I rzeczywiście przez bezwzględnie większą część książki takie rozumienie rzeczy nie tylko nie przeszkadza uświadomieniu sobie przedstawionych szczegółów, lecz mu niewątpliwie pomaga. W siedzibie dawnego pana polskiego widzimy panoszącego się Niemca, który tchnie nienawiścią ku wszystkiemu co polskie, ma służbę niemiecką i urządza się we wszystkiém poniemiecku. Widzimy daléj dom arystokratyczny, jaśniejący znaczeniem, bogactwem, cnotami, a jednak do życia czynnego nieuzdolniony i niknący w najświetniejszym swo-

im przedstawicielu, którego złamała szalona miłość do niegodnéj kobiety. Widzimy bankiera Polaka, który ze względu na swoję dobroć przychodzi do ubóstwa, bogacąc nicponia niemieckiego. Widzimy wreszcie obok małéj grupy ludzi rozumnych i rozumnie działających, całą szajkę szachrajów i nikczemników tuczących się potém i krwią biednéj ludności polskiéj. A kulminacyjnym punktem tego wyzyskiwania słabych i nieoględnych przez nieuczciwych i przebiegłych jest krach wiedeński, który i w powieści Lubowskiego ma znaczenie decydującéj o losie osób powieściowych katastrofy.

Ażeby uwydatnić przewodnią myśl utworu, wypadało już tylko p. Lubowskiemu streścić w kilku dosadnych rysach położenie rozpaczliwe kraju po katastrofie strasznéj w skutkach. Byłoby to zgodném z ogólném pesymistyczném usposobieniem autora i z wypadkami, pod wpływem usposobienia tego rozwiniętemi w powieści „Krok daléj.“ Ale autor cofnął się przed tą konsekwencyą. Na dwu stronicach pod koniec powieści (t. III, 213—215) p. Lubowski uważał za stosowne zrobić zwrot, dla uważnego czytelnika całkiem niespodziewany, i z pesymizmu przejść do optymizmu. Porównywając stan Galicyi po r. 1846 i 1874, zaznacza olbrzymi postęp, jaki się po téj drugiéj chwili ujawnił. Po r. 1846—powiada—„przepaść, zalana strugami niewinnéj krwi, zdawała się nieprzebytą na wieki. W całym kraju rozprzężenie, zwątpienie w lepszą dolę, brak jakiegokolwiek czynnika, zdolnego zbliżyć do siebie obywateli i zagrzać do wspólnéj pracy. Kraj i narodowość nie poczuwały się do świadomości swego bytu. Maszyna państwowa pobudzała do automatycznych ruchów jednostki, lecz nie jednolitą społeczność. Nikt nie marzył naówczas, ażeby na tych gruzach i trzęsawiskach zakwitło kiedykolwiek drzewo nowego życia, ażeby znękani, rozbici i zgnębieni zdołali się złączyć i to złączyć *po raz pierwszy* (?) w narodowość organicznie spojoną i świadomą bytu swego i przeznaczeń.“ Inaczéj rzecz się miała za czasów pozyskania autonomii. Galicya wtedy „zawrzała życiem.“ Z początku objawy tego życia „były namiętne, niedojrzałe i źle skierowane.“ Usprawiedliwiając jakoby swoje poprzednie w powieści „Na pochyłości“ i w większéj części „Kroku daléj“ zapatrywania, p. Lubowski powiada: „Zastarzałe nałogi i grzechy, zmieszawszy się z nowym fermentem, pozwalały czasem wątpić o przyszłości z ruin powstałego kraju... *zdawało się czasami najlepszym, że pędzą po pochyłości*, po któréj stoczyć się muszą niepowrotnie; zwolna atoli widnokrąg się rozjaśnił, dążenia i cele nabierały wyrazistości i harmonii, praca i trudy rzetelne, zasługi i talenta nie szły już na marne. Burza tylko ekonomiczna, co zaszalała ponad głową kraju, odkryła nanowo jeden z dawnych najcięższych grzechów: lekkomyślność;

lecz wątpić nie trzeba, że jako groźna przestroga a razem kara nie była nadaremną. Kraj dojrzewał politycznie i społecznie, zaczynał coś ważyć na szali ogólnych obliczeń... czyli w biegu postępu uczynił rzeczywiście: krok naprzód, *krok daléj*."

Nie przecząc, że taki pogląd na obecne położenie Galicyi bliższym jest prawdy, aniżeli zapatrywania uwydatnione w powieści „Na pochyłości, zaznaczyć jednak musimy, że nie wynika on z osnowy „Kroku daléj" i jest mechanicznie tylko przyczepiony.

Co do artystycznéj strony powieści, główną jéj zaletą jest charakterystyka ludzi, główną zaś wadą luźność a zarazem sztuczność budowy. Psychologia kreacyi jest częścią bardzo trafna, częścią zupełnie chybiona. Autor lubuje się w wyszukiwaniu sytuacyi nadzwyczajnych, metamorfoz dziwnych, powikłania zdarzeń na wzór powieściopisarzy francuskich starszéj szkoły, takiego np. Ponson du Terrail; a że nie posiada téj zwrotności i lotności wyobraźni, co oni, opowiadanie jego będąc w wielu razach naciąganém i nieprawdopodobném, nie zajmuje przyśpieszonym ruchem, nie olśniewa dowcipem, nie przejmuje podziwem dla zdolności kombinacyjnéj autora. Córka lokaja, potém kochanka księcia, wreszcie baronowa Regensborgowa, ma to być jakaś demoniczna piękność, rzucająca urok na wszystkich, których pragnie podbić; ludzie dla niéj szaleją, zabijają się, a ona ma jedno tylko jedyne pragnienie, żeby wejść jako równa do rodziny książęcéj, u któréj niegdyś służyła. Postać-to ostatecznie możliwa, ale trzebaby wykazać stopnie, po których szła w usybtylizowaniu swego umysłu, w uświadomieniu instynktów, ażebyśmy mogli prawdziwość tę zrozumiéć i odczuć. Autor przedstawia tylko jak dramaturg gotowe wyniki, nie troszcząc się o ich genezę; w dramacie postępowanie takie da się usprawiedliwić, nawet jest często konieczne, ale w powieści nie, gdyż powieść rozporządza środkami, których dramat nie posiada, a środki te obowiązują. Podobnie rzecz się ma z byłym jéj mężem, eks-lokajem księcia Macieja, który jak jaki bohater Ponson du Terraila zjawia się w powieści „Krok daléj" w charakterze meksykańskiego majora Figarero, by dokonać zemsty na byłéj swéj żonie. Naprzód ją uwodzi niepoznany, następnie wlecze za sobą jak niewolnicę po Europie, tyranizując i udaremniając wszelkie zachcianki ucieczki, osadza w domu nie dopuszczając do niéj nikogo, aż wreszcie Marysia doprowadzona do ostateczności utopiła się. Zaostrzenie brutalnych instynktów w majorze Figarrero jest zrozumiałe bez wyjaśnień autorskich; urodzenie wśród sfer niskich, patrzenie się na pieszczoty księcia z jego żoną, pragnienie zemsty wyjaśniają dostatecznie, dlaczego był tak bezlitośnym w pa-

stwieniu się nad ofiarą, którą pochwycił w swe szpony; ale jego przedzierzgnienie się w światowca, przyjmowanego w najwykwintniejszych towarzystwach wiedeńskich, jego wykształcenie, samo wreszcie dostanie się do Ameryki i wypłynięcie na wierzch tyle przedstawia pytań i wątpliwości, że bez wyjaśnień autora rozwiązać ich niepodobna, a stawiać hipotezy równałoby się tworzeniu samoistnemu postaci, nie zaś analizowaniu téj, jaką nakreślił powieściopisarz.

Najlepszą i najoryginalniejszą w całéj powieści postacią jest Johan Simund, przewrotny i sprytny szachraj giełdowy, typ—jak mówi p. Lubowski — „wykwitły na gruncie przewrotnych spekulacyi, płynących z przejęcia się maksymą walki o byt, nicości wszystkiego po za tém życiem i tym podobnych wygodnych i dowolnych a na krótki dystans wymierzonych pewników moralnych“ (I, 168). Po różnych przygodach, opowiedzianych przez autora krótko a charakterystycznie, wyjaśniających wybornie, jakim sposobem syn biednego dyurnisty, obdarzony sprytem przyrodzonym, zdołał nabyć potrzebnych wiadomości, ażeby swobodnie się obracać wśród spraw bankierskich, Johan Simund wciska się do kantoru „bankiera-polaka“, Wileckiego, kilku zręcznemi obrotami pozyskuje sobie uznanie a następnie całkowitą jego ufność, zastępuje pryncypała we wszystkich interesach i prowadzi go do bankructwa za pośrednictwem szeregu operacyi, na które dobroduszny, zbieraniem dzieł sztuki zajęty Wilecki pozwolił. Gdyby Johan Simund był równie dobitnie przedstawiony w końcu powieści, jak na początku, zaliczyćby go można do najudatniejszych kreacyi, jakiemi się nowsze powieściopisarstwo wzbogaciło.

Najukochańszym, najbardziéj wypieszczonym ideałem p. Lubowskiego jest baron Farmer, zbiór wszelkich doskonałości spółczesnych, o jakich tylko pomyśléć sobie można. Ojciec jego był synem ubogiego kramarza, żyda. Dzięki sprytowi właściwemu rasie, zawinąwszy się około spekulacyi zbożowych, w niespełna lat dziesięć zaczął liczyć majątek swój na krocie, a w drugie dziesięć lat, na miliony. Wtedy powodowany ambicyą, przeniósł się do Wiednia i założył tam kantor bankierski na wielką skalę. Za ofiarowanie rządowi galeryi obrazów otrzymał baronostwo. Syn tego uczciwego, ale szczęśliwego człowieka, bohater powieści „Krok daléj“, odebrał uniwersyteckie wykształcenie, zwiedził całą Europę, kochał się, był kochany, ale że w żyłach jego płynęła krew żydowska, utracił w Londynie narzeczoną, nie mógł otrzymać od swego przeciwnika satysfakcyi honorowéj, gonił za nim, zdawało mu się, że raz podczas ciemnéj nocy zdusił go i rzucił do rzeki... Widać dla spokoju sumie-

nia swego bohatera i dla możności przeciągnięcia awantury z czasów młodości aż do lat jego dojrzałych, p. L. pozwolił wyratować się lordowi Sydneyowi, a nawet przyjechać do Galicyi i starać się o rękę księżniczki, którą kochał i ubóstwiał baron Farmer, który wtedy dopiero otrzymuje zadośćuczynienie za swoję krzywdę, gdyż zmusza lorda do wstydliwego odwrotu. To co tu z dziejów barona opowiedziano, nie charakteryzuje go jako wcielonéj doskonałości, ale daje poznać upokorzenia, jakich doznał za to, że był żydem. Nie skrzywiły jednak upokorzenia te jego charakteru. Był to człowiek najszlachetniejszy i najlepszy Polak; bezinteresowność jego sięgała najdalszych granic możliwości ludzkiéj; wspomagał wszystkich ziomków bez różnicy wyznania, a wspomagał nie tylko pieniędzmi, ale radą, głową, sercem i czynem; niejeden majątek szlachecki od ruiny ochronił, niejednego biedaka na nogi postawił; majątkiem zaprzyjaźnionych ze sobą książąt zajmował się więcéj niż swoim, kochał księżniczkę, ale nigdy nie ośmielił się prosić o jéj rękę, cierpiał w milczeniu. Zdawało się, że żyje nie dla siebie, ale dla bliźnich. Wobec niego wszystkie inne osoby wydają się słabe, głupie, niezaradne, zaledwie na pół cnotliwe. Autor nie odważył się wynagrodzić tylu poświęceń Farmera ręką księżniczki, obiecał mu ją tylko warunkowo.... na późniéj; wobec kilku przykładów związku rodzin arystokratycznych z żydowskiemi w naszym kraju mógł się autor okazać dla swego bohatera wspaniałomyślniejszym. Uznania dla bogatych żydów nie potrzeba już wywalczać za pośrednictwem fikcyi powieściowéj, bo już oddawna je mają w rzeczywistości.

Układ powieści jest sztucznie wykombinowany; stąd częste zdarzają się w opowiadaniu przerwy i nawroty; stąd niezrozumiała dla czytelnika nieświadomość księcia Adama co do osoby Sydneya w III tomie, o którym przecież słyszał od Farmera w I-ym i to z takiemi szczegółami, że ich zapomnieć niełatwo; pod koniec już nie mamy spokojnego rozwijania wypadków i charakterów, ale tłumne następowanie katastrof.

Styl jest giętki i podatny do odmalowania różnych temperamentów i stanów duszy; o wykończenie starał się widocznie autor, ale mimo to nie uniknął kilku uchybień, trochę rzucających się w oczy. W jednem miejscu (III, 141) kreśląc gorączkowy stan barona Farmera powiada: „*skronie* tętniały mu, jak gdyby *chciały głowę rozsadzić*“; niebawem potém (str. 142) mówi o nim, że „chłonął“ coraz bardziéj, t. j. że chłódł, uspokajał się, zapominając, że słowa chłonąć i ochłonąć wyrażają całkiem różne pojęcia. Czy w towarzystwie arystokratycznem ludzie wkładają „rękę za koszulę“ (III, 139), jak to zrobił baron Farmer w obecności księżnéj?.. Nie chcemy temi drob-

nemi wskazówkami obniżać wartości opracowania, gdyż jest ono wogóle staranne i wyróżnia się stanowczo od pośpiesznie dziś kleconych opowiadań.

P. Ch.

= *Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowéj.* **Księżniczka,** *powieść uwieńczona nagrodą konkursową. Napisała Zofia Urbanowska.* (Krak. i Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1886, str. 370). — Konkurs, wynikły z pięknéj myśli uczczenia przez przełożone pensyi żeńskich pamięci Pauliny Krakowowéj, uwieńczony został istotnie dodatnim skutkiem, gdyż wywołał utwór, niepospolitemi odznaczający się zaletami. P. Zofia Urbanowska, znana poprzednio z dwu opowiadań dla dorosłych i z powiastki alegorycznéj dla dzieci („Gucio zaczarowany") otrzymała nagrodę konkursową za powieść dla dorastających panien, zatytułowaną: „Księżniczka." Zgodnie z wymaganiem programu konkursowego autorka nakreśliła dzieje przetwarzania się umysłu, serca i nawyknień młodéj panny, któréj pierwiastkowe wychowanie, w szlacheckim domu otrzymane, nie dało środków do prowadzenia skutecznéj walki o byt jednostkowy i rodzinny. Środki te zdobywa powoli i z wielkim trudem, ujawniającym się przedewszystkiém w przezwyciężaniu nałogów wielkopańskich, a zdobywa je w myśli szlachetnéj dla zapewnienia doli nie sobie, ale rodzicom nieopatrznym. Miejscem próby i nauki dla téj „księżniczki" jest dom mieszczański Radliczów, którzy pojęcie obowiązku i pracy nadzwyczaj surowo praktykują. Z pozoru zwłaszcza ludziom przyzwyczajonym do miękkich, łagodnych form życia, dom ten wydawać się może, tak jak początkowo wydawał się „księżniczce", nietylko szorstkim, gburowatym, ale nawet bezdusznym; gdy się jednakże wniknie w jego istotę, to nabędzie się przekonania, że w nim unikają jedynie frazesów uczuciowych i nie pobłażają próżniactwu, lecz interesują się zarówno ogólnemi sprawami kraju, jak i dolą jednostek, że mają serce czujące głęboko i dłoń ofiarną otwartą. Zdaje się, że dla Helenki (a nie tylko dla téj jednéj Helenki!), potrzebna była koniecznie ta surowa szkoła przygotowująca do życia, jeżeli dziewczę miało się wyrobić na istotę samodzielną, umiejącą radzić sobie zawsze, a w potrzebie i innym. Prawda, że niejedna Helenka, pozbawiona pieszczot rodzicielskich i wygódek, do których przez lat kilkanaście przywykła może nie potrafiłaby wytrwać w téj szkole, zamęczyłaby się i rozchorowała; ale niepodobna chyba dać dobréj i skutecznéj rady dla wszystkich temperamentów i dla wszystkich położeń w życiu. Helenka p. Urbanowskiéj umiała przebyć ciężką próbę i wyrobiła

się na dzielną niewiastę, rozumiejącą swoje obowiązki jednostkowe i społeczne, zdolną do utrzymania się przy życiu. Oby czytelniczki z jéj przykładu korzystały jaknajwięcéj!...

= **Szkice Klina**; *części II, zeszyt 4—6* (*str. 137—286*).—Powołując się na to, co o poprzednich trzech zeszytach *Szkiców Klina* w „Ateneum" z r. 1882 napisano, zaznaczyć wypada, co sam autor o swoim pisarskim zawodzie w ostatnim zeszycie wyraził. „Jeżeliby mnie maluczkiego — powiada — ktoś zapytał, dla kogo ja czasem czernię papier, odpowiedziałbym mu szczerze, iż dla małéj bardzo garstki—trutniów, podobnych do mnie, którym przyjemnie jest usłyszéć kiedyniekiedy oddźwięk własnych swych mrzonek" (str. 222). Jeżeli to wyznanie jest rzeczywiście szczere, nie zaś pesymistycznie przesadne, jak większa część paradoksów Klina, to nie powinien się autor dziwić, że krytyka nasza tak rzadko i w tak krótkich słowach załatwiała się z jego *Szkicami*. Krytyka ta niestety nawet o tych dziełach, które wyraźnie i jawnie mają cel społeczny, milczy bardzo często w sposób grzeszny, a miałaby się zajmować pismami, które wyraźnie są przedstawiane jako oddźwięk mrzonek indywidualnych, których autor podaje się i to z naciskiem za zupełnego indyferenta w rzeczach i sprawach społecznych? (str. 270). Autor jest wielbicielem Pyrrona, którego zowie „najszczytniejszym myślicielem, jakiego dotąd ludzkość wydała" (str. 161), za hasło swoje bierze zdanie, iż niedowierzanie (lub wątpienie) jest początkiem mądrości (str. 278), o pożytek, o korzyść społeczeństwa dba mało, stawiając na ostatnim planie względy utylitarne; cóż więc dziwnego, że takie głosząc zdania, sam obudza niedowierzanie, wątpliwości co do pożytku, jaki społeczeństwo z pism jego wyciągnąćby mogło. Społeczeństwo z poczucia samozachowawczego musi się miéć na ostrożności wobec jednostek, które korzystając z dobrodziejstw stanu uspołecznionego, niewyłączającego bynajmniéj bied najróżnorodniejszych, chcą żyć same w sobie i dla siebie. Klin wié o tém bardzo dobrze i stara się uspokoić obawy twierdzeniem, iż „społeczeństwo ludzkie już dlatego samego, że istnieje, jest zbyt żywotném i obchodzącém samo siebie, ażeby mogło większą ilość indyferentów wytwarzać, i że „jak zdarzają się w niém od czasu do czasu jednostki potężnych namiętności, tak i trafiają się pojedyńcze tylko indywidua zupełnie ich pozbawione, lub też do tyla zdolne panować nad sobą, że żelazną wolą umieją niemi zawładnąć i zmusić do milczenia" (str. 270). Ale wiedząc to, zgodziłby się powinien, że im mniéj jest jednostek indyferentnych na dobro ogólne, tém dla społeczeństw lepiéj. Nie należy tylko mieszać indyferentyzmu z oryginalnością i prawdziwą wielkością, ak to zdaje się robić Klin, kiedy mówi: „Ażeby być uznanym

przez ludzkość za wielkiego, potrzeba być koniecznie tak małym, jaką ona właśnie jest i skupić w sobie wszystkie jéj nikczemności. Ludzkość zawsze w swoich wielkich czci tylko samę siebie. Nie może ona pojąć nic, co niéma z nią, z jéj własną korzyścią ścisłego związku, i sama będąc najpotworniejszym egoistą o milionie głów, nie może ścierpiéć nikogo niechcącego się jéj jak Molochowi oddać na pożarcie i śmiącego pozostać samym sobą i choć trochę dla siebie" (str. 272). Samym sobą pozostać można i, gdy są odpowiednie zdolności, to nawet i potrzeba, żyć dla siebie nie tylko trochę, ale nawet wiele—wolno, tylko nie należy się tak bardzo nad tę biedną ludzkość wynosić, kiedy się jest człowiekiem, który, jak każdy człowiek, wyleźć z własnéj skóry nie potrafi i dzieli z tą ludzkością wyrzucany jéj olbrzymi egoizm, nie milion—ale jedno-głowy. — Po za témi wywnętrzeniami Pyrronowsko-samolubnemi jest wszakże w *Szkicach* Klina dużo myśli, ujętych w jędrne, krótkie zdania, a mogących pobudzić do głębszéj i pożytecznéj rozwagi, choćby się ich w końcu nie podzieliło. Do takich ustępów należy cały jeden szkic pod nap. *Przedesnem*, i znaczna część szkiców: *Żołądek i mózg*, *Z trylogii życia;* a wreszcie w rozprawie: *Jeszcze on* teorya męskich i żeńskich talentów, mająca na celu wywalczenie uznania dla aforyzmów ciężarnych myślą w przeciwstawieniu do dzieł obszernych, wykończonych. Męskimi duchami zwykle ale nie wyłącznie bywają, zdaniem Klina, poeci i filozofowie, żeńskimi — uczeni i przywódcy a naczelnicy religii, szkół lub doktryn. „Owóż niewątpliwie—powiada Klin — ci drudzy więcéj pozornego użytku przynoszą ludzkości, więcéj bezpośredniego, natychmiastowego, a stąd zdają się i zasługiwać na większe uznanie i wdzięczność — lecz jest to najzłudniejsze pojmowanie rzeczy. Uczeni i doktrynerzy są to tylko znakomite *maszyny duchowe*, z których przepyszne mogą dzieła wychodzić, ale maszyny niezdolne działać bez puszczenia ich w ruch przez kogoś, bez pierwszego motoru, pierwiastku czynnego męskiego ducha" (str. 232). Uznanie dla twórczéj myśli należy się bezprzecznie, ale jeżeli myśl taka nie stała się płodną dla ludzkości, aż wówczas dopiero gdy ją duch żeński, jak powiada autor, w ciało przyoblekł, to nie jest to wynikiem złudzenia, gdy temu żeńskiemu duchowi cześć oddajemy. Myśl ginąca bezowocnie, jak wszystko co umiera młodo, może budzić tylko współczucie.

= **Donkiszot żydowski**, *szkic z literatury żargonowéj żydowskiéj przez Klemensa Junoszę* (Warszawa 1885, str. 156). — Interesująca to książka, jakkolwiekbyśmy się nie zgodzili z autorem, iżby nam rzeczywiście odsłaniała tajniki życia żydowskiego, wewnętrznego, rodzinnego i towarzyskiego. Ściśle biorąc, jeden tylko rys istotnie bar-

dzo mało znany odsłania nam ona, to jest rodzaj marzeń, którym czytelnicy książek żydowskich oddawać się mogą, po za ściśle religijnemi lub praktycznemi interesami. Westchnienia za idealną jakąś ojczyzną, w któréj żyją szczęśliwe „czerwone żydki“, w któréj płynie rzeka Sambatya, do któréj chcąc się dostać, trzeba zwalczyć takie potwory jak Pipernoter, Lindenworim i t. p.—oto rzeczy całkiém chyba w naszéj literaturze nowe. To, co o życiu rodzinném i kahalném dowiadujemy się tutaj, jest znanym nam aż do uprzykrzenia szablonem, przedstawiającym mężów pod pantoflem, głupich i nadętych mędrców, przebiegłych obłudników; są-to właściwości wszędzie napotykane i dlatego pewnie tak często wspominane. Nie chcemy jednak przez to wydzielenie znanych od nieznanych obniżać wartości książki Klemensa Junoszy, który nauczył się żargonu żydowskiego w tym celu, ażeby módz zajrzéć głębiéj w tę literaturę nie tylko ogółowi ale i inteligencyi większości kraju nieznaną, ażeby módz stamtąd wydobyć materyał rozświetlający wewnętrzne stosunki żydów. Barwnym wynikiem téj pracy jest właśnie ów „Donkiszot żydowski“, będący sprawozdaniem obszerném z książki Abramowicza, płodnego pisarza żargonowego. Junosza oddaje temu autorowi bardzo wielkie pochwały, talent jego podnosi wysoko. O ile z tych znacznych wyciągów, jakie Junosza podał, sądzić wolno, niepodobna istotnie zaprzeczyć Abramowiczowi znacznego zasobu szyderskiego dowcipu, niepodobna w jego działalności nie uznać szlachetnéj dążności wstawiania się u bogatych za biednymi i upośledzonymi; ale trudno mu przyznać talent kompozycyi i umiaru artystycznego. Znajduje się on w téj fazie rozwoju, w któréj zostawało powieściopisarstwo ze sto lat temu, kiedy gromadzenie tylko przygód miano wyłącznie na widoku, nie dbając ani o umotywowanie wypadków, ani o trafny rysunek charakterów, ani wogóle o psychologiczną i artystyczną stronę utworu. Tylko nastrój wyróżnia opowiadanie Abramowicza od owych powieści awanturniczych. Nastrój ten ironiczny, szyderski wogóle, znaczną dawką przesady wschodniéj i skłonności do karykatury, zbliża utwór Abramowicza do czasów nowożytnych. Nie przywiązując zbyt wielkiéj wagi do niego, zapoznanie z nim ogółu polskiego uważamy Klemensowi Junoszy za przysługę zrobioną naszemu piśmiennictwu. „Donkiszot żydowski“ nie jest jego wzbogaceniem, ale rozszerza widnokrąg porównawczy.

= **Perły humoru polskiego.** Nakładem i pod redakcyą Kazimierza Bartoszewicza wychodziło od r. 1884 zeszytowe wydawnictwo w dwumiesięcznych odstępach czasu, zawierające zbiór krótkich przeważnie utworów, nacechowanych dowcipem, humorem, ironią

lub satyrą, bez względu na to, czy były pisane prozą czy wierszem. Zbiór ten urósł obecnie w dwa spore tomy i przedstawia obfity materyał zarówno dla tych, co w czytaniu rozrywki przedewszystkiém szukają, jak i dla tych, co chcieliby studyować przejawy właściwego pisarzom polskim humoru w przeciągu czterech blisko stuleci, od XVI do XIX włącznie. Dla pierwszych pomieszanie wieków, autorów, prozy i poezyi przedstawia pożądaną wielce rozmaitość, dla drugich niejakie utrudnienie w dobieraniu jednorodnych utworów, zwłaszcza, że wydawca-redaktor zaniedbał rzeczy w takiém zbiorowém wydawnictwie bardzo ważnéj, t. j. indeksu czyli spisu autorów z których czerpał i pism tychże w zbiorze tym pomieszczonych. Niedogodności téj mógłby jeszcze wydawca zaradzić, gdyż z powodu powodzenia, jakiém się cieszą „Perły humoru polskiego“, nie poprzestał na 2 tomach, lecz ogłosił przedpłatę na dwa drugie; po ukończeniu zatém zbioru dobrze byłoby dać dokładny spis całego zawartego w nim materyału. Nie wszystko wprawdzie, co do niego przyjął p. Bartoszewicz może naprawdę nosić nazwę „pereł“; są tu bowiem dość często pospolite różnobarwne kamyczki, a niekiedy i prosty piasek, w każdym razie jednak nie jest to byle jakie nagromadzenie tych kawałków, które się na podorędziu znalazły, lecz wydawnictwo prowadzone z rozmysłem, starające się publiczność spółczesną zaznajomić za pośrednictwem przynęty nowszéj z literaturą naszą dawniejszą. Na pochwałę jego i to dodać należy, że redaktor nie poprzestaje na wyciągach z druków, ale przegląda także rękopisma z wieków poprzednich i z nich dość znaczne podaje wyjątki, a tym sposobem wzbogaca nawet ogólny zasób naszego piśmiennictwa.

= **Maryla,** *szkic literacko-biograficzny przez Wł. Bełzę* z 5 rycinami i autografem Maryli. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1885 (str. 70). Tak samo jak wydana w roku 1884 przez p. Wł. Bełzę „Kronika z życia A. Mickiewicza,“ i obecna téż książka jego ma charakter niekrytycznego nagromadzenia wiadomości. Autor po staremu, lubo należy do młodszego pokolenia, dba przedewszystkiém o to, ażeby rzecz jego czytała się przyjemnie, ażeby zaciekawić i wzruszyć, nie zaś o to, ażeby opowiadać ścisłą prawdę i tylko prawdę, o ile jéj poznanie w ludzkiéj jest mocy. Pozwala więc sobie jako historyk tych swobód, któremi posługują się powieściopisarze, stara się być wszechwiedzącym za pośrednictwem wyobraźni tam, gdzie niéma lub nawet nie może być żadnych świadectw autentycznych. Wie on napewno, że Mickiewicz i Zan jadąc na wakacye do Tuhanowicz w r. 1818 „wesołą ze sobą prowadzili rozmowę“ (str. 11), lubo równie prawdopodobną jest rzeczą, iż mogli ziewać lub drzémać; wie, że

Maryla „umiała *odrazu* przeniknąć duszę Adama," że „odgadłszy duszę Adama, *wzięła sobie za zadanie* pielęgnować i podsycać iskrę bożego natchnienia, która w niéj tlała" (str. 19 i 20), chociaż o takiéj roli kobiet w życiu naszém umysłowém na początku wieku XIX nie posiadamy takich wiadomości, żebyśmy przypuszczalnie nawet mogli ją Maryli przyznawać czy narzucać. Te dwa przykłady wystarczą do ucharakteryzowania jednéj strony nieścisłości krytycznéj. Druga polega na całkiem dowolném braniu utworów poetyckich za szczegóły życiorysowe. Utwory poetyckie, zwłaszcza liryczne, mogą niewątpliwie posłużyć biografowi do odtworzenia nastroju uczuć poety w tych chwilach, kiedy utwory te pisał, ale błędem jest brać je za dokładne odbicie stosunków rzeczywistych we wszystkich szczegółach i przenosić je bezwzględnie na osoby i rzeczy, co je wywołały. Poeta nie potrzebuje być historykiem swych uczuć i po większéj części nim nie jest. Z „Dziadów" Mickiewicza i z niektórych jego ballad, gdyby się brało dosłownie wyrażenia tam znajdowane, możnaby ułożyć, historyą miłości do Maryli całkiem niepodobną do téj jaką znamy z urywków listów i opowiadań. P. Bełza uniknął oczywiście grubszych omyłek tam, gdzie bezpośrednie świadectwa nakazały mu wstrzymać się od cytowania wierszy z „Dziadów", ballad, sonetów itp., ale nie zachował ostrożności tam, gdzie świadectw takich nie było. Gorące, namiętne słowa poezyi, ostatnie widzenie się z Marylą jakoby w przeddzień ślubu itp. przedstawia jako fakta, choć je zna tylko z utworów poetyckich Adama. Z książki p. Bełzy dowiadujemy się ciekawego szczegółu, że istnieją dotychczas niedrukowane listy Maryli do Adama w ręku jego syna; jest więc nadzieja, że kiedyś będziemy mogli trochę dokładniéj niż obecnie poznać rzeczywisty stosunek tak zajmującéj pary. Ciekawym téż jest oddrukowany tu list p. Stanisława Puttkamera, syna Maryli, podający datę urodzenia i śmierci swéj matki, oraz parę szczegółów przeczących rozpowszechnionym przez Domejkę i Odyńca wieściom. Zdobi tę książkę portrecik Maryli (prawdopodobnie) znaleziony w papierach Mickiewicza oraz cztery widoki zdjęte fotograficznie przez B. Dybowskiego (Tuhanowicze, Dwór w Tuhanowiczach, Adam Mic. w Tuhanowiczach, Jezioro Świteź).

— **Zestawienie bibliograficzno-porównawcze utworów Adama Mickiewicza**. *Ułożył Maurycy Stankiewicz*, Kraków, 1885. Jestto duża tablica, na któréj w dość dowolnym porządku podał autor spis utworów z wymienieniem tomów i stronic czternastu zbiorowych wydań pism Mickiewicza. W przypiskach zaznaczył datę i miejsce pierwszego ukazania się w druku niektórych utworów oraz wątpliwości co do kilku z nich. Szkoda że autor nie ułożył spisu

swego alfabetycznie; ułatwiłby tym sposobem odszukanie wielu drobnych zwłaszcza poezyi; ponieważ zaś pewna ich część nie ma właściwych nadpisów, tylko przytaczana bywa według pierwszego wiersza; w układzie zatém abecadłowym należałoby je według początkowych wyrazów uszeregować. Tablica ta i w obecnym jednak stanie może stać się pożyteczną dla badaczów pism Mickiewicza, przez umniejszenie im pracy sprawdzania, co w którém wydaniu istnieje a co nie.

— **Adam Mickiewicz. Pan Tadeusz** *czyli ostatni zajazd na Litwie historya szlachecka z r. 1811 i 1812 w XII księgach wierszem. Przedruk wydania paryskiego z r. 1834. W Krakowie, nakł. księgarni antykwarskiéj W. Chaberskiego, 1886* (str. II, 276). Gdyby tytuł wydania mówił prawdę, tj. gdyby istotnie byłto przedruk pierwszéj edycyi „Pana Tadeusza,“ możnaby je powitać jako próbę uprzystępniania dla badaczy literatury wydań dzisiaj już bardzo rzadkich. Tak jednakże nie jest. Wydawca nie tylko nie zachował ortografii 1-go wydania nie tylko nie trzymał się form gramatycznych przez poetę przestrzeganych (np. drukuje „po Twoj*ą* opiek*ę*“, zam. pod Twoj*ę* opiek*ę*; „przenoś moj*ą* dusz*ę*“, zam. przenoś moj*ę* duszę itp.): ale nadto przedrukowuje z późniejszych wydań to czego w pierwszém wcale niéma (np. 10 wierszy w zakończeniu księgi III), nie ostrzegając o tém czytelnika. Co więcéj pozwala sobie robić poprawki niczém nieuzasadnione (np. w I księdze zamiast: „tuż stało *wody pełne* naczynie“ drukuje: „tuż stało *pełne wody* naczynie“; w ks. III, zamiast: „Szła spać wcześnie, żeby *przebudzić się* zrana“ drukuje: „Szła spać wcześnie, ażeby *obudzić się* zrana“). Wskazane tu wady są ostrzeżeniem, iż wydanie to bynajmniéj dla badaczów nie może zastąpić pierwszéj edycyi „Pana Tadeusza“ i ma tylko takie znaczenie jak każde inne nie zbyt starannie do druku przygotowane.

— **Poezye Adama Mickiewicza.** *Nowe uzupełnione wydanie, ułożone przez Piotra Chmielowskiego*, 3 tomy. ~~Warsza~~wa. Nakład księgarni A. Gruszeckiego, Warszawa 1886. Jestto najzupełniejsze, jakie tylko w warunkach naszych być mogło wydanie poezyi naszego wieszcza. Tom I y zawiera wstęp pióra Piotra Chmielowskiego „Adam Mickiewicz w świetle najnowszéj krytyki,“ dwie przedmowy samego poety (o poezyi romantycznéj 1822, o krytykach i recenzentach warszawskich 1829), oraz poezye mniejsze podzielone na 8 działów: 1) Przemowy, ody i pieśni, 2) Ballady i romanse, 3) Sonety erotyczne, 4) Sonety krymskie, 5) Erotyki i elegie, 6) Poezye religijno-gnomiczne. 7) Wiersze albumowe i improwizacye, 8) Bajki i powiastki. W dodatku do tego tomu mieszczą się wiersze podawane w pismach Mickiewicza, których autentyczność jednak jest zakwestyonowana. Tom II-i obejmuje Poemata (Warcaby, Grażynę, Dziadów część 1-ą,

2-ą i 4-ą, Konrada Wallenroda i Farysa) oraz Przekłady (oprócz drobnych poezyi, Giaura). Tom III-i wreszcie zawiera „Pana Tadeusza.“ Papier i druk ładne.

— We Lwowie zaczęło od nowego roku wychodzić czasopismo miesięczne, nauce i literaturze poświęcone p. n. **Przegląd Społeczny**. Pierwszy zeszyt jego (składający się ze str. 96) zawiera treść bardzo urozmaiconą i wielce interesującą. Pomijając nowelkę p. Michała Wołowskiego, osnutą na stosunkach irlandzkich z końca wieku zeszłego, o któréj jako o całości mówić niepodobna, gdyż skończoną nie jest, czytamy tu najprzód początek artykułu Bolesława Limanowskiego: „Polska w czasie wielkiéj rewolucyi francuskiéj i wpływ téj ostatniéj na nią.“ W tym początku znajdujemy zarys poglądów polityczno-społecznych Hugona Kołłątaja i autora „Myśli politycznych dla Polski“ (podobno Wybickiego). Redakcya zaznacza, że p. B. na podstawie całości swéj pracy doszedł do wniosku, że naród nasz na schyłku XVIII stulecia „począł zajmować wybitne stanowisko, przemawiające za tém, że niekrępowany jego rozwój oddziaływałby dobroczynnie na ogólne przeobrażenie się polityczno-społecznego stanu ludów europejskich.“ Daléj znajduje się w tym zeszycie krótkie a rozumnie napisane studyum polityczne T. T. Jeża p. n. „Madjary a Kroaci.“ Artykuł Jerzego Brandesa: „Typy kobiet niemieckich“ zawodzi nieco oczekiwanie, jakie taki obserwator i stylista obudza; daje bowiem króciutkie, pobieżnie kreślone sylwetki kilkunastu znanych sobie kobiet w różnych stronach Niemiec, sylwetki rzadko kiedy przedstawiające jakiś rys ciekawszy. Rzecz o „Konkurencyi amerykańskiéj“ oparta jest na dziele Rudolfa Meyera: „Ursachen der amerikanischen Concurrenz,“ jak sam sprawozdawca, oznaczony literą *K.* zapowiada. „Przyczynek do wyjaśnienia skutków ucisku przekonań religijnych,“ wzięty przez *B. W.* z ostatnich czasów, podaje wymowne dowody potrzeby pozostawienia zupełnéj swobody w zakresie wyznań religijnych ze względu na szczęście mas ludowych. Dział sprawozdań jest stosunkowo do objętości zeszytu obfitym, a „Kronika spółczesna“ zawiera cenne uwagi o agrarném przesileniu w Galicyi, o wychodztwie włościan z Królestwa i o partyach politycznych we Francyi. Język i styl wydawnictwa wiele pozostawiają do życzenia pod względem czystości i poprawności; ale doniosłość podejmowanych tu kwestyi i sposób ich przedstawiania spokojny a rozważny łatwo dają zapominać o usterkach, które zresztą zbyt rażącemi nie są. Czy się to czasopismo utrzyma w Galicyi? Zobaczymy.

— Od początku r. 1885 wychodzi we Lwowie czasopismo miesięczne p. n. **Muzeum**, będące organem „Towarzystwa nauczycieli

szkół wyższych.“ W znanych nam kilku numerach pomieściło ono kilka zajmujących pod względem pedagogicznym lub wogóle naukowym rozprawek, wiele sprawozdań i recenzyi zarówno z ojczystéj jak i z obcéj literatury dotyczącéj szkół i nauk, podało szczegóły z działalności różnych kółek, na które „Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych“ podzieliło się w różnych miejscowościach Galicyi. Jestto wydawnictwo pożyteczne i warto, żeby się nauczyciele poza granicami Galicyi lepiéj z niém zapoznali. Zeszyt styczniowy z roku bieżącego, wydany przez nowego już redaktora, dra Maurycego Maciszewskiego, zawiera początek ciekawéj i nieźle pisanéj rozprawy p. Antoniego Chudzińskiego p. n. „Thanatos,“ przedstawiającéj „pojęcia o śmierci i życiu zagrobowém starożytnych Greków.“ W rozdziale I-ym mówi autor o moralném znaczeniu śmierci u Greków od czasów homerycznych aż do zwycięstwa odniesionego przez chrześciaństwo, nad religią i moralnością Greków i Rzymian. Pan Korneli Fischer podał tu dokończenie swego artykułu „o lekturze greckiéj w gimnazyum wyższém i sformułował swoje zapatrywanie na tę kwestyą w słowach następnych: „Aby lektura grecka w naszych gimnazyach mogła w całéj pełni mieć wartość moralną i kształcącą, wydaje mi się odpowiednią rzeczą usunąć lekturę Demostenesa warunkowo, a Herodota bezwarunkowo, natomiast zatrzymać lekturę Sofoklesa w rozmiarach wskazanych przez Zarys organizacyjny (dwie tragiedye), lekturę zaś Platona w rozmiarach wskazanych przez nowe instrukcye (tj. tłómacząc małe dyalogi: Apologię, Krytona, Eutyfrona, Lachesa), wreszcie zatrzymać, a nawet rozszerzyć lekturę Ksenofonta.“ Oprócz sprawozdania ze spraw Towarzystwa i artykuliku p. Teodora Stahlbergera („O systemie lokacyjnym“ uczniów w klasie) znajdujemy w tym styczniowym zeszycie obfity dział recenzyi p. n. „Ruch naukowy,“ pisanych przez pp. Leona Kulczyńskiego, Zygmunta Samolewicza, T. Mandybura, Al. Semkowicza, Ant. Prochaskę, Fr. Papée i in. Kronika wiadomości bieżących, rozporządzeń rządowych dotyczących szkoły, a wreszcie dwa wspomnienia o zmarłych nauczycielach (Józefie Bodyńskim i Janie Marcelim Gramskim) kończą ten szczupły objętością (str. 52) a jednak wielce urozmaicony zeszyt.

— **Gunilla**, *poemat z czasów średniowiecznych. Napisała Jadwiga Z.* (*Warsz. Ant. Lesman 1886 str. 40*). Nieraz już robiono w tém piśmie uwagę, że najnowsza epika nasza obraca się jeszcze ciągle w zaczarowaném kole romantyki, nie mogąc się zdobyć na inny, odpowiedniejszy dzisiejszym realistycznym wymaganiom sposób obrabiania tematów poetycznych. Zarówno nieudolni jak i najbardziéj utalentowani poeci, co w liryce niejedno arcydziełko stworzyli, oka-

zują się słabymi w zakresie epiki. I najnowsza w tym względzie próba nie zadaje kłamu owemu spostrzeżeniu. Jadwiga Z. uwydatniła w *Gunilli* i myśli poszczególnych sporo i talent obrazowania i zapal. ale nie potrafiła stworzyć całości, którąby bodaj znośną nazwać było można. Pomysłem przypomina „Gunilla“ straszliwe opowieści rozszalałéj romantyki, a wykonaniem—jéj lekceważenie dla jasnego i porządnego rozwijania tematu. W nieoznaczonym czasie a w bardzo skąpo określonéj miejscowości umieszcza autorka akcyą swego utworu. Akcyą?... może zawiele wypowiada to słowo względnie do treści „Gunilli.“ Wypadków bowiem jest w niéj bardzo mało, więcéj daleko refleksyi i apostrof. Rycerz zdradził wierną kochankę; brat kochanki poślubił nową ukochaną zdrajcy; zdrajca zabił tego brata a niedoszłą żonę porwał. Wszystko to opowiedziane jest wkrótkości przez Gunillę, owę zdradzoną kochankę rycerza, która przebrawszy się w strój pielgrzyma zjawia się w zamku jego, kiedy się tam odbywa wesele i pieśnią swoją wywiera zemstę, gdyż rycerz posłyszawszy opowiadanie wstrząsnął się śmiertelnym dreszczem, na ustach pokazała mu się piana, bielmem zaszły oczy. Gdyby autorka w rzeczywistości choć cząstkę posiadała téj potęgi słowa jaką w zmyśleniu przypisuje swéj bohaterce, możeby potrafiła zapanować nad umysłem czytelnika, zasłaniając mu oczy na nieprawdopodobieństwa swéj opowieści; ale niestety, umie się ona skarżyć tylko na wiek pełen prozy, który za pieśń zapłaci jéj może uśmiechem szyderstwa, potępieniem lub niezwróceniem uwagi. To ostatnie, najdotkliwsze chyba dla każdego twórcy, nie spotkało autorki; o jéj poemaciku pisma pomieściły dość licznie sprawozdania; szyderstwa nie brakło wprawdzie, lecz nikt zdaje mi się nie potępił próby, która nieświetnie wypadła. „Ptaszę zawsze nuci“—powtarza Jadwiga Z. za wszystkimi poetami; nie przyczymy; ale rozróżniamy i rozróżniać musimy śpiew słowika od śpiewu kanarka lub gila.

═ **Zapiski herbowe** *z dawnych ksiąg ziemskich przechowanych w archiwach radomskiém i warszawskiém zebrał Karol Potkański.* (Kraków, 1885, 4-to, str. 35). — Po obszerném wydawnictwie p. B. Ulanowskiego *„Inscriptiones clenodiales“* ukazały się w krótkim czasie niniejsze zapiski w liczbie 105 (dziesięć z wieku XIV, reszta z XV w.), zebrane przez wydawcę w księgach piotrkowskich, sieradzkich, radomskich, radomskowskich, grójeckich, zakroczymskich i warszawskich. Wiązanka to faktów, względnie uważając, szczupła, ale dużo pracy kosztowała. P. Potkański dołączył nadto wykaz tych proklam i tematów herbowych, które w księgach podane są w języku polskim,— co ułatwia oryentowanie się w tym zbiorze. Zapiski, o ile sądzić o tém można bez porównania z oryginałami, odczytane zostały sta-

rannie; niech jednak wolno tu będzie wyrazić domysł, że w Nr. 42 zamiast *Lochnisko* winno być *Lochińsko*, dzisiejsze Łochyńsko, a w Nr. 94-tym zamiast *Sczuczow* raczéj *Sczerczow*. Twierdzenie wydawcy (str. 3), jakoby *Bielina* była nieznanym dotąd klejnotem, nie jest dokładném: wszakże to znana dawno Białynia.

= Do niezbyt licznych *oryginalnych* badań nad dziejami nowoczesnych ruchów społeczno-rewolucyjnych przybył w końcu roku zeszłego cenny przyczynek w książce *dra Jerzego Adlera* pod tyt. **Die Geschichte der ersten socialpolitischen Arbeiterbewegung in Deutschland mit besonderer Rücksicht auf die einwirkenden Theorieen.** (Wrocław, 1885). Przymiot oryginalności podkreślamy, ponieważ z pomiędzy mnóstwa książek i broszur, traktujących o téj sprawie, bardzo przeważna większość stanowi tylko mniéj więcéj zręczne kompilacye z kilku głównych dzieł źródłowych. Autor wprawdzie dla ułatwienia sobie pracy ograniczył swoje badania do jednego tylko narodu, a w nim do jednego głównie okresu, mianowicie piątego dziesiątka bieżącego stulecia, ale nie zmniejsza to jego zasługi. *Multum, non multa!* Zaznaczywszy w krótkości pierwsze nieudałe próby socyalistycznéj propagandy w Niemczech, dokonane przez Ludwika Galla i Jerzego Büchnera, kreśli następnie Adler obszerniéj historyą agitacyi Wilhelma Weitlinga w Szwajcaryi, a daléj dzieje rozmaitych drobnych stowarzyszeń i zaburzeń, oraz efemerycznych pism i broszur socyalistycznych, jakie się dosyć licznie tu i owdzie w Niemczech pojawiały pomiędzy rokiem 1845 a 48. Po roku 1848 zajmuje się najprzód autor bliżéj „niemieckim socyalnym związkiem robotniczym“ i stowarzyszeniami fachowo-rzemieślniczemi, poczém blisko połowę dzieła poświęca dziejom „Związku komunistów“ i działalności najważniejszych jego członków (Marxa, Engelsa, Willicha, Schappera i innych) od czasu, gdy Marx został obrany dyktatorem (d. 3-go marca 1848 r.), aż do rozwiązania się obu frakcyi związku (Marxowskiéj w końcu r. 1852, chociaż rzeczywiście istnieć już ona przestała od aresztowania kolońskich komunistów w maju r. 1851, oraz Willich-Schapperowskiéj na początku roku 1853). Zakończa książkę ogólny pogląd na zobrazowane ruchy i ich źródła społeczne. Całe dzieło zawiera mnóstwo szczegółów bardzo ciekawych, w pewnéj części dotąd szerzéj nieznanych. Autor względem opowiadanych faktów zajmuje stanowisko zupełnie bezstronnego historyka; w teoretycznych zaś swoich poglądach, jakkolwiek wierzy w odległą przyszłość socyalizmu, twierdzi, że w czasach dających się przewidzieć (*in aller absehbaren Zeit*) socyalistyczne plany zniesienia własności prywatnéj i komunistycznego urządzenia społeczeństwa nie mogą liczyć na urzeczywistnienie. Z tego powodu radzi dr. Adler socya-

listom porzucić utopie i pracować nad stopniowém wprowadzaniem w życie reform w danym czasie i danych warunkach możliwych, a mających na celu względną, choćby częściową tylko poprawę bytu klasy robotniczéj.

═ Czasopisma berlińskie donoszą, że w stolicy państwa Pruskiego zacznie niebawem wychodzić gazeta w języku polskim, pod tytułem **„Nowy Dziennik“**. Redaktor jéj, dr. Seweryn Robiński, przed dwudziestu kilku laty debiutował w prasie peryodycznéj, a w roku zeszłym wydał książkę charakteru publicystycznego pod nap. „Nasze stósunki społeczno-polityczne z życia naszkicowane, jako przyczynek do ich historyi i naprawy“ (Berlin, księgarnia Stuhr'a, pod Lipami 61), w któréj roztrząsa obszernie położenie obecne naszych rodaków pod berłem pruskiém, oraz potrzeby, nastrój i dążenia różnych warstw społecznych téj ludności. „Nowy Dziennik“ ma wystąpić z opozycyą przeciw wyłączności kierunku, reprezentowanego dotąd przez „Dziennik Poznański.“





KRONIKA MIESIĘCZNA.

B. Bank polski. — Odkrycie, czy wynalazek? — Reformatorski ferwor młodości. — Wydawnictwa ludowe i wyrzut W. D. polakom. — Odpowiedź „Przeglądu Katolickiego". — Sprawa narodowościowa przed parlamentami. — Groźby Bismarcka. — Sejm Galicyjski. — Projekty reform szkolnych.—Usposobienie większości.—Serdeczność i kolce jeżowe.—Obowiązki po za mową sejmową. — Plany ugodowe przy współudziale Akademii.— Jubileusz strażacki.—Stacya oceny nasion. —Sprawozdanie akcyzy. — Niepamięć członków Towarz. popierania przemysłu i handlu.

Bank Polski był Nestorem instytucyi rządowych, działających w ostatnich latach w granicach Królestwa. Gdy inne dociągają zaledwie do trzeciego lub drugiego krzyżyka, on przed kilkoma już laty obchodził pięćdziesiątą rocznicę narodzin. Stary był, to też już wtedy na urodzinowéj uczcie wśród powinszowań, mów, toastów czuć się dawała obawa o życie czcigodnego solenizanta. Założono go 17 stycznia 1828 roku, w dniu zaś 13 stycznia 1886 roku ustąpił miejsca *Kantorowi Banku Państwa*. Są wypadki śmierci, kiedy nieboszczyków nie zamykają w trumnę i nie odwożą na cmentarz, lecz grzebią na miejscu zgonu. W takich razach nekrologi nie tyle się zajmują życiem zmarłego, ile opisaniem ceremoniału, który aktowi towarzyszył. Przeniesienie Banku Polskiego do historyi nosiło właśnie ten sam charakter. Sprawozdania pism warszawskich odznaczały się suchością; daleko więcéj interesujących szczegółów pomieściły dzienniki petersburskie, to téż od nich zapożyczymy kilku wierszy, aby dać czytelnikom „Ateneum" pojęcie jak się rzecz odbyła. Obszerny artykuł „Nowawo Wremieni" częścią streścił, częścią przedrukował „Wiek".

„Zrazu miano zamiar — są słowa organu nadnewskiéj opinii — odbyć tę ceremonią uroczyście; więc chciano po raz pierwszy w Prywiślańskim kraju dokonać tego, aby jednocześnie byli tu obecni

przedstawiciele trzech wyznań chrześciańskich w kraju podczas modłów i pokropienia wodą gmachu kantorowego.“

„Wywarło by to — upewnia daléj „Nowoje Wremia“ — silne i miłe wrażenie na ludność i zaświadczyło by o pięknėm, pokojowém znaczeniu uroczystości. Niestety jednak arcybiskup katolicki Popiel z powodu choroby nie przybył na ceremonią, jako przyrzekł, i musiano poprzestać na jednym arcybiskupie Leoncyuszu. Towarzyszył mu wprawdzie protestancki biskup Ewert, ale żadnego udziału w obrzędzie nie brał. Szczegóły te są charakterystyczne dla tego, że ważna dla kraju reforma, dokonana z punktu widzenia władz rosyjskich, w duchu rosyjskim, winna była bez najmniejszéj wątpliwości mieć znaczenie nowego kroku na drodze do pogodzenia i przyjaznego współudziału wszystkich miejscowych narodowości i wyznań. W rzeczywistości zaś stało się całkiém inaczéj. Mówią nawet, że było trudno znaleść robotników, którzyby podjęli się zdjąć napis polski na gmachu kantoru „Bank Polski“, a kiedy nareszcie natrafiono na chętniejszych po temu w jednéj z fabryk wyrobów metalowych, to dzienniki zaraz rozgłosiły w jakiéj to mianowicie fabryce znaleźli się tacy robotnicy.“

Uchyliwszy raz głowy przed gałązką oliwną, ocieniającą zamianę Banku Polskiego na Kantor Banku Państwa, „Nowoje Wremia“ wyraża życzenie, aby nieprzestawała ona powiewać dobroczynnie nad krajem. „Uważamy za rzecz niezbędną powtórzyć, że i dalsze kroki na drodze zjednoczenia kraju z pozostałą Rosyą są jak najsympatyczniejsze dla każdego rosyanina.“ „Dalsze zaś kroki“ powinny być skierowane ku reformie gminy w Królestwie. Kiedy skończono już z Bankiem, należy doprowadzić zarządy gmin do jedności z władzami rządowemi i natchnąć je duchem tych władz.“

Trzeci tom Historyi Powszechnéj Iłowajskiego, dodawanéj zwykle do pomocy pedagogom w szkołach rządowych i prywatnych, zaczyna się od rozdziału „Wynalazki i odkrycia.“ Każdy więc mniéj więcéj piątoklasista w pierwszym zaraz kwartale pochlebia sobie, że pojęcia te rozróżnia dokładnie i potrafi zawsze i wynalazek i odkrycie nazwać właściwém mianem. Tymczasem, proszę tak odrazu powiedzieć, czy pomysł „Nowawo Wremieni“ jest wynalazkiem, czy odkryciem? Ale nie tylko odrazu, po namyśle nawet poważnym trudno jest bardzo to zdecydować. Wyszukanie Ameryki przez Kolumba p. Iłowajski zalicza do odkryć, *ergo* znalezienie w Królestwie zarządu gminy, który nie jest organem władz rządowych, też jest odkryciem. Ale Ameryka istniała przed Kolumbem, opisana zaś przez „Nowoje Wremia“ gmina nie istnieje. Przypominają się wynalazki. Przysługa np. jaką Guttenberg okazał amatorom czytania

gazet dla tego nosi miano wynalazku, że przed powzięciem pomysłu przez twórcę nikt takiéj rzeczy ani widział ani słyszał. Więc „Nowoje Wremia“ zrobiło wynalazek. Ale....

Zawieszamy dochodzenie, a natomiast robimy odkrycie, że doradcy z „Nowawo Wremieni“, pragnący uszczęśliwić dojrzałemi reformami 7 milionów ludności Królestwa, mają wybitne talenty na światoznawców *à la Jules Verne*. Są to widocznie ludzie, którym wiek nie stępił jeszcze pomysłowości, z Iłowajskim do czynienia nie mieli, a osobista ich pamięć nie sięga środka pozaprzeszłego lat dziesiątka. Tylko młody wiek i nieznajomość rzeczy mogła pchnąć do lekkomyślnego posądzania ś. p. Milutyna i b. „komitetu urządzającego“ o jakieś separatystyczne knowania. Zapewne kto z osób bezpośrednio interesowanych zwróci uwagę płochym młodzikom i przekona, że gdyby kiedyś pomysł ich co do gminy stał się czynem, to nie będą mieli okazyi powiadamiania wielkiego świata o krnąbrności robotników, niechcących odrywać liter.

„My — mówi „Warszawskij Dniewnik“ w 271 numerze — zdaje się liczyliśmy na niewzruszalność tego wrażenia, jakie wywarły Ukazy z 19 lutego 1864 r. Włościanin tutejszy co prawda nie okazał jeszcze niewdzięczności, ale liczyć na nieskończoną wdzięczność byłoby nierozsądnie. My tymczasem do roku zeszłego niczém nawet nie wspomnieliśmy temu włościaninowi o tém, co dla niego zrobiono 21 lat temu. Dopiero w roku zeszłym wydrukowano „Opowiadania starego Macieja.“ Cóż więc czytali i czytają ludzie piśmienni z pomiędzy włościan tutejszych? Nic chyba, oprócz może książek do nabożeństwa i wogóle książek czysto religijnéj treści oraz „Przeglądu Katolickiego.“ Nie mamy nic przeciwko książkom czysto religijnego charakteru, ani przeciwko „Przeglądowi Katolickiemu“, wychodzącemu za pozwoleniem cenzury. W nich niema nic szkodliwego, nic jadowitego; lecz niema także i wielu rzeczy, które pragnęlibyśmy znajdować w wydawnictwach, przeznaczonych dla ludu. Nie mówiąc już o książkach czysto religijnéj treści, nie pamiętamy, ażeby w „Przeglądzie Katolickim“ znalazło się cośkolwiek, przypominającego czytelnikom włościanom o tém, co oni zawdzięczają cesarzowi Aleksandrowi II. Nie pamiętamy również, ażeby w rzeczonéj gazecie była mowa o obowiązkach poddanego i obywatela względem władzy rządowéj, albo téż o tém, że poddani jednego Monarchy i obywatele jednego państwa, aczkolwiek różni co do narodowości i wyznania, powinni uważać się za braci. Że „Przegląd Katolicki“ wychowuje dobrych katolików, tego nie zaprzeczamy; lecz żeby ta gazeta wychowywała zarazem dobrych obywateli rosyjskich i wiernych poddanych Cesarza rosyjskiego, o tém mamy prawo powątpiewać.“

„Otóż dla czego wypadło nam wziąć w swoje ręce i tę sprawę i postarać się o dostarczenie tutejszemu ludowi zdrowego i pożytecznego pokarmu umysłowego. To komplikuje nasze już i tak bardzo skomplikowane zadanie w kraju Przywiślańskim, lecz cóż robić? Polscy działacze zmuszają nas do zajmowania ich miejsc na wszystkich polach... *Tu l'as voulu Georges Dandin, tu l'as voulu!*"

Takie rozumowania i pobudki stały się przyczyną, iż w roku bieżącym wychodzić będzie w Warszawie pismo „Biesieda." O programie i zadaniu wydawnictwa powiadamia nas tenże sam numer „Warszawskiego Dniewnika."

„Gazeta „Biesieda" jest to wydawnictwo, mające cel specyalny—dać pożyteczną i zajmującą lekturę dla ludu wiejskiego, szczególniéj w rosyjskich miejscowościach tutejszego kraju. Potrzeba podobnego czytania dawała się czuć już dawno; przed 10 laty b. kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego przedstawionym był projekt wydawania taniéj gazety rosyjskiéj głównie dla nauczycieli wiejskich, lecz która by mogła w miarę rozwinięcia się czytelnictwa w rosyjskiém Zabużju być czytaną i przez tamtejszych włościan."

„Punkt wyjścia założycieli „Biesiedy" jest cokolwiek inny naturalnie, ponieważ projekt wychodzi nie od władzy naukowéj, nowe więc wydawnictwo ma na względzie odmienne nieco koło czytelników, a tém samém i inne zadanie. My nietylko życzymy mu powodzenia, lecz do pewnego stopnia liczymy na powodzenie, gdyż wiemy, że do współpracownictwa w tém piśmie zaangażowane zostały wcale nietuzinkowe siły."

Z boleścią wyznać trzeba, iż w zarzucie „Warszaw. Dniewnika": „Polacy zmuszają nas do zajmowania ich miejsc na wszystkich polach", zawiera się wiele, wiele piekącéj prawdy. Niezupełnie tylko ścisłą jest forma wyrażenia. Nie można mówić o przymusie, gdy z jednéj strony niema wcale woli, a z drugiéj jest dużo ochoczości. Po za tém ma zupełną racyą „Warszawskij Dniewnik", iż coraz to mniejszą liczbę miejsc zajmują Polacy szczególniéj na polu służby rządowéj. Do tego jednak trzeba dodać, że w dwóch kierunkach nie zasłużyliśmy dotąd na naganę: nie pozostajemy w tyle po za innemi guberniami przy płaceniu podatków i w szeregach armii nikt nigdy nie był zmuszony nas zastępować.

Zarzuty, uczynione przez W. D. „Przeglądowi Katolickiemu", wywołały ze strony organu naszego kleru długie, cztero-szpaltowe, gruntowne i przekonywające usprawiedliwienie się. Nie chcąc zgrzeszyć nadmiarem cytat, nie przytoczymy tu żadnego ustępu. radzimy jednak każdemu, aby cały artykuł przeczytał w 2 numerze samego „Przeglądu."

Sprawa stosunków narodowościowych z początkiem roku bieżącego zjawiła się przed stronnictwami politycznemi w kilku naraz ciałach prawodawczych. W parlamencie angielskim irlandczycy mają głos decydujący, gdyż przesunięciem się swojém na jedną lub na drugą stronę mogą zapewnić zwycięstwo wigom lub torysom. Zdawało się, że przy takiém położeniu rzeczy Parnell może marzyć o zdobyciu dla swéj ojczyzny trwałych warunków szczęścia. Tymczasem, zanim jeszcze przystąpiono do bezpośredniego roztrząsania téj sprawy już ponętne widziadło nadziei pierzcha i dopatrzéć niepodobna kresu, po za którym skończy się dla nieszczęśliwego narodu epoka zamętu, walki, nędzy, rozpaczy. Twardzi anglicy zagrozili swoim przywódcom opuszczeniem ich osób, a nawet może sztandarów, pod któremi rody ich stały przez wieki, jeżeli tylko dla zwycięstwa partyi narażą jedność państwa. Wszystko każe przewidywać, że narodowość przegra sprawę w angielskim parlamencie.

Przegra ją bezwątpienia i w Niemczech, dopóki miéć będzie tak potężnego przeciwnika jak ks. Bismarck. Żelazny kanclerz rozbijał kolejno wszelkich możliwych nieprzyjaciół potęgi niemieckiéj, zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych, łamał wszelkie przeszkody, które tamowały możność rozrostu żywiołowi prusko-germańskiemu. Podczas wszystkich zabiegów swoich o nas nie zapominał on nigdy. Ale teraz nadszedł zdaje się czas, kiedy zajmie się wyłącznie tępieniem żywiołu polskiego. Gdy spróbowano mu w tém przeszkodzić, z brutalną pewnością siebie odpowiedział, iż wyrzucenie 30 tysięcy Polaków z Prus to tylko pierwszy krok, pierwszy środek do niszczenia nienawistnéj mu rasy, niebawem zbuduje świat innemi. Niepodobna niezadrżéć wobec téj groźby. Najbardziéj tytaniczne wysiłki ministra, wsparte całą potęgą olbrzymiego narodu i pomysłami państwowych uczonych, nie zdołają naturalnie zetrzeć z oblicza ziemi narodu, który przyrastał do niéj przez tysiąc lat. Kiedyś dzieciom, lub wnukom opowiadać będziemy o grozie czasów minionych i wspominać imię Bismarcka jak dziś wspominamy Attylę, lub Meternicha. Tém nie mniéj jednak najbliższa przyszłość strachem przejmuje. Przejście huraganu podruzgocze nabytki usiłowań całych pokoleń; kilka prowincyi na wiele lat pogrąży się w walkę obronną i pozbawionych zostanie możności jakiejkolwiek pracy na przyszłość. A ile to czasu znowu potrzeba będzie, ażeby połatać szczerby, pogoić rany, zadane pruską maczugą! Prócz wytrwałości i siły żywotnéj samego narodu na żadnych innych sprzymierzeńców liczyć niepodobna. Ani my sami, ani nikt za nas nie zdoła odeprzéć żadnego ciosu. Sejm Rzeszy niemieckiéj zaoponował wprawdzie przeciw polityce kanclerza i wyraził zdanie, iż rugi „nie dają się widocznie ni-

czém uzasadnić, a nie godzą się z interesami obywateli Rzeszy," ale taka zapora moralnéj natury rozżarzy tylko zaciekłość Bismarcka. Niepodobna przypuszczać, ażeby sejm pruski poszedł za przykładem swego ogólnie państwowego kolegi. Przeciwnie dziś już kilka stronnictw (konserwatywne, konserwatywno-liberalne i narodowo-liberalne), zapomniawszy o wszelkich pozorach, nie czekając na interpelacyą posłów poznańskich, pośpieszyło z oświadczeniem, iż poprą rząd we wszystkich napaściach na Polaków.

Roztrząsano i decydowano jednocześnie o prawach narodowości i w sejmie galicyjskim. Chodziło naturalnie o sprawę ruską, a przyczyną debatów był wniosek posła Romańczuka, postawiony jeszcze w roku zeszłym i domagający się rozszerzenia praw języka rusińskiego w szkole. Kiedy przed kilkoma laty po odbytych wyborach do sejmu okazało się, że posłów czysto-rusińskich przeszło tylko 11-u, Diło, Prołom i Słowo, a za niemi wiele pism polskich zaalarmowało społeczeństwo przewidywaniami gwałtów i niesprawiedliwości, jakie się zacząć muszą w Galicyi. Regulamin wymaga, aby każdy wniosek podpisany był przez 15 posłów najmniéj, żaden więc wniosek rusiński mógł był się nie dostać pod rozprawy. Układ stronnictw był taki, iż nikomu o głosy takiéj garstki chodzić nie mogło, témbardziéj, że garstka ta rozbiła się na dwa wrogie obozy. Tymczasem, zaraz po pierwszéj sesyi poseł Romanowicz, rzecznik zasady sprawiedliwości, wykazał w Nowéj Reformie, że nigdy sejm nie okazał tyle chęci do ustępstw na rzecz Rusinów i nigdy faktycznie tyle niezrobił. Późniéj rozstrój prawicy wyniósł na pierwszy plan i postawił na czele bardzo licznéj partyi Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który odrazu za jeden z głównych punktów swego programu uznał potrzebę nietylko nietamowania rozwoju narodowości rusińskiéj, ale nawet popierania takowego. Dotychczas o języku wykładowym w szkole niższéj decydowała wola dającego na utrzymanie szkoły, tj. w większości wypadków gmina; w szkole zaś średniéj— wola rodziców: jeżeli znalazło się 25 dzieci, chcących pobierać naukę w języku rusińskim, a brak nauczycieli nie przeszkadzał, to miała być otwierana klasa równoległa rusińska. Poseł Romańczuk obadwa te prawa chciał podnieść o stopień wyżéj i usunąć wolę zarówno gminy jak i rodziców; żądał on: „1) co do szkół ludowych, aby w gminach wielkich, liczących 12 tysięcy ludności, gdzie zamieszkuje 4-a część R (wedle statystyki), lub więcéj, a niema szkoły ruskiéj (z wykładowym językiem ruskim), takowa była zaprowadzona kosztem gminy i kraju; 2) co do szkół średnich, aby we wszystkich tego rodzaju zakładach, jeżeli w jakiejś klasie znajdzie się 25 uczniów narodowości ruskiéj, utworzono klasę paralelną z językiem wykłado-

wym ruskim i takową utrzymywano przy przejściu uczniów na kurs następny, dopóki liczba uczniów w klasie paralelnéj, posuwającéj się naprzód, nie zmaleje niżéj 20.“ Wniosek ten przejść w żaden sposób nie mógł, gdyż nie zgadza się z zasadniczemi ustawami państwa i zmuszał by ludność do uczenia dzieci w pewnym języku, gdy wybór wolny jest możliwy. Pomimo to sejm przesłał żądanie posła Romańczuka do wydziału krajowego, aby ten wysłuchał zdania c. k. Rady szkolnéj, porozumiał się z rządem i przedstawił od siebie na tegoroczną sesyę wnioski, jakie uzna za wskazane istotną potrzebą ludności rusińskiéj.

Rada szkolna zdecydowała, iż żądaniom p. Romańczuka uczynić zadość nie można ze względów prawodawczych, finansowych i dydaktycznych. Rozejrzenie się zaś wśród danych statystyki szkolnéj doprowadziło ją do wniosku, że jedynie w Przemyślu w oddzielnych klasach liczba uczniów rusińskiéj narodowości dochodzi lub przewyższa 25, i że wskutek tego, gdyby chciano otworzyć oddzielne gimnazyum, to można to zrobić tylko w Przemyślu.

Wydział krajowy zasięgnął także zdania władz autonomicznych: rad powiatowych i reprezentacyi miejskich. Zdania były różne, ogromna ich większość wypowiedziała się przeciwko wnioskowi R., lecz sympatycznie dla saméj sprawy. Opierając się na wszystkich danych, wydział krajowy starał się wykazać trudności zaprowadzenia stałych paralelek w Przemyślu, gdyż tam nawet liczba uczniów rusińskich niedochodzi do 25 w poszczególnych klasach, pomimo to jednak zaproponował sejmowi założenie tam oddzielnego giminazyum.

Stąd wniosek przeszedł do komisyi edukacyjnéj sejmu, która wziąwszy pod uwagę przedstawione sobie dane i wnioski, a oprócz tego jednomyślne oświadczenie reprezentacyi administracyjnéj miasta Przemyśla, iż nie życzy sobie gimnazyum rusińskiego, przedłożyła sejmowi następujące wnioski: 1) „wzywa się cesarsko-królewski rząd, ażeby w gminach miejskich, w których, nie licząc osobnych szkół żeńskich, jest dwie lub więcéj szkół ludowych publicznych. a w których najmniéj 3.000 ludności używa języka ruskiego, względnie polskiego, jako towarzyskiego, niebędącego jednak językiem wykładowym w owych szkołach ludowych, przeprowadził urządzenie szkoły ludowéj z tymże językiem wykładowym, jeżeli tylko z dochodzenia, przedsięwziętego w myśl artykułu 4, 10 i 11 ustawy krajowéj z dnia 2 maja 1873 r., okaże się, że w gminach tych przebywa dostateczna ilośc rodziców, pragnących dzieci swe posyłać do takiéj szkoły; 2) wzywa się c. k. rząd, aby we wschodniéj części kraju założył nowe gimnazyum, w którém by mógł być zaprowadzony język

wykładowy ruski; 3) wzywa się c. k. rząd, aby w myśl artykułu 5 ustawy krajowéj z dnia 22 czerwca 1867 r. w szkołach średnich naukę języka polskiego i ruskiego zaprowadził o tyle jako obowiązkową, iżby tylko na wyraźne żądanie rodziców zwalniano uczniów w szkołach średnich z językiem wykładowym polskim od nauki języka ruskiego; w szkołach zaś średnich z językiem wykładowym ruskim od nauki języka polskiego.“

Z prawdziwą radością zauważyliśmy, iż we wszystkich radach i postanowieniach zarówno Rady szkolnéj, jak wydziału krajowego i komisyi sejmowéj widnieje dużo życzliwości dla sprawy, dobréj woli i szczerych chęci do ustępstw. Ztąd wkradły się nawet różne niekonsekwencye, niezgodności pomiędzy poszczegółowemi danemi a ostatecznemi wnioskami. Stan szkolnictwa, potrzeby kraju, biorąc rzeczy obiektywnie, nie wymagał wcale entuzyazmowania się do kwestyi, podniesionéj przez wniosek Romańczuka. We Lwowie istnieją 4 gimnazya: dwa polskie, jedno ruskie i jedno niemieckie. Do polskich uczęszcza 713 i 823 uczniów, do niemieckiego—695, do ruskiego zaś 428 tylko; wiele znanych rodzin ruskich, a nawet Narodny Dom posyła dzieci do gimnazyów polskich lub niemieckiego. Dane statystyczne wykazały, że w żadném niemal gimnazyum krajowém nie ma potrzeby otwierania paralelek. W końcu, szkół ludowych z językiem wykładowym ruskim, jest więcéj niż z polskim. A więc większość sejmu, biorąc mocno do serca reformę szkół, chciała wykazać jaki duch ją ożywia, chciała przekonać Rusinów, iż przejęta jest ku nim uczuciami istotnego, szczerego braterstwa.

Wszyscy wybitniejsi posłowie zabierali głos w téj sprawie. Pierwszy wystąpił profesor Małecki. Wykazywał on niemożność wobec istniejących ustaw austryackich i opłakanego stanu finansów krajowych, przeprowadzenia w życie wniosków komisyi, wykazywał szkodliwość istnienia obok siebie różnych szkół narodowych, które by od najmniejszych lat rozwijały antagonizm, gdy dobro kraju wymaga jedności i braterstwa. Dla tego téż stawia od siebie wniosek, ażeby znieść zupełnie różność szkół, a natomiast w całéj Galicyi zaprowadzić szkoły z wykładowym językiem dla jednych przedmiotów polskim a dla innych ruskim. Hr. Wojciech Dzieduszycki jeszcze w roku zeszłym propagował podobną myśl po za sejmem, to téż teraz poparł wniosek Małeckiego z całych sił. Przyłączyła się do nich jeszcze jedna wpływowa osobistość—ks. Czartoryski. Inni posłowie popierali wniosek komisyi, lub p. Małeckiego, zastrzegając iż w razie upadku jednego będą głosować za drugim. Szczególną życzliwością dla Rusinów i szczerze obywatelskim duchem odznaczyły się głosy ks. Adama Sapiehy i Romanowicza. Dyssonansowo brzmia-

ły przemówienia dwóch posłów ze skrajnéj prawicy: hr. Golejowskiego i p. Emila Torosiewicza. Ale ku czci i sławie sejmu, głosy te przebrzmiały bez echa; kiedy drugi z tych panów zażądał przejścia do porządku dziennego, wniosek jego miał jeden tylko głos za sobą... p. Emila Torosiewicza.

Poseł Romańczuk, ks. Kaczała i polityczni ich przyjaciele podczas całego przebiegu rozpraw trzymali się na stanowisku bardzo bezwzględném; wszystko, albo nic, brzmiało zawsze z ich przemówień. Wszelkim propozycyom Polaków nie żałowali oni kolących epitetów, podejrzywając wszędzie złą wolę. Nie mniéj zapewne od rusińskich narodowców pragniemy, aby nikt w Galicyi nie miał najmniejszego powodu, ani nawet pozoru uważać się za pokrzywdzonego, tém nie mniéj jednak, a może właśnie dla tego, zbyt stanowcza opozycyjność p. Romańczuka wydaje się nam w tym razie bardzo wątpliwéj wartości. Posłowie polscy wyciągali rękę do zgody, nie naciskani żadnemi zewnętrznemi wpływami, jedynie z dobréj woli; usuwanie się wtedy od wspólnéj pracy, faktycznie przyniesie szkodę, a moralnie nie wzmoże ani narodu, ani stronnictwa, ani jednostek. Na szczęście niechęć Rusinów sejmowych nie wpłynie zapewne na pożądany bieg rzeczy. Wszyscy niemal przemawiający Polacy oświadczyli, iż występują w téj sprawie nie w celu pozyskania czyichś głosów, uznania, lub sympatyi, lecz powodowani jedynie przeświadczeniem, że w ten sposób przysłużą się dobrze społeczeństwu i cywilizacyi. Przytém ze strony ruskiéj odezwał się głos tak niepodobny do rozgoryczonego tonu Romańczuka, jak pieśń, płynąca z wezbranych rzewném uczuciem piersi, do sceptycznego szyderstwa. Było to przemówienie nowo mianowanego biskupa unickiego ze Stanisławowa, ks. Pełesza. W słowach jego odbiło się zrozumienie wspólności interesów obudwu części ludności, odbiła się wspólność uczuć z ks. Sapiehą, z Romanowiczem, z Małeckim. To też posłowie polscy natychmiast w sejmie, a późniéj na instalacyi w Stanisławowie wystąpili z entyzyastyczném zamanifestowaniem swego uznania i radości. Mowa ks. Pełesza musiała wywrzeć wpływ i na Rusinów. Wszystkie pisma mówiły o niéj z szacunkiem, a *Diło* z zapałem; jedynie *Słowo* uważało za właściwe wykręcić się lekceważącą wzmianką. Ks. Pełesz jest zapewne dotąd odosobnioną jednostką, ale nie należy wątpić, że przy odpowiedniém postępowaniu z naszéj strony takich jednostek zjawiać się będzie coraz więcéj.

Obadwa wnioski, komisyi i pr. Małeckiego, odesłane zostały powtórnie do komisyi. Bardzo być może, że wszystkie postanowienia reform rozbiją się tą razą o nieprzychylną wolę rządu. Jesteśmy jednak przekonani, że żaden z posłów polskich wypowiedzenia mo-

wy nie będzie uważał za spełnienie obowiązku, lecz że każdy w dążeniach swoich pójdzie daléj. Wytrwałe zaś usiłowania odniosą kiedyś pożądany skutek. W intencyach większości było tyle zdrowego ciepła, iż niepodobna wątpić, że stosunki rusko-polskie w Galicyi utracą wkrótce cechy kwestyi drażliwéj i wezmą obrót pomyślny. Duszeni łapą ministra pruskiego, będziemy się pocieszać, nabierać otuchy, krzepić widokiem przyrostu sił moralnych gdzie indziéj.

Sprawa narodowościowa wygrała w sejmie galicyjskim, niech w nim nie przegrywa nigdy!

Lwowski korespondent *Wieku* donosi, że pewien publicysta narodowy (?), nienależący do sejmu, już od lat trzech propaguje usilnie drogą prasy codziennéj i bezpośrednio wśród sfer uczonych i sejmowych myśl uzupełniającą plany reformy szkolnéj pr. Małeckiego i hr. Dzieduszyckiego. Chodzi o to, aby Akademia Umiejętności w Krakowie, jako instytucya narodowa i krajowa, otworzyła przy swym oddziale filologiczno-historycznym oddzielną sekcyą ruską, powołując do niéj kompetentnych mężów nauki. Wnioskodawca żywi nadzieję, że w ten sposób rozwój języka ruskiego wprowadzony będzie na drogi szerokie i normalne (dzisiaj różnice lingwistyczne są kwestyą polityczną), że go się zwiąże z ogólnym rozwojem europejskiéj nauki, otworzy dlań pomoce naukowe i materyalne, z jakich korzysta język polski w Akademii. Przedewszystkiém za najpożądańszą rzecz i najbardziéj naglącą potrzebę uważane jest wydanie staraniem Akademii, chociażby z wielkim nakładem krajowym, słownika i gramatyki języka ruskiego. Ponieważ Akademia niezbyt skwapliwie bierze się do wprowadzenia w czyn tych projektów, ma więc być podobno pobudzoną do tego przy omawianiu subwencyi krajowéj na téj jeszcze sesyi sejmu.

Przechodząc do spraw drobniejszych, przedewszystkiém musimy wciągnąć do kroniki życia fakt powstania w naszém mieście nowéj instytucyi przezorności. W pierwszych dniach stycznia przypadła 50-letnia rocznica założenia straży ogniowéj. Korzystając ze sposobności p. Felix Fryze wystąpił z wnioskiem założenia kasy pomocy na wypadek kalectwa, choroby itd. Warszawa lubi i ceni strażaków, to też pomimo krótkiego czasu zebrano już blisko sześć tysięcy rubli na kasę.

A propos straży ogniowéj,—w Kielcach takowa została rozwiązaną, jak doniosła miejscowa gazeta, z rozkazu pana jenerał-gubernatora.

Od dnia 1 grudnia 1880 r. istnieje w Warszawie przy „Muzeum Przemysłu i Rolnictwa“ *Stacya oceny nasion*. Niedawno wyszło sprawozdanie z działalności stacyi za czas od 1-ego lipca 1884 od 1-go

lipca 1885 r., napisane przez Dr. A. Sempołowskiego. W sprawozdaniu tém dla rozpowszechnienia wiadomości o celach i zadaniach instytucyi pomieszczoną została ustawa, z któréj dowiadujemy się, że:

„Stacya oznacza w nasionach rolniczych, leśnych i ogrodowych procent siły kiełkowania i zanieczyszczenia, poucza kupujących o rzeczywistéj wartości nabytego towaru i stara się rozpowszechnić sprzedaż nasion pod gwarancyą.“

„Stacya zajmuje się przygotowywaniem zielników traw i roślin pastewnych, układaniem zbiorów porównawczych ważniejszych nasion rolniczych i chwastów. Na żądanie daje objaśnienia w sprawie obsiewu łąk, pastwisk, zakładania szkółek zbożowych i produkcyi nasion.“

„Zadaniem stacyi jest wykonywanie prób i doświadczeń z uprawą nasion i aklimatyzacyą różnych nowych roślin gospodarskich, oraz podawanie rezultatu takowych do wiadomości publicznéj.“

Na 642 nadesłane próby tylko 112 pochodziło od właścicieli ziemskich, resztę nadesłały składy. Zwróciwszy uwagę na znaczenie rolnictwa w kraju naszym i na sumy, wydawane co rok na zakupno nasion, p. Sempołowski przychodzi do wniosku, że dotychczas niewielka tylko ilość ziemian uznaje potrzebę zasięgania porady stacyi i pojmuje korzyści, wynikające z zakupna i wysiewu nasion wypróbowanych. Przeciwnie nawet, mają oni podobno pretensyę do nowomodnéj instytucyi za to, iż przy sprzedaży składy wymagają od nich gwarancyi stacyi, co im się wydaje jakąś niemiłą kontrolą. Nic dziwnego, że gdy kto znosi ciężar jakiejś innowacyi, a nie chce korzystać z udogodnień, to narażony jest na same straty.

Widocznie wielu obywateli na znawstwo nasion zapatruje się jak na koneserstwo przy kupnie koni. Gdy kto handluje niemi przez pewną ilość lat, zostanie kilka razy oszukany i okpi sam innych, to już późniéj zna się i na chrapach i na zębach i na pęcinach. Tymczasem z nasionami ma się rzecz całkiem inaczéj. Na rynkach zjawiają się coraz to nowe rośliny, na wartości których może się poznać tylko specyalista teoretyk, a najgruntowniejsza praktyka nic nie poradzi. Tak nap. koniczyny amerykańskiéj, która jest o wiele gorszą i tańszą od krajowéj, nie można wcale odróżnić od téj ostatniéj na podstawie cech zewnętrznych, lecz jedynie ze znajdujących się w niéj charakterystycznych nasion roślin czysto amerykańskich. Stopień zanieczyszczenia nasion zmienia się z roku na rok.

Nie zawsze nasienie taniéj kupione jest istotnie tańszém z powodu nieproporcyonalnego stosunku wartości użytkowéj (ilość nasienia kiełkującego, czystego w sprzedawanéj całości) do ceny. Skoro

np. za 1 cetnar „rajgrasu francuskiego“ o wartości użytkowéj 3 proc. zapłacono rs. 25, a za cetnar o wartości użytkowéj 68% — 50 rs.. to pomimo tego, że cena handlowa pierwszego jest o połowę niższą, jest on jednak przeszło 11 razy droższy. Sprawozdanie zawiera tabliczkę, wykazującą pomiędzy jak odległemi granicami waha się wartość użytkowa nasion roślinnych. Oto niektóre z tych cyfr: marchew 7—74, kostrzewa owcza 18—86, wyklina szorstka 0—68, manna wodna 0—63, sosna zwyczajna 28—81.

Oprócz pracy nad badaniem nasion, zajmował się kierownik Stacyi, układaniem zielników roślin pastewnych, przygotowywaniem zbiorów porównawczych nasion rolniczych i chwastów, oraz udzielaniem porady i wskazówek, dotyczących nasiono-znawstwa, uprawy łąk i pastwisk, produkcyi nasion i t. p.

O ile zdarzała się sposobność, p. S. usiłował zachęcać ziemian do zajęcia się uprawą roślin pastewnych, a zwłaszcza traw na nasienie. Usiłowania te nie pozostały bez skutku, kilku już bowiem rolników zamierza niezadługo rozpocząć pracę na tém polu.

Naturalnie obojętność ziemian względem instytucyi tak pożytecznéj wynikać głównie musi ztąd, że stacya istnieje od niedawna i korzyści, dające się ze stosunków z nią osiągnąć, nie są znane dostatecznie. Właściciele cukrowni stronili równie długo od porady p. S. przy kupnie nasion buraków, w ostatnich jednak czasach zaczynają się zgłaszać coraz częściéj. Radzimy wszystkim interesowanym, aby zaopatrzyli się w sprawozdanie Stacyi oceny nasion, a wszystkim interesującym się stanem i rozwojem rolnictwa krajowego, aby takowe szerzyli.

Urząd akcyzny wydał sprawozdanie o rozwoju gorzelni, browarów i dystylarni w roku 1884/5 w gub. warszawskiéj i siedleckiéj. Sprawozdanie pełne jest cyfr bardzo ważnych dla poznania stanu naszego przemysłu, a ogólny wniosek z nich jest taki, że gorzelnie źle stoją, browary źle stoją i dystylarnie źle stoją. Spożywanie rozgrzewających trunków zmniejszyło się, w znacznéj części wskutek spadania zarobków. Prócz tego ilość sprzedawanéj wódki maleje u nas podobno stale wskutek wzrastającéj liczby *stowarzyszeń wstrzemięźliwości.*

Gorliwość nasza dziwnie jest krótkotrwałą. Towarzystwo Popierania przemysłu i handlu tak nie wiele jeszcze wiosen liczy, a już przeszło $^{1}/_{3}$ jego członków zapomina o potrzebie wnoszenia składek. Po zamknięciu zeszłorocznych rachunków okazało się, że na 396-u członków 142 zalega w opłacie i przez to kasa Towarzystwa jest biedniejszą o 1420 rs.

Ludwik Straszewicz.

— Otrzymaliśmy **„Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Biblioteki Polskiéj w Rumunii za rok 1885“**, z którego okazuje się, że w 20-tym roku jéj istnienia, oprócz kilkunastu czasopism, nadsyłanych albo zupełnie bezinteresownie, albo za pewném ustępstwem od ceny, księgozbiór w Jassach otrzymał w darze 159 książek, pomiędzy któremi odznaczają się doborem ofiarowane przez p. Czepielowskiego, gorliwego opiekuna téj instytucyi. Dodawszy do tego 65 dzieł i czasopism najnowszych, zakupionych z bieżących dochodów, okaże się, że książnica obecnie składa się z 4105 tomów, krom duplikatów, książek ludowych i dla dzieci, których jest około 200. Z tego skarbca duchowego korzystało na 50 członków tylko 37-miu, którzy atoli przeczytali 1160 tomów.

Dochód wynosił:

Składki członków miesięczne	428 fr.	— ct.
Odsetki funduszu żelaznego	834 „	35 „
Nadzwyczajne	10 „	5 „
	1272 fr.	40 ct.

Rozchód:

Książki i czasopisma.	231 fr.	15 ct.
Oprawa kiążek.	133 „	75 „
Opłata listów i paczek	64 „	80 „
Pomieszkanie, opał, światło, usługa. . . .	423 „	— „
Kasa żelazna	203 „	— „
Nadzwyczajne	19 „	30 „
Przybito do funduszu żelaznego	197 „	20 „
	1272 fr.	40 ct.

Fundusz żelazny „Biblioteki“ wynosi obecnie 7257 fr.

Fundusz szkolny, czasowo pozostający pod nadzorem „Biblioteki“, wynosi 10014 fr. Stosownie do uchwały walnego zgromadzenia z d. 15 listopada r. z. zwróci się z tego funduszu do kraju 9000 fr. w jak najkrótszym czasie, reszta zaś pozostanie nadal w ręku dotychczasowéj administracyi. Pobudki i cel tego postanowienia, są następne:

W roku 1878 podniosło kilku członków Towarzystwa biblioteki myśl założenia w Jassach szkółki polskiéj. Wskutek tego na walném zgromadzeniu w styczniu roku 1879 roztrząsano tę sprawę i uchwalono odwołać się do dobréj woli członków, ażeby przez składanie osobnych datków urzeczywistnienie téj myśli umożebnić.

Z jednéj strony bieda, z drugiéj obojętność, a może i brak stosownéj agitacyi sprawiły, że niewielu z rodaków w Rumunii osiadłych—tak członków biblioteki jak i niečłonków — udział w składkach na ten cel przyjęło. Faktem jest, że od początku do dziś tylko 88 osób, a pomiędzy nimi kilkunastu cudzoziemców, złożyło 458 fr. 15 ct. prócz tego z okazyi rozmaitych zebrań, obchodów, uczt i t. d. wpłynęło 312 fr. 95 ct. Razem więc złożono z Rumunii 771 fr. 10 ct.

Godną jest uwagi, że z tych, którzy najbardziéj byli za szkołą, urzędnicy drogi żelaznéj czerniowieckiéj i rzemieślnicy w Jassach, najmniéj się nią interesowało, z urzędników bowiem tylko 7-miu złożyło 13 fr. 55 ct., z rzemieślników zaś tylko jeden 10 fr. ofiarował.

Na téj więc drodze celu osiągnąć niepodobna było. To też już w początkach niektórzy członkowie próbowali pomiędzy znajomymi w kraju zbierać składki na szkolę. Lecz i w tym kierunku mimo najlepszych chęci mało co uczynić mogli, zaledwie 320 fr. w przeciągu 2-ch pierwszych lat zebrawszy.

Dopiero w roku 1881, gdy podpisany po rocznéj nieobecności, na mocy wyborów walnego zgromadzenia, ponownie do zarządu wstąpił, sprawa szkoły inny wzięła obrót.

Najprzód wziął na siebie obowiązek zbierania składek w ojczyźnie, ale tylko na drodze prywatnéj, opierając się głównie na odezwie opiekuna naszego, czcigodnego Kraszewskiego, a potém na rozgałęzionych stosunkach osobistych w kraju; potém wniósł na posiedzeniu z dnia 10 marca 1881 roku, aby zarząd biblioteki oświadczył protokularnie, że uważa fundusz szkolny jako depozyt czasowo mu przez trzecie osoby powierzony, jako kapitał samoistny, niemający nic wspólnego z majątkiem bibliotecznym i istnieniem Towarzystwa naszego, a dla tego powinien być odrębnie zarządzany, wpływające składki w osobnéj księdze zapisywane, osobny rachunek obrotów prowadzony i w sprawozdaniach rocznych osobno wyszczególniony.

Zarząd jednogłośnie wniosek zamienił w uchwałę. Na takiéj podstawie rozpoczął podpisany działanie, którego skutkiem było, że do końca roku 1882 wpłynęło z kraju na rzecz szkoły przeszło sześć tysięcy franków. Niestety! następne lata mimo usilnych starań wcale nie dopisały. Kapitał odtąd rósł głównie z procentów i doszedł sumy wyżéj wymienionéj.

Pieniądze te jako zakładowy kapitał na utrzymanie szkółki, choćby najmniejszéj, nie wystarczają i potrzebaby dziesiątek lat, zanimby przy szczęśliwym zawsze obrocie tak urosły, aby z nich można zapewnić byt téj szkoły. Lecz wtedy tych, którzy myśl szkółki podjęli, umiłowali, starali się w życie wprowadzić, obecnie zaś, czuwają nad tym mozolnie zebranym groszem, więcéj już nie będzie; wtedy przy zmienionych okolicznościach, co się stanie lub stać może? Tego nie można przewidzieć, ani na tak niepewną a daleką przyszłość liczyć nie wypada. Już teraz są całkiem inne stosunki, niż przed 6-ciu latami.

Rumunia, stawszy się państwem niepodległém, wszystkie wytęża siły, aby się uwolnić od przewagi obcych na polu ekonomicznem. Oprócz tego Rumuni poczytują sobie za upokorzenie obecność tylu

cudzoziemców u siebie, zajmujących najrozmaitsze i wcale nieposlednie stanowiska.

To też rugowanie cudzoziemców stało się najgłówniejszém hasłem narodowców rumuńskich. Wskutek tego napływ obcych żywiołów prawie ustał, a wielu cudzoziemców oddawna tu osiadłych, nie widząc przed sobą żadnéj pomyślnéj przyszłości, powróciło nazad do kraju rodzinnego, albo poszli szukać gdzieindziéj szczęścia. Z Polaków szczególniéj odczuli to urzędnicy dróg żelaznych rumuńskich. Dziś zaledwie $\frac{1}{3}$ część została z tych, którzy byli przed 6-ciu laty, a i ta mała reszta niebawem zniknie, skoro rząd zakupi ostatnią koléj prywatną, jaką jest czerniowiecka. Oprócz tego ubyło bardzo dużo rzemieślników polskich.

Streszczając, co się dotąd powiedziało, twierdzimy, że fundusz zebrany na szkołę jest zbyt mały, aby w najbliższéj przyszłości można przystąpić do jéj założenia; że szkoła przy obecnych okolicznościach jest niepotrzebną, bo nie ma dla kogo ją tworzyć, na przyszłość zaś podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nawet niemożliwą.

Widząc taki stan rzeczy, podpisany udał się na początku t. r. o poradę na drodze prywatnéj do osób, które głównie przyczyniły się do zbierania składek, do mężów poważne zajmujących stanowisko w kraju, do opiekunów, z którymi najłatwiéj można było się skomunikować.

Nadesłane odpowiedzi bez wyjątku na jedno się godzą, że pieniądze przysłane z kraju na szkołę, do kraju na cele oświaty narodowéj odesłane być powinny.

Całą tę korespondencyą oddał podpisany do kolejnego odczytania wszystkim członkom zarządu i członkom Towarzystwa, aby sobie mogli bezstronnie urobić sąd w téj sprawie, potém na posiedzeniu lipcowem wniósł, ażeby fundusz szkolny podzielić na trzy równe części i oddać je instytucyom uznanym w kraju na cele poszczególne oświaty narodowéj.

Wreszcie, z pozostałych funduszów „Bratniéj pomocy“ i nadzwyczajnych składek dano wsparcie rodakom: 16-tom biednym podróżnym, 3 miejscowym pożyczki bezprocentowe, w czasie ostatniéj przedśmiertnéj słabości pułk. Paszkiewiczowi 200 fr.; na wygnańców naszych z Prus 45 fr. 80 ct. Razem wydano na cele dobroczynne 396 fr. 75 ct.

Jassy dn. 31 Grudnia 1885.

Zarząd Towarzystwa Biblioteki Polskiéj w Rumunii.

Prezes: *Dr. Łukaszewski.*

Członkowie: *Ks. B. Chwała, Dr. Lipa, Jan Bogusz, Aleksander Gąsiorowski, K. Szultz, E. Bełdowicz.*

NEKROLOGIA.

† **Antoni Odrowąż Kamiński** urodził się 3-go września 1797 r. Skończywszy szkołę powiatową w Borunach, zapisał się r. 1818 na oddział nauk matematyczno-fizycznych w uniwersytecie wileńskim, który ukończył w r. 1820 ze stopniem kandydata. Już wówczas ogłosił „Głos przyjaźni poświęcony zwłokom Mikołaja Wąża, miany d. 23 czerwca 1820 r.“ Pozostawszy w Wilnie, przez lat kilka poświęcał się wykładom nauk matematycznych i przyrodniczych na pensyach rządowych żeńskich i układał podręczniki, z których w r. 1826 i 1827 wyszły: „Arytmetyka“ (w 2-ch częściach), „Tablice arytmetyczne“, „Jeografia“, „Tablice przedstawiające podział 5 części świata wogólności, a w szczególności granice i podział Europy.“ Straciwszy żywioną początkowo nadzieję zajęcia katedry mineralogii czy to w Wilnie, czy w Charkowie, wyjechał r. 1827 do Kamieńca Podolskiego na nauczyciela fizyki i nauk przyrodniczych w tamecznéj szkole powiatowéj. Nauczycielstwem zajmował się ciągle, a wysłużywszy emeryturę, oddał się ponownemu opracowaniu dawniéj napisanych podręczników i układaniu nowych. Wiele z tych prac dotąd zostaje w rękopismach; kilka tylko ogłosił drukiem. Do nich należą: „Abecadlnik Odrowąża“ (1860), „Zasady arytmetyki“ (1861), „Treść jeometryi elementarnéj“, „Prawdy wstępne do nauki przyrody“, „Treść chemii organicznéj“ (wszystkie trzy w r. 1874), „Chronologia“ (1875), „Algebra elementarna“ (1878). Doczekawszy sędziwéj starości, umarł Kamiński, w gronie filareckim zwany Hetmanem, w Wilnie 12 listopada 1885 r.

† W końcu roku zeszłego zakończył życie w miasteczku Błoniu jeden z ostatnich uczonych Pijarów, matematyk, ks. **Franciszek Kasterski**, przeżywszy lat 81. Zmarły, po wyjściu z uniwersytetu, wykładał najprzód w Piotrkowie, a następnie w konwikcie Konarskiego na Żoliborzu. Główniejsze dzieła jego są: „Solidometrya“ (1834) i „Trygonometrya“ (r. 1836), obadwa bardzo przychylnie przyjęte przez krytykę.

† **Michał Czajkowski,** znany powieściopisarz, człowiek burzliwego temperamentu i awanturniczego życia, renegat parokrotny, w służbie tureckiej znany jako Sadyk-pasza, zastrzelił się 18 go stycznia 1886 roku, przeżywszy 78 lat, we wsi Borkach (pow. osterskim) na Ukrainie. Przed śmiercią, która nierychło po strzale nastąpiła, miał podobno wyznać, że przyczyna samobójstwa miała źródło w wyrzutach sumienia społecznego.

OGŁOSZENIE KONKURSU
IMIENIA SAM. BOG. LINDEGO.

1. Akademia Umiejętności w Krakowie, w myśl układu, zawartego w d. 10 lipca 1876 r. z Wną Ludwiką z Lindów Górecką, ogłasza niniejszém konkurs na prace do nagrody imienia Lindego.

2. Przedmiotem konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mogące posłużyć do uzupełnienia Słownika języka polskiego S. B. Lindego, a mianowicie: prace leksykograficzne, monografie z zakresu gramatyki, historyi języka i dialektologii polskiéj, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innemi słowiańskiemi.

3. Prace konkursowe powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda tworzyć powinna zaokrągloną i skończoną całość.

4. Prace nadsyłane być mogą równie w rękopismach, lub też ogłoszone drukiem w ciągu trwania niniejszego konkursu. Prace nadsyłane być mają na ręce sekretarza generalnego Akademii.

5. Praca za najlepszą uznana otrzyma nagrodę w ilości 675 rubli rs.; dwie inne, najwięcéj do niéj treścią zbliżone, otrzymają każda po 337 rubli rs.

6. Czas trwania konkursu ustanawia się do końca grudnia 1888 roku. Prace nadesłane po 31 grudnia 1888 roku uwzględnione nie będą.

7. Przyznanie nagród i zawiadomienie o przyznaniu nastąpi na publiczném posiedzeniu Akademii Umiejętności w pierwszych dniach maja 1889 roku; wypłata zaś w dniu 8 tegoż miesiąca i roku, t. j. we dwa tygodnie po rocznicy S. B. Lindego.

8. Jeżeli nagrodzona zostanie praca już ogłoszona drukiem, natenczas autor, przed otrzymaniem nagrody, złoży w Akademii 50 egzemplarzy nagrodzonego dzieła. Pracę rękopiśmienną autor obowiązany jest ogłosić drukiem najdaléj w ciągu jednego roku i nadesłać Akademii 50 egzemplarzy; w przeciwnym razie Akademia sama uwieńczone dzieło wydrukuje i natenczas autor otrzyma 50 egzemplarzy.

W Krakowie, dnia 22 listopada 1885 r. *Stanisław Tarnowski*, Sekretarz Generalny.

— Zeszyt 73 **Słownika Geograficznego**, rozpoczynający tom VII tego poważnego wydawnictwa, wyszedł z druku i zawiera między innemi następne większe artykuły: **Neuburskie** dobra na Litwie, **Neuenburg** w Kurlandyi, **Newel, Nibork, Nida** rzeka, **Nieborów, Niebyłów, Niechworoszcz, Niedamowo, Niedzica** i t. d.

OD REDAKCYI.

Redakcya „Ateneum" wzywa p. **Ludwika Przysieckiego** o nadesłanie jéj swego adresu.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie styczniowym r. b. należy sprostować omyłki druku:

str. 31, wiersz 20 od dołu, zamiast q winno byc $\frac{q}{t}$

„ 31, „ 7 „ „ Q „ „ $\frac{Q}{t}$

„ 33, „ 19 od góry, „ $\frac{3}{2}$ „ „ $\frac{2}{3}$

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Stycznia 1886 r.

---

1. **Stacya oceny nasion przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.** Sprawozdanie z czynności od d. 1 Lipca r. 1884 do d. 1 Lipca r. 1885. Napisał Dr *A. Sempołowski*, kierownik stacyi. Warsz. 1885, 8. str. 24.
2. Ks. Elijasz Meric dr. teol., prof. teologii w Sobornie. **Życie przyszłe**. Z t zeciego wydania na język polski przełożył ksiądz *Jan Prusałajtys*. Tom I, str. VIII i 240, tom II, str. 249, 8-o Warszawa 1885, nakł. księgar. katolic. Wojciecha Citburusa.
3. **Pamiętnik fizyjograficzny.** Tom V, 4-to: zawiera: Dział I. Meteorologija i Hidrografia, str. 113; dział II. Gieologia z Chemiją str. 76; dział III. Botanika i Zoologija str. 233; dział IV. Antropologija str. 74; dział V Miscellanea str. 111; prócz tego: 3 karty nlb. i 5 spisu rzeczy, oraz 24 tablice rysunków litograficznych. Warszawa 1885.
4. **Sprawozdanie** wydziału towarzystwa wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego z czynności w roku szkolnym 1884|5 Kraków, 8-o, str. 29.
5. *Henryk Struve.* **Estetyka barw.** Zasady upodobania w barwach i ich zastosowanie do stroju, sztuki pięknéj i wychowania estetycznego. Warsz. 1886, nakł autora. 8, str. XVI, 340 i 8.
6. *Hajota.* **Co życie dało.** Nowelle i obrazki. Z portretem autorki. Warsz. nakł. księg. Teod. Paprockiego i S-ki, 1886, 8, str. 336.
7. **Wopros o religioznoj reformacii XVI wieka w rieczi pospolitoj w polskoj istoriografii.** (Kritiko-bibliograficzeskij oczerk). *N. Kariejewa.* S.-Petersburg, 1885, 8, str. 53 (odbitka z „Żurnału ministerstwa narodn. proswieszczenja").
8. **Kredyt Włościański.** Napisał *J. Kirszot-Prawnicki.* Warsz. nakł Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych, 1886, 8, str. 91.
9. *Ostoja.* **Szkice i obrazki.** Petersburg, nakł. redakcyi „Kraju". 1886, 8, str. 304.
10. **Porwana z klasztoru.** Kartka z dziejów obyczajowych Polski XVII wieku przez *Jerzego Mycielskiego* dr. fil. docenta historyi polskiej przy uniwers. Jagiell., członka komissyi histor. Ak. Um. — Kraków, 1886, 8, str 220.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku 1886 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyk i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Января 1885.